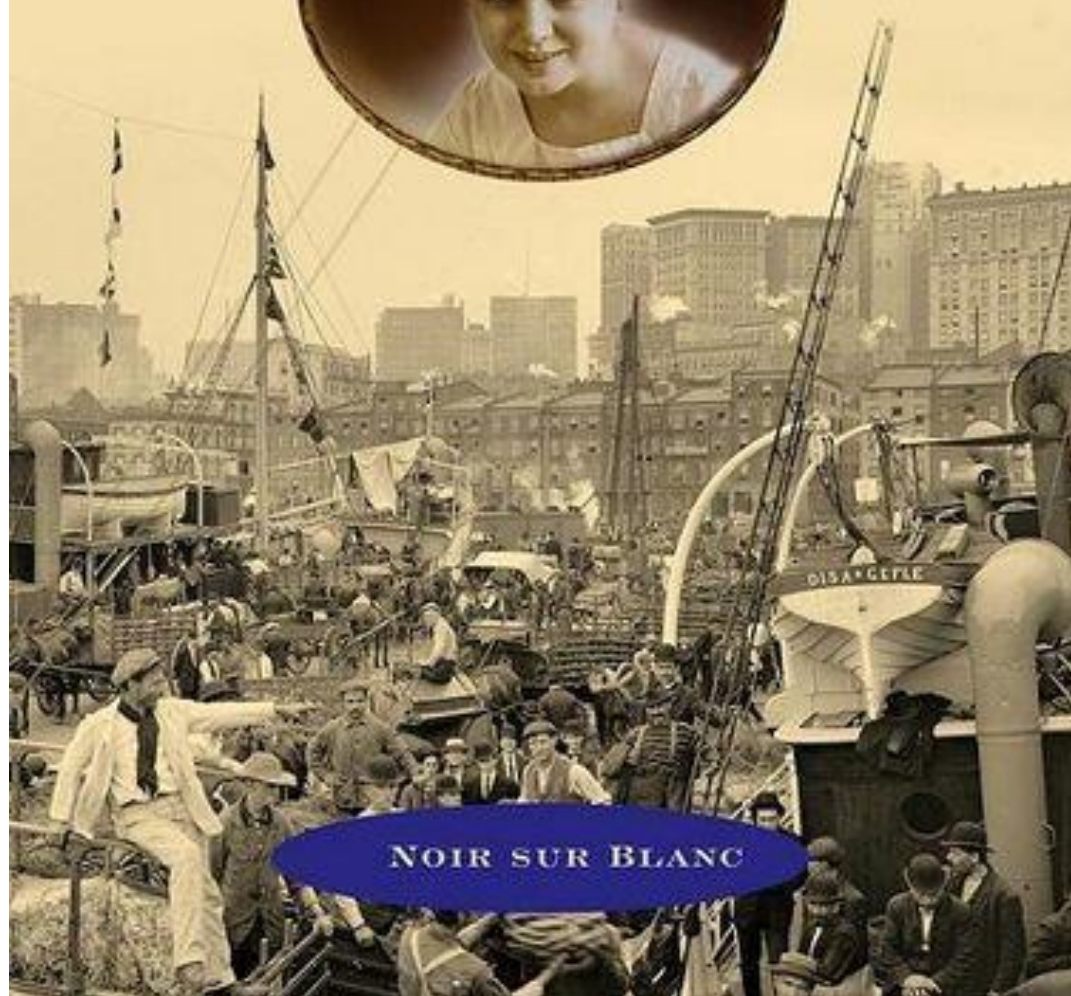


Nie zadzieraj z Molly Murphy!

RHYS BOWEN

Prawo panny Murphy



NOIR SUR BLANC

Rhys Bowen

PRAWO PANNY MURPHY

Przełożyła
Joanna Orłós-Supeł
Noir sur Blanc

Książkę tę dedykuję swoim przyjaciółkom z Nowego Jorku - Daphne Lincoff i Judy Gitenstein. Dziękuję, że zawsze mogę liczyć na Waszą gościnność. Bez Was zginęłabym w wielkim mieście. Jestem wdzięczna za wspólnie spędzony czas, często pełen przygód i niespodzianek.

Dziękuję również pierwszym recenzentom książki - Johnowi, Clare i Jane, oraz Trish Intemann, która pomagała mi w opracowaniu wątków irlandzkich.

1

- Przyjdzie taki dzień, kiedy przez swoją niewyparzoną gębę znajdziesz się w tarapatach.

Matka wypowiadała to zdanie systematycznie, odkąd zaczęłam mówić. Nie pomyliła się. Jeszcze zanim skończyłam dziesięć lat, cała moja rodzina o mały włos nie została wyeksmitowana na bruk tylko dlatego, że nie potrafiłam trzymać języka za zębami. A tydzień przed dwudziestymi trzecimi urodzinami uciekałam, ścigana za morderstwo.

Rytmiczne sapanie lokomotywy uspokajało skołatane nerwy. Nie pamiętałam dokładnie, jak się dostałam na stację kolejową. Musiałam przebiec każdy metr z tych pięciu kilometrów, które dzieliły mój dom od dworca. Świadczyły o tym zarówno przylepiona do pleców sukienka, jak i ból, który pojawiał się w klatce piersiowej, kiedy brałam głębszy oddech. Lepiej nie mówić, jak wyglądał przód sukienki. Okryłam się szczelniej szalem i przyjrzałam uważnie ludziom w pociągu - starsza para farmerów o ogorzałych policzkach pochrapywała w kącie; dalej siedziała młoda matka z dwójką ruchliwych maluchów i trzecim w drodze oraz ksiądz. Kiedy mój wzrok napotkał jego spojrzenie, odwróciłam się gwałtownie, na wypadek gdyby księża potrafili czytać w myślach albo siłą sugestii zmuszać ludzi do spowiedzi. Czy zdziwiłby się, słysząc w tej chwili moje zwierzenia?

Od czasu do czasu przez wagon przechodził konduktor i zaglądał do przedziału - byłam pewna, że mnie szuka. Ale przecież to niedorzeczne, prawda? Owszem, Justin Hartley leżał martwy na podłodze naszej kuchni, ale tego jeszcze nikt nie mógł się nawet domyślać. Mój ojciec i bracia mieli wrócić dopiero pod wieczór, a Justin prawdopodobnie nie powiedział swojej rodzinie, dokąd idzie. Trudno sobie wyobrazić, by przy śniadaniu, zajadając jagnięce nereczki albo jakąś inną równie obrzydliwą potrawę, którą podaje się w bogatych domach, powiedział rodzicom: „Idę do wsi. Załatwić to i owo z Molly Murphy”.

Dlatego miałam parę godzin na ucieczkę. Pociąg zawiezie mnie prosto do Belfastu. A potem - prawdopodobnie wystarczy mi pieniędzy na statek do Anglii. Co będzie później? Nie potrafiłam sobie odpowiedzieć. Może mogłabym zgubić się w dużym mieście, takim jak Liverpool. A może nie... Raczej nie, bo prędzej czy później dopadnie mnie policja. Nietrudno zauważyć zbiega, zwłaszcza płci żeńskiej i w dodatku o włosach rudych jak marchewka. W Anglii nie znałam nikogo, więc nie miałam gdzie się ukryć - odnalezienie mnie było tylko kwestią czasu. Mimo wszystko zamierzałam uciekać, jak długo się da. Zawsze szczyliłam się tym, że nie poddam się bez walki.

Wyjrzałam przez okno. Dzień był pogodny - przezroczyste błękitne niebo

przypominające szklaną tafłę, mroźne powietrze. Piękna pogoda nie zdarza się często w środku irlandzkiej zimy. W taki dzień najchętniej szybko wykonałabym wszystkie domowe obowiązki, zostawiła mięso, by piekło się powoli, i pobiegła przed siebie na klify, z wiatrem w plecy i morzem leżącym u stóp. Nasi państwo jeździliby konno po polach, ogary biegłyby obok.

Przed oczami miałam jeszcze Justina w czerwonym płaszczu. Kiedy byłam młodsza, trochę się w nim podkochiwałam. Tylko Bóg jeden wie, że nie chciałam go zabić. Wyglądając przez okno, czułam na sobie świdrujące spojrzenie księdza. Za szybą przemykały zielone pola, na których pasły się dorodne konie. Widząc, że zbliża się syczący parą potwór, zaniepokojone podniosły łby, uderzyły kopytami o ziemię i rzuciły się do ucieczki. Tak wspaniale wyglądały! Szkoda, że nie potrafiłam biegać tak szybko jak one. Nikt nie mógłby mnie dogonić.

Kiedy już zostanę pojmana, będzie to oznaczało śmierć przez powieszenie - zdawałam sobie z tego sprawę. Bezwiednie dotknęłam szyi. Zadrżałam. Co się czuje, kiedy wieszają człowieka? Jak długo to trwa? Czy boli? Z pewnością nie będą chcieli wysłuchać mojej wersji wydarzeń. Zabiłam syna angielskiego właściciela ziemskiego. Taka zbrodnia zasługuje na stryczek, mimo że przecież broniłam swojego honoru. Ale wiejskie dziewczęta nie mają honoru, prawda? Tak twierdził Justin. Powiedział, że należę do niego tak samo jak wszystkie zwierzęta na farmie. Czy znajdzie się ktoś, kto stanie w mojej obronie? Z pewnością nie ojciec. Wścieknie się, kiedy zobaczy, że zabrałam pieniądze odłożone na czarną godzinę. Ukrywał je w dzbanku stojącym nad kominkiem. Był przekonany, że to jego tajemnica, ale my, dzieci, dawno ją odkryłyśmy. Jedyne wspomnienie skórzanego paska, którym nas karał, sprawiało, że żadne nie ośmieliło się sięgać do dzbanka. Teraz jednak skórzany pasek wydawał się niczym w porównaniu z karą, która mogła mnie czekać. Znowu bezwiednie dotknęłam szyi.

Nie, nie liczyłabym na współczucie ze strony ojca. Prawdopodobnie powiedziałby, że swoim swobodnym zachowaniem prowokowałam Justina. Wystarczyło, że poszłam w sobotę wieczorem na tańce lub pozwoliłam się odprowadzić do domu, a już był niezadowolony. Za czasów jego młodości dziewczęta nigdy nie odzywały się niegrzecznie do dorosłych, a na tańce nie chodziły bez przyzwoitki. Ja to robiłam. Bardzo często.

Gdyby mama żyła, też by mi nie szczędziła wyrzutów - że sama się prosiłam i że zawsze miałam pomysły niestosowne do swojego pochodzenia oraz niewyparzoną gębę, która kiedyś doprowadzi do tragedii. Szkoda, że nie dożyła, by teraz powiedzieć „A nie mówiłam?”. Sprawiłoby jej to satysfakcję.

Nagle przyszło mi do głowy, że jestem kompletnie sama. Wszyscy nasi krewni albo umarli, albo wyemigrowali do innych krajów. W wiosce Ballykillin nie miałam żadnych prawdziwych przyjaciół. Dziewczynki, z którymi bawiłam się w dzieciństwie, dawno powychodziły za mąż za okolicznych głupków, którzy w głowach mieli tylko jedzenie, piwo i łóżko. Ja liczyłam na coś więcej, chociaż nie wiedziałam, gdzie to znajdę. Zabawne, że te dziewczęta mi współczuły - dla nich byłam starą panną, której nikt już nie zechce. Dawno się od nich odsunęłam, zwłaszcza gdy postanowiono, że będę pobierała nauki razem z córkami państwa Hartleyów. Nie żebym mogła nazwać pannę Vanessę albo pannę Henriettę swoimi przyjaciółkami. To też nie. One zawsze dbały o to, bym czuła się od nich gorsza. Oczywiście robiły to w sposób bardzo elegancki i subtelny. A teraz, kiedy już należały do angielskiej socjety, stać je było jedynie na niedbały ukłon, gdy w swoich powozach mijały mnie na drodze.

Tak więc na całym wielkim świecie nie miałam na kogo liczyć. Z jednej strony było to przerażające uczucie, z drugiej - bardzo mobilizujące. Nic nikomu nie zawdzięczałam. Wyzwoliłam się z Ballykillin. Od tego gotowania i sprzątania czterem niewdzięcznym mężczyznom. Mogłam być, kim zechcę... jeśli tylko uda mi się uciec wystarczająco daleko, by zacząć wszystko od początku. Jednego byłam pewna - nie chciałam jeszcze umierać.

Kiedy pociąg wjechał wreszcie na stację w Belfaście, było już późne popołudnie. Nakryłam głowę szalem i wmieszałam się w tłum kobiet, które właśnie wychodziły z okolicznych przedziałni. Pozwoliłam, by tłum poniósł mnie tak daleko, aż będę mogła swobodnie skierować się w stronę portu. Nikt mnie nie zatrzymał, kiedy wsiadałam na prom, ale przez całą drogę do Anglii przykrywałam głowę i starałam się nie pokazywać twarzy. W nocy nie mogłam usnąć i kiedy dotarliśmy wreszcie zimnym rankiem do brzegu, czułam się pólżywa. Piekły mnie oczy.

Wreszcie tu byłam, w obcym mieście, w obcym kraju, z czterema pensami w kieszeni, bez pomysłu na to, co robić dalej. Kiedy schodziłam z trapu, zwróciłam uwagę na wspaniałą wielki statek z dwoma kominami.

- Spójrz, to jest Majestic. Należy do White Star Line - usłyszałam idącą za mną kobietę. - Wiesz, to ten statek, którym młody O'Shea płynie do Ameryki.

Ameryka - pomyślałam. To tam powinnam się udać, oczywiście gdybym miała więcej niż cztery pensy w kieszeni. Irlandzcy chłopcy zawsze uciekali do Ameryki, jeśli wpakowali się w jakieś kłopoty z Anglikami. Przystanęłam na chwilę i przyjrzałam się statkowi. Ależ był wielki! Stojąc i patrząc na niego, czułam się, jakbym oglądała największe skały na świecie. Można by na ten statek zapakować całe Ballykillin, a jeszcze starczyłoby miejsca dla kilku

kościółów.

Tłum wokół poszturchiwał mnie, kierując na przemian to w stronę doków, to w zupełnie przeciwną. A potem nagle ludzie zniknęli - zupełnie jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Zostałam całkiem sama na wprost przepięknej promenady, wzdłuż której wznosiły się wysokie eleganckie budynki. Wcześniej podobne widziałam jedynie na obrazkach. Jeden z nich miał nawet z przodu kolumny, niczym jakaś rzymska świątynia.

Przed budynkami stały powozy i dorożki, a panie w wielkich pięknych kapeluszach i pelerynach obszytych futrem przechadzały się wokoło. Zapomniałam, że jestem bez grosza przy duszy, a na dodatek muszę uciekać. Stałam tam jak urzeczona! Wreszcie zobaczyłam prawdziwe miasto, które wygląda dokładnie tak, jak je sobie wyobrażałam. Budynek z kolumnami miał napis „Cunard Line”; ten drugi, nawet jeszcze większy, zbudowany z biało-czerwonej cegły - „White Star Line”. Balustrady balkonów były ozdobione udrapowaną czarną tkaniną. Przypomniałam sobie, że w Anglii trwa jeszcze żałoba po królowej, która zmarła ponad miesiąc wcześniej. Tak, flagi też były opuszczone do połowy masztu. Czegoś podobnego nie widziałam w Irlandii. Słyszałam, że w Dublinie tańczono na ulicach na wieść o śmierci królowej. Wiktoria nie darzyła Irlandczyków szczególną miłością. Nie oznaczało to jednak wcale, że jej następcą, król Edward, będzie lepszy.

Przechodząc przez ulicę, wpatrywałam się z zachwytem w wysokie budynki. Nagle z zadumy wyrwał mnie głośny klakson - coś niskiego na kołach przejechało obok. Ach, więc to jest automobil! Stałam jak wryta, przyglądając się mu z podziwem, dopóki nie zniknął w obłoku spalin. Pewnego dnia będę taki mieć - obiecałam sobie, ale natychmiast powróciła myśl, że przecież jestem ścigana, popełniłam przestępstwo i nie mam szans na przeżycie. No, chyba że wezmę się w końcu w garść i ruszę głową. Przynajmniej byłam teraz w dużym mieście. Może uda mi się wtopić w tłum mieszkających tu Irlandczyków. Znajdę pracę w fabryce, wynajmę pokój i wszystko może się jakoś ułożyć. Może.

Zaczęłam iść wąskimi ulicami. Nigdy przedtem nie chodziłam po mieście. Oczywiście oprócz wczorajszej wizyty w Belfaście, ale Belfast nie jest nawet w połowie tak wielki. Poza tym byłam zbyt przerażona, by się czemukolwiek przyglądać. Zawsze marzyłam, że kiedyś zamieszkać w Dublinie albo nawet w Londynie, w porządnym domu ze służbą. Będę miała powóz i całą resztę... Owszem, jestem teraz w dużym mieście, ale zupełnie sama.

Wkrótce przekonałam się, że miasto ma różne dzielnice. Wzdłuż morskiej promenady stały piękne domy, ale im dalej w głąb lądu, tym bardziej obraz się zmieniał. Nad szarymi, brudnymi ulicami unosiła się gęsta chmura. I nie był to zwykły dym o słodkawym ziołowo-torfowym zapachu, taki jak z komina naszego domu. Od tego miejskiego dymu

brązowiło powietrze, wszędzie czuć było duszący zapach.

Szłam i szłam. Domy stały blisko siebie, stłoczone w cieniu wspaniałych budynków z nadbrzeża. Widziałam zmęczone kobiety o szarych twarzach, trzymające na biodrach młodsze dzieci. Starsze bawiły się na ulicy. Chłopiec z zaciętym wyrazem twarzy rzucił w moim kierunku kamieniem i szybko uciekł. Poczułam nagle głód, ale nie miałam pieniędzy na jedzenie. Najpierw praca, potem posiłek - powiedziałam sobie.

Pod koniec dnia znów byłam przy dokach, wciąż bez pracy i wciąż głodna. Odwiedziłam wiele fabryk, ale wszystkie miały na drzwiach ogłoszenie: „Nie potrzebujemy pracowników” albo, co gorsza, „Nie potrzebujemy irlandzkich pracowników”.

Szary poranek zamienił się w pochmurne popołudnie. Spadł deszcz, który nie był tak odświeżający jak w moich rodzinnych stronach, w hrabstwie Mayo, ale drobny i gwałtowny. Pozostawił smugi na policzkach i pobrudził mi ubranie. Zimny wiatr wiał od strony oceanu. Bolały mnie nogi. Było mi zimno, czułam się głodna i zmęczona. Pojawił się również strach, bo zdałam sobie sprawę, że za długo przebywałam w okolicach portu. Już teraz na pewno mnie szukają. Jeśli zaraz nie znajdę kryjówki, wkrótce mnie złapią i będzie po wszystkim. Egzotyczne zapachy przypraw i perfum unosiły się z nadbrzeżnych budynków, przywodząc na myśl dalekie porty. Może będę miała szczęście i trafię na jakieś otwarte drzwi? Może znajdę schronienie na noc, a nawet coś do jedzenia?

Szłam wąską uliczką, naciskając jedną kławkę po drugiej. Kiedy spojrzałam za siebie, ujrzałam niebieskie mundury i kaski. Śledziło mnie dwóch policjantów. Ciaśniej otuliłam się szalem i przyspieszyłam, ale ich ciężkie kroki wciąż odbijały się za mną echem. Skręciłam. Oni również. Wkrótce zorientowałam się, że jestem w pułapce. Uliczka była ślepa. Wokół same wysokie ściany budynków. Jedyne drzwi zostały zamknięte przez policjantów. Drzwi po prawej stronie były lekko uchylone, chociaż w środku się nie świeciło. Musiałam zaryzykować. Pchnęłam je i weszłam do środka.

2

Znalazłam się w wąskim przedsionku, w którym unosił się zapach gotowanej kapusty i moczu. Musiał to być jakiś pensjonat, bo na ścianach wisiały informacje dotyczące obowiązujących tu zasad - zakaz palenia, zakaz picia, zakaz odwiedzin, zakaz trzymania zwierząt, zakaz gotowania w pokojach. Obok umieszczono cytaty niczym z Biblii: „Kochaj sąsiadów swoich”.

Stałam, nie wiedząc, co dalej robić, kiedy drzwi się otworzyły i do środka weszli dwaj policjanci.

- Chwileczkę, panienko - powiedział jeden z nich. - Musimy zamienić słówko.

Każdy wie, że najlepszą obroną jest atak. Nie po raz pierwszy kłamstwo miało mnie wybawić z kłopotów. Oczywiście czasami zdarzało się inaczej. Ale o tym akurat teraz nie miałam czasu myśleć.

Odrzuciłam do tyłu głowę, a ręce oparłam na biodrach.

- Zauważyłam, że za mną idziecie. Nie macie nic lepszego do roboty? Musicie śledzić porządne dziewczyny, które wracają do domu po całym dniu pracy? A może powinnam wam jeszcze dziękować za opiekę?

Wciąż patrzyli na mnie zimno i podejrzliwie.

- Czy panienka tutaj mieszka?

W bezczelnych kłamstwach nigdy nie byłam mistrzynią. Rodzice srogo nas karali, kiedy nie mówiliśmy prawdy. Czegoś nas jednak nauczyli.

- Niezupełnie, proszę pana. Odwiedzam...

- Mamy szukać młodej dziewczyny. Jest pani do niej bardzo podobna.

W tym momencie tuż przy moim boku otworzyły się drzwi i stanęła w nich jakaś kobieta.

- Czy to wreszcie ty, Siobhan? - zapytała. - Właź do środka natychmiast, ty darmozjadzie! Nie chcę słyszeć żadnych wymówek!

Złapała mnie za rękaw i pociągnęła w swoim kierunku.

- Czy zna pani tę młodą kobietę? - zapytał jeden z policjantów.

- Sugeruje pan, że nie znam własnej siostry? - odpowiedziała nieznajoma. - Godzinę temu wysłałam ją po lekarstwa i chciałam wiedzieć, gdzie się podziewała. Żadnego zrozumienia dla biednej, chorej siostry! Niewdzięcznica!

Albo była stuknięta, albo ślepa, bo z pewnością brała mnie za kogoś innego. Postanowiłam nic nie mówić, zwiesiłam głowę i udawałam skruchę.

- Rano wszyscy wsiadamy na statek do Ameryki - ciągnęła kobieta. - Nie mogę wybrać się w daleką podróż bez swoich proszków. - Odwróciła się i zakaszła.

Pierwszy policjant dotknął czoła.

- Przepraszamy za najście, proszę pani. Przepraszamy, panienko. Powodzenia w Ameryce!

Odeszli, zostawiając mnie w osłupieniu sam na sam z nieznajomą. Była młodsza, niż wydało mi się z początku. Bardzo chuda, o zmęczonych oczach.

- Przepraszam - powiedziałam. - Pomyliła się pani. Nie jestem pani siostrą.

Na jej zmęczonej twarzy pojawił się uśmiech.

- Wydaje ci się, że źle widzę? - spytała. - Obserwowałam was przez okno i zauważyłam, że tych dwóch cię śledzi. Pomyślałam, że nic dobrego z tego nie wyniknie. Nie cenię angielskiej policji. Nie wiem, co zrobiłaś, ale nie wyglądasz mi na przestępczynię.

Zaprosiła mnie do środka.

- Wejdz, proszę. Postawiłam na ruszcie wodę na herbatę.

Zamknęła za nami drzwi.

Dwójka małych dzieci ogrzewała się przy lichym piecyku. Spojrzały na mnie wielkimi, czujnymi oczami.

- Dzień dobry - powiedziałam. - Mam na imię Molly, a wy?

Kobieta położyła ręce na głowach dzieci.

- To jest Seamus, tak jak jego tata. A ta mała istotka to moja Bridie.

Seamus wciąż nie odrywał ode mnie wzroku, ale na jego twarzy pojawiło się coś na kształt uśmiechu. Bridie zakryła twarz kocem.

- Odkąd opuściliśmy dom i przyjechaliśmy tutaj, są trochę nie w sosie - ciągnęła kobieta. - Nie wiedzą, co je czeka i co będzie dalej. Biedactwa! Jestem Kathleen O'Connor - wyciągnęła do mnie rękę.

- Molly Murphy - powiedziałam. - Miło mi panią poznać. Jestem pani bardzo wdzięczna za pomoc. Nie znam tu nikogo.

Nalała gorącej wody do dzbanka na herbatę.

- Gospodyni nie pozwala nam gotować w pokojach, ale jedzenie, które nam podaje, jest do niczego. Nawet pies by go nie tknął. Usiądź wreszcie. Wyglądasz na umęczoną. Czy ci dwaj naprawdę cię śledzili?

Wyjrzałam przez okno, nie do końca pewna, czy przypadkiem dalej nie węszą gdzieś w okolicy.

- Obawiam się, że tak. - Zacerpnęłam głęboko powietrza. - Uciekłam z Irlandii.

Możliwe, że to właśnie mnie szukają. Dlatego nie powinnam tu długo zostać. Nie chcę was w nic wplątać...

- Myślisz, że wydałabym cię tym angielskim policjantom? - spytała. Jej akcent był zupełnie inny niż mój, słycać w nim było ostre „r” charakterystyczne dla północnych części kraju. - Cokolwiek zrobiłaś, z pewnością nie jest to nic aż tak strasznego.

Zerknęłam na dzieci.

Szybko odgadła moje myśli.

- Chyba macie już ochotę na podwieczorek - powiedziała. Sięgnęła do portmonetki zaczepionej przy pasku. - Macie tu dwa pensy. Seamus, zabierz siostrę do baru za rogiem i przynieście nam tu frytek za te dwa pensy. - Wręczyła chłopcu pieniądze, a on wziął siostrzyczkę za rękę.

- Chodź, Bridie - powiedział. - I lepiej się pośpiesz, bo nie będę na ciebie czekał.

Dziewczynka zerknęła niepewnie na matkę.

- No idź, proszę - powiedziała kobieta do córki, wkładając jej szalik. - Będziesz źle spała w nocy, jeśli nie złapiesz trochę świeżego powietrza.

Kiedy za dziećmi zamknęły się drzwi, Kathleen zwróciła się w moją stronę.

- Zabiłam człowieka - powiedziałam i obserwowałam, jakie wrażenie robi na niej ta informacja. - Nie chciałam zabić.

- Nie chciałaś? - zapytała.

Patrzyłam w ogień. Chyba wyparłam wszystko z pamięci. Wołałam nie myśleć o tym, co się stało. Dopiero teraz całe zdarzenie ujrzałam jeszcze raz, jakby doszło do niego przed chwilą.

Justin wpada do naszego domku, wbija we mnie wzrok i z tym swoim bezczelnym uśmiechem na twarzy mówi mi, że nie mam się co bronić, bo przecież jestem jego własnością. Tak samo jak zwierzęta na farmie. Po raz pierwszy w życiu wiedziałam, że nie pokonam go słowami. Argumenty, które działały na innych chłopców, nie działały na Justina. Zaśmiał się i rzucił mnie na kuchenny stół. Usłyszałam, jak szeleści rozrywana suknia. Zaczął się niecierpliwić. Chwilę później zadałam mu cios, który zadziwił nawet mnie samą. Pamiętam jeszcze zdumienie na jego twarzy i przerażający odgłos uderzenia głową o piec... i krew wszędzie.

- Próbował, no wiesz... próbował się ze mną zabawić. - Nie potrafiłam wypowiedzieć słowa „zgwałcić”. - Odepchnęłam go, a on się poślizgnął i uderzył w głowę.

- A więc... - zaczęła Kathleen, ale potrząsnęłam głową.

- Nie, to przecież nie przekona sędziów, prawda? On był synem ziemianina. To

arystokracja, a zabicie kogoś takiego nie uchodzi na sucho.

Wpatrywałam się w płomienie. Dopiero teraz docierała do mnie cała powaga sytuacji.

- Porwał mi sukienkę - powiedziałam, rozchylając szal. Poczułam, że jestem bliska łez. Nie mam jednak zwyczaju płakać w obecności nieznajomych.

- Bestia - rzekła cicho Kathleen, co sprawiło, że jeszcze bardziej zachciało mi się płakać. - Zasłużył na znacznie gorszą śmierć. Nie martw się. Nie pójde na policję. Anglicy są podli. Jak myślisz, z jakiego powodu mój Seamus musiał wyjechać do Ameryki i zostawić nas tutaj na pastwę losu aż na dwa lata?

Podawała mi herbatę w wyszczerbionym emaliowanym kubku. Wzięłam duży łyk i poczułam, jak ciepło wraca do ciała.

- Najpierw zabrali mi brata, potem męża - ciągnęła. - Zaczęło się, kiedy powiesili naszego Liama. Miał tylko dziewiętnaście lat, kochany braciszek. Razem z kolegami próbował powstrzymać zarządcę, który chciał eksmitować naszego sąsiada. W bójce zarządca zginął. Wszystko się działo w nocy, pogoda była brzydka; uszłoby im to na sucho, ale ktoś ich wydał. Jeden z nich, ma się rozumieć. Wszystkich powiesili - odwróciła się i znów zakaszła.

- To straszne - powiedziałam. - A twój mąż?

- Próbował zorganizować w fabryce związek zawodowy. Ogłosili strajk. Zwołano strażników i zrobiło się nieprzyjemnie. Mój Seamus musiał uciekać, by ratować życie. - Znów zaniósł się kaszlem. - Udało się wsadzić go na statek do Ameryki, ale nie może wrócić do domu. Wyznaczyli nagrodę za jego głowę.

- Ale zaraz do niego dołączycie, prawda? To wspaniale.

- Tak. Wspaniale - odpowiedziała z dziwnym wyrazem twarzy.

W tym momencie do pokoju wpadły dzieci z torbą pełną frytek.

- Seamus zjadł parę po drodze - poskarżyła się Bridie, zanim przypomniała sobie, że w domu jest ktoś obcy. Kiedy mnie zauważyła, zwiesiła głowę i przytuliła się do matki.

- I tak starczy dla wszystkich - oznajmiła Kathleen. - A z wczoraj zostało nam trochę mięsnej zapiekanki. Czeka nas prawdziwa uczta.

Rozłożyła gazetę na małym okrągłym stoliku.

- Proszę, częstuj się - powiedziała do mnie.

- Nie, dziękuję. Nie mogę.

- Mamy dużo jedzenia. Nie pójdziemy spać głodni. Jutro będziemy w luksusach objadać się na statku.

- Czy na statku będzie dużo smakołyków? - Seamus wpychał sobie frytki do buzi. - Będą kielbaski, mięso i inne rzeczy?

- Oczywiście. Wszystkiego pod dostatkiem. Ile tylko zdołasz zjeść - odpowiedziała matka.

Popiliśmy kolację herbatą, a potem Kathleen zapakowała dzieci do łóżka. Siedziałyśmy przy ogniu, dopóki płomień nie zaczął wygasać. Rozmawiałyśmy o naszych domach. Opowiedziała mi o swojej wiosce w hrabstwie Derry. Ja mówiłam o życiu w Ballykillin, o pływaniu w oceanie i o tym, jak biegałam po polach, czując na plecach ostre powiewy wiatru. Wydawało mi się wtedy, że umiem latać. To wspomnienie powoli się zacierało, zupełnie jakbym czytała o swoim życiu w książce.

- I co teraz zrobisz? - zapytała Kathleen, pochylając się w stronę ognia, by wykrzesać jeszcze ostatnie płomienie.

Wzruszyłam ramionami.

- Nie mam pojęcia. Pieniądze miałam tylko na podróż tutaj. Już nic mi nie zostało. Miałam nadzieję, że znajdę pracę w jakiejś fabryce, ale nie wydaje się to wcale takie proste.

- Nie masz tutaj żadnych znajomych? Nikogo, kto by cię przyjął?

- Nikogo. W rodzinie zawsze mówili, że źle skończę. Teraz myślę, że mieli rację. Szkoda, że nie mam więcej pieniędzy. Popłynęłabym z wami tym wspaniałym statkiem do Ameryki. Pewnie bardzo się cieszysz na spotkanie z mężem po tak długim czasie?

Wciąż patrzyła w ogień.

- Mhm - westchnęła. Wstała, podeszła do łóżka i wyciągnęła poduszkę. - Mam nadzieję, że nie zmarzniesz przy ogniu - powiedziała. - Może dam ci jeszcze szal?

- Naprawdę mogę się przespać na podłodze? - zapytałam. - Nie chcę sprawiać wam kłopotu.

- Przecież nigdzie nie pójdziesz - odparła. - Teraz, kiedy dzieci już zasnęły, ja poproszę cię o przysługę. - Usiadła przy mnie na dywaniku przed paleniskiem.

- O przysługę?

Nie miałam pojęcia, o co chce poprosić. Byłam ostatnią osobą na świecie, która może oddać komuś przysługę.

- Popłynij jutro zamiast mnie z dziećmi do Ameryki - powiedziała.

- Co?! - krzyknęłam, pewna, że się przesłyszałam.

- Nie mogę jutro wsiąść na statek.

- Dlaczego nie?

- Nie wpuszczają mnie - wyjaśniła bez emocji, patrząc na dogasający ogień. - Przed podróżą trzeba było przejść badanie lekarskie. Lekarz powiedział mi, że mam suchoty. To poważna choroba. Nazwał ją gruźlicą. Podobno z gruźlicą nie wpuszczają do Ameryki.

Nie wiedziałam, co powiedzieć. Siedziałyśmy w milczeniu, patrząc przed siebie.

- Ja nie mogę zabrać dzieci do ich ojca, a on nie może przyjechać po nie tutaj - powiedziała. - Chcę, żeby miały szansę na lepsze życie. Mówią, że w Ameryce jest nadzieja. Więc powinny się tam znaleźć. Proszę cię, żebyś popłynęła zamiast mnie, Molly. Zabierz moje dzieci do ich ojca.

- A co będzie z tobą?

Spojrzałam na nią. Miała w oczach łzy.

- Raczej nie wychodzi się z suchot, prawda? Ale jeśli Matka Boska sprawi, że stanie się cud i wyzdrowieję, natychmiast wsiądę na kolejny statek. Wierz mi. Zanim to nastąpi, pojedę do rodziny, do hrabstwa Derry. Na pewno się mną zajmą.

- A co byś zrobiła, gdybym się nie pojawiła? - zapytałam.

- Zaryzykowałabym. Ale i tak by mnie nie wpuścili. Miałabym tylko nadzieję, że uda się wysłać dzieci same i że w końcu trafią do ojca. Teraz jestem spokojna, bo wiem, że pod twoją opieką będą bezpieczne.

Po raz pierwszy na mnie spojrzała.

- Mam wrażenie, że zesłała cię tutaj Opatrzność Boska. Zabierzesz je, prawda?

Co mogłam powiedzieć?

Następnego ranka, pod zmienionym nazwiskiem, płynęłam do Ameryki.

3

Pierwsze czerwone promienie wschodzącego słońca z trudem przedzierały się przez gęstwinę czarnych kominów. W milczącej procesji kierowaliśmy się w stronę portu. Ani ja, ani Kathleen nie spałyśmy dobrze. Długo siedziałyśmy przy żarzących się polanach, rozmawiając tak, jak rozmawia się z nowo poznaną osobą, wiedząc, że widzi się ją po raz pierwszy i ostatni. Kiedy rozmowa przestała się kleić, Kathleen położyła się obok dzieci i mocno je do siebie przytuliła. Trudno mi było wyobrazić sobie, co czuje. Owinęłam się szalem i próbowałam zasnąć, ale śniły mi się rzeczy tak przerażające, że w końcu postanowiłam otworzyć oczy i jakoś dotrzeć do rana na jawie.

Tuż przed świtem musiałam jednak na moment usnąć. Kiedy się obudziłam, dzieci były już na nogach, a Kathleen krzątała się po pokoju.

- Zostało trochę zapiekanki z wieczora, jeśli jesteś głodna. - Wskazała mało apetyczne resztki na stole. - Na śniadanie będzie owsianka, ale może lepiej, żebyś nie pokazywała się w jadalni. Po co gospodyni ma wiedzieć, że tu spałaś?

Skinęłam głową i zaczęłam szukać szczotki do włosów, którą w pośpiechu wrzuciłam razem z innymi rzeczami do tobołka. Dzięki Bogu, że o niej pomyślałam. Zawsze dbałam o wygląd - nie chciałam, by mnie oglądano z jakimś kołtunem na głowie zamiast porządnego uczesania. Mama nazywała to grzechem próżności i co tydzień kazała mi się z niego spowiadać. Posłusznie wykonywałam polecenie, za pokutę odmawiałam trzy razy *Zdrowaś Mario* i dalej robiłam swoje. Lubiłam trwać w grzechu próżności.

- Chodź do mnie, Bridie - powiedziałam do dziewczynki, wskazując na szczotkę. - Ciebie też uczeszymy.

Niech się dziecko przyzwyczaja do mojej opieki - pomyślałam.

Dopiero teraz zdałam sobie sprawę, że nie wszystko będzie takie proste. Wczorajszej nocy miałam inne rzeczy do przemyślenia. Poczułam, że ogarniają mnie wątpliwości. A jeśli dzieci nie będą chciały mi towarzyszyć w podróży? Pamiętam, jak mój młodszy brat zawsze podejrzliwie odnosił się do nieznanomych. Czy ta dwójka da się łatwo oddzielić od matki? Czy obędzie się bez scen? A jeśli wpadną w histerię? Wtedy wszystko wyjdzie na jaw...

Kathleen musiała pomyśleć dokładnie o tym samym. Wzięła dziewczynkę za rękę i podprowadziła do mnie.

- Bridie, podejdź do miłej pani Molly. Przepięknie cię uczesze.

Mała popatrzyła na mnie nieśmiało, a potem pozwoliła sobie rozczesać splątane loki. Robiłam to delikatnie, starałam się nie szarpać.

- Rety, ale masz piękne włosy! - powiedziałam. - W Ameryce to jeszcze nie widzieli tak ślicznej dziewczynki jak ty.

Zachichotała, czując, że w tym, co mówię, jest ziarenko prawdy.

Ponad głową dziewczynki spojrzałam na Kathleen. Była zamyślona i poważna.

- Powiedziałas im? - zapytałam. - Wiedzą, co się dzisiaj stanie?

- Wyruszymy w podróż statkiem - oznajmił poważnie Seamus. - Popłyniemy do tatusia w Ameryce.

Wpatrywałam się w Kathleen, ale ona ciągle milczała.

- Musisz im powiedzieć - wyszeptalam, podchodząc do stołu i udając, że sięgam po resztki zapiekanki. - Nie możesz czekać do ostatniej chwili.

- Jak przyjdzie dobry moment - odparła cicho. - Ciągle myślę, jak im wytłumaczyć.

Ubraliśmy się, zapakowaliśmy resztę rzeczy i wyszliśmy. Było bardzo wczesnie i straszliwie zimno. Kamienie bruku pokrywał lód. Kiedy przemierzaliśmy kolejne uliczki, nasze kroki odbijały się nienaturalnie głośnym echem. Para z ust układała się w obłok przypominający ogień, którym zieją smoki w bajkach. Myślałam, że o tej porze ulice będą jeszcze wyludnione, ale im bliżej portu podchodziliśmy, tym bardziej gęstniał tłum i narastał gwar. Ze wszystkich małych domków wychodzili ludzie pracujący w fabrykach na pierwszej zmianie. Kobiety czyściły schody. Weszliśmy na szerszą, większą ulicę, na której pojawiły się powozy i inne pojazdy, prawdopodobnie podążające w kierunku naszego statku.

Wreszcie naszym oczom ukazał się Majestic. Z jego dwóch kominów wydobywał się dym, a ludzie uwijali się wokół jak mrówki. Poczulałam wielkie podniecenie. Mimo wszystkich obaw i lęków wiedziałam, że czeka mnie przecież wspaniała przygoda. Przygoda, o jakiej marzyłam podczas zwyczajnych dni w Ballykillin.

Przy wejściu do portu stał jakiś człowiek i oglądał dokumenty przybywających. Kathleen skierowała nas na bok i płacząc, zaczęła szukać czegoś w tobołku.

- Wiecie co? - Zaśmiała się przez łzy. - Mam tu bilety dla Seamusa i Bridie, ale swój zostawiłam w domu, w Stabane. Czyż to nie jest najgłupsza rzecz, jaka mogła się nam przydarzyć?

- Mamo, jak mogłaś! - krzyknął Seamus. - To znaczy, że nie popłyniemy! Tak?

- Uważam, że powinniście popłynąć - powiedziała Kathleen. - Panna Molly ma bilet. Popłyniecie z nią. Zaopiekuje się wami i doprowadzi bezpiecznie do ojca. Ja wrócę do domu, wezmę bilet i przyplnę do was kolejnym statkiem.

Wpatrywałam się w nią, ale nie powiedziałam ani słowa.

- Ale my chcemy być z tobą, mamusiu - poskarżyła się Bridie. - Popłynemy wszyscy

następnym statkiem.

- Nie. Popłyniecie teraz - odparła Kathleen. - Tata na was czeka. Bardzo pragnie was do siebie przytulić. Nie możemy mu tego zrobić, prawda? A poza tym nie mamy pewności, że na kolejnym statku znajdzie się miejsce dla całej naszej trójki. Tutaj mamy zarezerwowaną całą kajutę. Panna Molly dobrze się wami zaopiekuje.

- Oczywiście - zapewniłam, wchodząc w rolę, którą mi wyznaczono, choć nie podobała mi się ta wymyślona dla dzieci historia. Być może Kathleen kłamała dlatego, że nikt w dzieciństwie nie bił jej pasem i nie nauczył prawdomówności. - Na statku czeka nas wspaniała zabawa. Dobre jedzenie i różne gry. A za parę dni będziemy w Nowym Jorku.

- Jest tylko jedna rzecz - powiedziała Kathleen, przygarniając dzieci do siebie. - Musimy wszyscy trochę poudawać, tak dla zabawy.

Dzieci wpatrywały się w nią z zainteresowaniem.

- Panna Molly ma kajutę bardzo daleko od naszej - powiedziała Kathleen. - Gdyby została w swojej, nie mogłaby się wami zająć. Dlatego poprosiłam ją, żeby zajęła moje miejsce. Ale jest jedna rzecz... Kajutę zarezerwowano na nazwisko Kathleen O'Connor, więc nie mogą do niej wpuścić panny Molly, prawda?

Dzieci wyglądały teraz na zdezorientowane.

- Jak myślicie, co powinniśmy zrobić w tej sytuacji? - spytała Kathleen.

- Poprosić, żeby zmienili nazwisko? - zaproponował Seamus.

Kathleen potrząsnęła głową.

- Na to jest już za późno. Uważam, że musimy udawać, że panna Molly to ja. To będzie taka zabawa, wasza wspólna tajemnica. Pamiętajcie, nie wolno jej nikomu zdradzić, dobrze?

Dzieci zaśmiały się i spojrzały na mnie.

Zmusiłam się do uśmiechu.

- Nasza słodka tajemnica. - Położyłam palec na ustach.

- Czas wchodzić na pokład - powiedziała Kathleen. - Seamus, kochanie, masz wystarczająco dużo siły, żeby nieść ten tobołek?

- Mam.

Chłopiec zabrał tobołek i chociaż bagaż był wielki i ciężki, radził sobie z nim prawdziwie po męsku.

Kathleen wręczyła mi bilety.

- Potrafisz czytać i pisać? - zapytała.

- I jedno, i drugie idzie mi bardzo dobrze.

- Kiedy przyplyniecie do Ameryki, będą wam zadawać pytania. Odpowiedzi są tutaj na kartce: moje nazwisko panieńskie, nazwa wioski, z której pochodzę, data ślubu. Mogą zapytać o cokolwiek, więc proszę, naucz się tego na pamięć, zanim dopłyniecie do brzegu.

- Nie martw się - odparłam. - Niczym się nie martw. Wszystko będzie dobrze.

Bridie dopiero teraz zdała sobie sprawę z tego, co się dzieje. Uczępiła się spódnicy matki.

- Nie chcę płynąć bez ciebie, mamusiu - powiedziała. - Chcę z tobą zostać.

- Cichutko, nie płacz... - odrzekła Kathleen, głaszcząc córkę po głowie. - Nie możesz zostać ze mną, maleńka. Musisz popłynąć z panną Molly. Niedługo się zobaczymy. Obiecuję!

- Mamo, postaraj się szybko do nas dołączyć - poprosił Seamus. - Tata na pewno będzie pytał, co się stało, dlaczego przyplłynęliśmy sami.

- Postaram się dotrzeć do was jak najszybciej. - Głos jej się załamał, przez chwilę milczała. - Dni szybko miną, będziecie się dobrze bawić. - Przytuliła dzieci do siebie, schowała twarz w szalu Bridie i wyszeptwała: - Bądźcie grzeczne. Pamiętajcie, o co was prosiłam. Pamiętajcie o wieczornej modlitwie i słuchajcie się panny Molly.

Dzieci skinęły głowami, patrząc uważnie na matkę, tak jakby w pełni zdawały sobie sprawę z tego, co się dzieje.

- No, idźcie już - powiedziała. - Ja już dalej nie pójdę. Stąd wam pomacham.

- My tobie pomachamy, jak wejdziemy na pokład. Mam chusteczkę. Jak zobaczysz z daleka coś białego, to będzie moja chusteczka. Będę nią do ciebie machał.

- A ja wtedy pomacham swoją. - Kathleen spróbowała się uśmiechnąć. - No dalej, ruszcie się wreszcie, bo statek odpłynie bez was.

Szybko ucałowała Seamusa, potem Bridie, aż wreszcie położyła ręce na moich ramionach.

- Niech Bóg będzie z tobą. Niech Święta Panienka opiekuje się waszą trójką.

- I tobą też.

Popatrzyłyśmy przez chwilę na siebie, po czym Kathleen odwróciła się i pobiegła.

Wzięłam Bridie za rękę.

- Chodźcie, poszukamy naszej kajuty.

W porcie było teraz jak w ulu. Podjeżdżały powozy, wysypywali się z nich ludzie. Bagaze kładziono na specjalnym pasie, który zabierał je na górę, na pokład.

Kiedy zbliżyliśmy się do krawędzi lądu, podbiegła do mnie jakaś kobieta i złapała za rękę.

- Wygląda pani na kogoś o dobrym sercu. Mój syn Sean od trzech lat nie daje znaku

życia. Jeśli go pani spotka, proszę powiedzieć, żeby napisał do starej matki, bo chyba nie chce, by umarła z tęsknoty.

Wepchnęła mi do ręki zwitek papieru. Było na nim napisane dziecięcym charakterem pisma: *Sean O'Neil, poprzednie miejsce zamieszkania Balymore, hrabstwo Antrim.*

Nie potrafiłam jej powiedzieć, że jest mała szansa, bym spotkała Seana. Przytaknęłam więc gorliwie:

- Zrobię, co będę mogła.

- Zawsze tu przychodzę, gdy odpływa jakiś statek - powiedziała. - Wierzę, że kiedyś wreszcie ktoś go spotka.

Odwróciła się pospiesznie i wtopiła w tłum.

Wejście na statek było szerokie, udekorowane literami ułożonymi w słowa „White Star Line” i prowadziło aż na ozdobiony flagami pokład, na którym przygrywała orkiestra. Zaczęliśmy się tam kierować, gdy poczułam, że ktoś łapie mnie za ramię.

- A wy dokąd? - zapytał marynarz.

- Na pokład. Mamy bilety.

- Pasażerowie trzeciej klasy na dół!

Wskazał głową inne wejście, na samym końcu statku. Tam nie było już ozdób ani schodów na górny pokład. Sznur wychudzonych, obdartych ludzi kierował się do środka, z trudem dźwigając wielkie toboły. Matki niosły na rękach małe dzieci. Zza zamkniętych bram słychać było szlochanie. Tłum nacierał, wyciągał ręce, podnosił niemowlęta. Od czasu do czasu dochodził do nas wyraźniejszy krzyk. „Niech Bóg was prowadzi, Eileen! Conor, mój synku! Mój kochany chłopcze! Spotkamy się w niebie, jeśli na ziemi już nie będzie nam dane!”

Ktoś wyciągnął rękę i próbował mnie chwycić za ubranie.

- Jeśli spotka pani mojego męża, Micka O'Shea, proszę mu powiedzieć, że jego żona Mary pyta, czy wszystko z nim w porządku. Mick O'Shea, zapamięta pani?

Bridie mocniej ścisnęła mnie za rękę. Kiedy szłyśmy w kierunku kolejki, zauważyłam dwóch policjantów, którzy stali w cieniu i obserwowali tłum. Prawie zdążyłam zapomnieć, że to wcale nie przygoda, tylko desperacka ucieczka. Jeszcze parę metrów i będę bezpieczna na statku. Podniosłam Bridie do góry, tak by za jej drobnym ciałem ukryć twarz.

Przy samym wejściu sprawdzano nazwiska na liście pasażerów.

- Kathleen O'Connor, syn Seamus, córka Bridie - powiedziałam głośno. - Proszę, oto bilety.

Odznaczono nas na liście i weszliśmy prosto na dolny pokład.

Panowała tam ciemność. Tłum pokierował naszą trójkę w stronę prowizorycznej recepcji. W powietrzu unosił się nieprzyjemny zapach. Znowu poczułam gotowaną kapustę i mocz, tak jak w pensjonacie, ale tutaj dochodziła też ostra woń czegoś, czego nie potrafiłam jeszcze nazwać.

- Imię?! - krzyknął w moją stronę umundurowany mężczyzna, kiedy podeszliśmy do biurka.

- O'Connor. Kathleen, Seamus, Bridie.

- Tylko pani i dwójka dzieci, tak?

- Zgadza się.

- A mąż? Gdzie jest?

Miałam ochotę odpowiedzieć, że to nie jego sprawa. W końcu zapłaciliśmy za bilety, prawda?

- Jest w Nowym Jorku. Czeka tam na nas.

- No, mam nadzieję - odparł mężczyzna. - Jeżeli nie przyjdzie po was na Ellis Island, zostaniecie odesłani z powrotem do domu. Nie przyjmują tam samotnych kobiet z dziećmi, które mogłyby się stać ciężarem dla Ameryki.

- Będzie czekał - zapewniłam. - To on przysłał nam bilety. A teraz proszę nam wskazać naszą kajutę, żebyśmy mogli zostawić bagaże, wejść na pokład i pomachać bliskim na pożegnanie.

Mężczyzna odwrócił się do kolegi.

- Popatrz na nią - zachichotał. - Za kogo się pani uważa? Kwatery dla kobiet są tutaj, na dole. Proszę sobie znaleźć pryczę. Można wziąć każdą, która nie jest jeszcze zajęta. A jeśli chodzi o wchodzenie na pokład... Cóż, to jest trzecia klasa, pod pokładem. Następny!

Przepuścił mnie. Tłum z tyłu nacierał na nas. Nie było innego wyjścia, jak tylko poprowadzić dzieci w kierunku zadymionego korytarza.

Bridie zaczęła się bać.

- Chcę do mamy - zaszlochała.

- Pamiętasz, jaką mamy tajemnicę? - spytałam szeptem. - Musisz mnie nazywać mamą, dopóki nie przyplniemy do Nowego Jorku.

- Ale ja chcę do mojej prawdziwej mamy.

Rozejrzałam się wokół, mając nadzieję, że nikt tego nie usłyszał. Po obydwu stronach korytarza znajdowały się przedziały z na wpół zamkniętymi drzwiami z desek. W środku widziałam zarys sześciu pryczy, trzech po jednej i trzech po drugiej stronie. Większość już miała lokatorów.

- Czy są tu wolne miejsca? - powtórzyłam kilkanaście razy.

W końcu usłyszałam odpowiedź:

- Górna prycza wolna. Zapraszam.

- To gdzie w końcu śpimy? - zapytał Seamus.

Z dolnej pryczy wyjrzała kobieta o zmęczonych oczach.

- Dzieci muszą spać z nami. Chyba że chłopiec ma więcej niż dwanaście lat.

- Mam osiem - oznajmił Seamus.

- W takim razie śpisz tutaj - zdecydowała. - Niech wejdzie na drabinę i wrzuci na górę wasze bagaże.

- Wejdz, Seamus - powiedziałam. - Zostań tam z rzeczami, a ja zerknę, czy nie znajdziemy gdzieś lepszego miejsca.

Z Bridie wciąż uczeponą z całych sił mojej szyi obeszłam parę razy korytarz, by się przekonać, że nie czeka na nas lepsza kwatery. Pomogłam dziewczynce wejść na górę i przyjrzałam się naszej pryczy. Był tam tylko cienki materac, nic więcej. Żadnego prześcieradła, żadnego koca, nic.

- Gdzie dostaniemy pościel? - zapytałam sąsiadki.

- Pościel? - Chichot przeszedł w suchy kaszel. - Trzeba było samemu o nią zadbać, kochana. Nikt ci nie powiedział?

Otworzyłam nasz tobołek i znalazłam w nim prześcieradło. Ale koca nie było. Trzeba będzie zadowolić się samym szalem. Zaczęłam układać resztę rzeczy na wąskiej półeczce na końcu pryczy, kiedy usłyszałam rytmiczne dudnienie odbijające się echem od każdej ściany. To kotły na statku zaczęły pracować. Musiały wytworzyć wystarczającą ilość pary, byśmy zdołali odpłynąć.

- Kiedy wyjdziemy na pokład, żeby pomachać? - zapytał Seamus.

- Przykro mi, ale nam nie pozwolono - odpowiedziałam, głaszcząc go po głowie w taki sam sposób, w jaki zawsze gładziłam najmłodszego brata. - Nie zapłaciliśmy za przyzwoitą kajutę, więc wygląda na to, że musimy tu zostać.

- Ale ona będzie tam czekać i nas wypatrywać. Obiecałem, że pomacham.

Aż do tej chwili tak dzielnie się trzymał. Niczym głowa rodziny dźwigał do portu wielki, ciężki bagaż. Ale teraz usta chłopca wygięły się w podkówkę.

- I tak nie zauważyłaby nas w tym tłumie - powiedziałam. - Będzie myślała, że tam stoimy i machamy.

Nie mieliśmy pojęcia, w którym momencie statek odbił od brzegu, ale delikatne kołysanie uświadomiło nam, że jesteśmy na morzu.

4

Każdemu, kto myśli, że przeprawa przez Atlantyk jest luksusową przygodą, doradzałabym podróż naszym statkiem. Nie, nie było koszmarnie. Było w miarę czysto, dawali nam jedzenie - wielką pajdę chleba z masłem, kawę i herbatę, a raz dziennie ciepły posiłek. Mówiąc „ciepły posiłek”, mam na myśli ogromny gar gęstej zupy, który stawiano na końcu stołu z okrzykiem: „Bierzcie szybko, póki gorące!” Niektórzy mówili, że jedzenie na statku jest lepsze od tego, które dostawali w domu. Nie wiem, kto im gotował, ale to, co przyrządzałam dla taty i chłopców, z pewnością smakowało znacznie lepiej. Posiłki na statku określiłabym najwyżej jako znośne.

Według mnie najgorsza była ciemność i brak powietrza. Jestem przyzwyczajona do otwartej przestrzeni. Nasz dom od wsi dzieliły trzy kilometry i prawie codziennie pokonywałam ten dystans. Kiedy pogoda była ładna, jedynie z przymusu zostawałam w domu. Mama zawsze powtarzała, że dziewczynie nie przystoi zbyt swobodne zachowanie, i pewnie miała rację. Ja jednak chętnie łąziłam po skałach, a nawet pływałam w oceanie, kiedy nikt nie widział.

Pasażerowie trzeciej klasy mogli przebywać na powietrzu tylko godzinę dziennie. Pozostałą część dnia spędzaliśmy zamknięci na dole, gdzie nieustannie towarzyszył nam rytmiczny odgłos pracujących kotłów i stęchły zapach niemytych ciał oraz jeszcze gorszych rzeczy. Wszyscy byliśmy stłoczeni w jednym wielkim pomieszczeniu. Przez sufit przechodziły rury, parę elektrycznych żarówek dawało marne oświetlenie. Wzdłuż ścian stały ławki, a pośrodku dwa długie stoły, przy których jadaliśmy posiłki. Stoły miały takie ranty jak taca, co - jak sądzę - miało zapobiegać zsuwaniu się zastawy stołowej podczas gorszej pogody. Do roboty nie było nic - mogliśmy tylko czekać i mieć nadzieję, że czas szybko minie, a ocean będzie dla nas życzliwy. Dzieci natychmiast znalazły sobie towarzystwo do zabawy. Seamus szybko zaczął przepadać gdzieś z innymi chłopcami. Znajdowali sobie zaciszny kąt i grali tam w kulki albo biegali po korytarzach, szukając tajnych wyjść. Kiedy chłopcom udawało się w końcu wydostać na powietrze, stewardzi natychmiast ich łapali i odsyłali na dół. Nie zabraniałam mu tych zabaw. Dzieci muszą się czymś zająć. Poza tym cieszyłam się, że Seamus ma kolegów.

Dla odmiany Bridie trzymała się kurczowo mojej spódnicy i stanowczo odmawiała, kiedy inne dziewczynki przyjaźnie ją zagadywały, proponując wspólną zabawę. Chowała się wtedy za mną, a potem samotnie bawiła się szmacianą lalką i kawałkami materiału, które traktowała jak największe skarby.

Dorośli spędzali czas, siedząc wokół stołu i czekając na kolejny posiłek, który przerwie monotonię dnia. Mężczyźni palili i grali w karty. Niektóre kobiety robiły na drutach i plotkowały. Ja trzymałam się od nich wszystkich z daleka. Nie chciałam ryzykować - niechcący mogło mi się coś wyrwać. Wkrótce uważano mnie za osobę, która zadziera nosa i ma się za kogoś lepszego, ale było mi to obojętne. Dajcie mi spokojnie dopłynąć do Nowego Jorku, a będę wolna! - myślałam.

Pod koniec pierwszego dnia spokojne kołysanie zamieniło się w prawdziwą atlantycką huśtawkę - talerze i kubki latały po całym stole. Ludziom zbierało się na wymioty. Wtedy dotarło do mnie, co to był za dziwny, niezidentyfikowany wcześniej zapach. Tak cuchną stare rzygowiny. Moim zdaniem większość pasażerów miała mdłości nie z powodu kołysania, ale właśnie z powodu tego zapachu i braku świeżego powietrza. Próbowałam to wytłumaczyć stewardowi, kiedy po raz dziesiąty przyszedł myć podłogę.

- Szkoda, że nie możemy częściej pospacerować. Wpuścilibyście tu na dół trochę świeżego powietrza...

- Jeśli pozwolilibyśmy wam wyjść na pokład na dłużej, wiatr w końcu zwałby z niego wszystkie dzieci - odparł, nawet dość uprzejmie.

Na mnie nie robiło to wszystko wrażenia, ale na Bridie - owszem. Kiedy zobaczyła wokół siebie same zzieleniałe twarze, też się źle poczuła. Byłam zadowolona, że mogę z nią pójść na prycze i tam zostać. Z dala od zgniłego zapachu i stęchłego powietrza. Szkoda, że nie miałam książki i dobrego światła - czas szybciej by minął. W takich warunkach każdy dzień wydawał się wiecznością. Głęboki, tępy odgłos kotłów przeszywał moje ciało, huczał w głowie tak, że prawie chciałam krzyknąć.

Siedziałam w mroku i rozmyślałam o Ameryce. Przez całe życie miałam wielkie marzenia - zbyt wielkie według mojej matki. Wszystkie w końcu prowadziły do kłopotów. A to dlatego, że odebrałam edukację niepasującą do mojego pochodzenia. Mama była temu przeciwna od samego początku. Nie okazywała mi wdzięczności, a to przecież tylko dzięki mnie nie wyrzucono całej naszej rodziny na bruk. A było tak...

Pewnego razu zarządca znów zaczął się kręcić koło naszego domu. Chciał podnieść nam czynsz. Jak zawsze zastraszał i poniżał. Miałam wtedy dziesięć lat. Stałam z daleka i obserwowałam, jak rodzice proszą go, błagają i korzą się przed nim. W końcu nie wytrzymałam, zebrałam się w sobie i powiedziałam temu wstrętnemu grubasowi, co o nim myślę.

Omów wtedy przeze mnie nie wylecieliśmy na bruk. Ale w jakiś dziwny sposób to, co zrobiłam, dotarło do Broxwood Court, bo tak nazywał się dom naszego pana. Słowa, których

użyłam, sprawiły, że państwo setnie się ubawili podczas obiadu. Żona pana, lady Hartley, która wyjątkowo przebywała w posiadłości - zimy bowiem spędzała na ogół w Londynie - wyraziła pragnienie, by mnie poznać. W ten sposób trafiłam do ich domu. Pamiętam pierwsze wrażenie, jakie na mnie zrobił tamtejszy dostatek.

Udało mi się zachowywać skromnie i pamiętać o manierach, bo bardzo mi się tam podobało. Pani Hartley uznała, że jestem bystra i świeża - tak się wyraziła. Powiedziała też, że mój spryt i elokwencja się zmarnują, jeśli nie zacznę pobierać lekcji wspólnie z pannami Henriettą i Vanessą.

Uwielbiałam te lekcje! Dosłownie pożerałam książki - geograficzne, historyczne, nawet Szekspira i te napisane po łacinie. Nie starczało ich już dla mnie. Panna Henrietta i panna Vanessa wkrótce uznały, że jestem pupilką guwernantki, która twierdziła, że uczyć mnie to przyjemność. W dodatku uważały, że coś musi być nie w porządku z dziewczynką, która tak bardzo garnie się do nauki. Mężczyźni nie lubią mądrych kobiet - powiedziały kiedyś. Sądzę, że mogły mieć rację. W końcu obydwie wyszły za mąż jeszcze przed swoimi dwudziestymi urodzinami, a ja w wieku dwudziestu trzech lat wciąż byłam starą panną.

Czytanie tych wszystkich książek sprawiało, że w głowie kiełkowały mi nowe pomysły. Przeprowadzę się do Londynu albo zacznę studiować w Trinity College w Dublinie i zostanę wykształconą młodą damą, która obraca się w wyższych sferach. Wszystkie plany skończyły się dość nagle wraz ze śmiercią matki, kiedy musiałam przejąć jej obowiązki i zaopiekować się braćmi. To ostatecznie zniweczyło moje marzenia. W Ballykillin czekało mnie tylko jedno - mogłam wyjść za mąż i wychowywać gromadkę dzieci. Zostawała mi jedynie nadzieja, że może któregoś dnia zastąpię nauczycielkę w lokalnej szkole, choć ona wcale nie zamierzała ani umierać, ani przechodzić na emeryturę.

I teraz nagle zdałam sobie sprawę, że moje marzenia wcale nie wygasły. Po prostu drzemały sobie w umyśle, czekając na odpowiedni moment, a po przebudzeniu głośno się domagały, by je wypuścić. Ameryka to kraj możliwości. Słyszałam, jak w świetlicy kobiety szepczą sobie na ucho, że ten lub tamten pojechał do Ameryki dziesięć lat temu, a teraz ma piękny dom i powóz albo własną ziemię lub fabrykę, w której zatrudnia innych. Może i ja w tym kraju znajdę swoją drogę do porządnego życia. Leżałam obok Bridie na pryczy i puszczałam wodze fantazji - zacznę pomалу, może od pracy w sklepie. A potem za zaoszczędzone pieniądze otworzę coś własnego - może księgarnię? Będą się w niej zbierać wszyscy inteligentni ludzie, będziemy zasiadać w koło, ja pośrodku, dyskutować... Jeśli tylko uda mi się bezpiecznie dobić do brzegu i przekazać dzieci ich ojcu, wtedy to wszystko stanie się możliwe.

Tymczasem trzeciego dnia podróży spotkałam O'Malleya. Oczywiście zwróciłam na niego uwagę już wcześniej, kiedy siedział z innymi przy stole w świetlicy i grał w karty. Śmiał się najgłośniej ze wszystkich. Kiedyś usłyszałam, jak inny mężczyzna mówi do niego: „Ty jesteś jak as w rękawie, O'Malley. Mówię ci. Prawdziwy as”.

Było w nim coś, co sprawiało, że się wyróżniał. Po pierwsze bezczelność, po drugie sposób, w jaki się śmiał. Pokazywał wtedy białe zęby i patrzył dookoła, sprawdzając uważnie, czy wszyscy zauważyli, jaki jest dowcipny. Był potężnym mężczyzną, prawie przystojnym, ale na włosy kładł za dużo brylantyny, a chustka, którą nosił na szyi, miała zbyt jaskrawy czerwony kolor. Mówił za głośno. Zbyt ochoczo śmiał się z własnych żartów.

Pewnego razu, kiedy go obserwowałam, obok siedzących przy stole graczy przeszedł młody chłopak.

- Rany, spójrzcie, kogo my tu mamy! - odezwał się O'Malley tym swoim tubalnym głosem. - Ale śliczny chłopiec! Pewnie się szykuje do występu w kościelnym chórze. Oczywiście całe życie będzie śpiewał sopranem. Jakbyście mu pokazali rozebraną dziewczynę, nie wiedziałby, co z nią zrobić.

Chłopiec się zaczerwienił, co spowodowało, że mężczyźni przy stole zaczęli się jeszcze głośniej śmiać. Znienawidziłam tego O'Malleya. Nawet bardziej, niż na to zasługiwał za takie żarty.

To, że nie muszę słuchać jego głośnego śmiechu, było kolejnym powodem, dla którego cieszyłam się, że przez parę dni mogę zostać na pryczy. Ale czwartego dnia Bridie oświadczyła, że czuje się lepiej i ma ochotę na kawałek chleba z masłem oraz łyk herbaty. Poszłam przynieść jej jedzenie, a kiedy wracałam z talerzem i kubkiem w rękach, ktoś stanął nagle przede mną, zagradzając przejście.

- Pani Kathleen O'Connor, tak?

To był O'Malley. Oblesny sposób, w jaki na mnie patrzył, tylko potwierdził niepochlebłą opinię, którą zdążyłam sobie o nim wyrobić.

Grzecznie przytaknęłam.

- Tak, proszę pana. A teraz proszę mnie przepuścić, żebym mogła zanieść małej jedzenie do kajuty.

Zamiast zrobić to, o co poprosiłam, przysunął się jeszcze bliżej. Z ust czuć mu było papierosami i alkoholem. Na statku nie wolno było pić, mimo to często widziałam go z flaszką w ręku.

- Pani Kathleen O'Connor z hrabstwa Derry? Ze Stabane? - Patrzył na mnie półprzymkniętymi oczami.

- Tak, zgadza się. - Próbowałam precyzyjnie się obok, ale wciąż zagradzał mi przejście.

- Rozmawiałem z pani synem, pani O'Connor. Wszystko mi o pani powiedział.

Chyba Seamus mnie nie wydał? Nie pozwolę, żeby ten nalany typ mnie przestraszył. Muszę działać.

- To miło - odparłam. - Cieszę się, że chłopiec ma z kim porozmawiać. Podróż jest długa i nużąca.

- Jedna rzecz wydaje mi się bardzo interesująca. - Wpatrywał się we mnie swoimi chytrymi oczkami. - W miasteczku, z którego pochodzę, mieszkała kiedyś Kathleen McCluskey. Przyjaźniłem się z jej bratem. Podobno wyszła za męża Seamusa O'Connora, a potem wyjechała do Stabane. Czyż to nie zbieg okoliczności?

- Domyślałam się, że na świecie jest mnóstwo kobiet, które nazywają się Kathleen O'Connor - odparłam. - Rodzice nie popisują się oryginalnością, nadając dzieciom imiona, a nazwisko O'Connor jest dosyć powszechne.

- Ale w jednym małym mieście? - naciskał O'Malley. - Stabane to małe miasto, prawda?

- Dostyc małe.

- Czy w takim razie nigdy nie spotkała pani tej drugiej Kathleen O'Connor, tej, która wyszła za Seamusa?

- Nie mogę powiedzieć, żebym ją spotkała. - Znow spróbowałam się precyzyjnie obok niego. - A teraz przepraszam. Nie mogę tu dłużej stać i plotkować, kiedy moja mała leży chora.

Wtedy mnie przepuścił.

- Nie mogę się doczekać, kiedy znow sobie utniemy pogawędkę, pani O'Connor - chuchnął mi do ucha, kiedy przechodziłam obok.

Gdy znalazłam się za rogiem, zdałam sobie sprawę, że cała się trzęsę. Co on mógł wiedzieć? I czego chciał?

Tego wieczoru, jak tylko Seamus wdrapał się na pryczę, złapałam go za rękę.

- Ten O'Malley - szepnęłam. - Powiedział mi, że z tobą rozmawiał. Czego chciał?

- Pytał mnie o różne rzeczy związane z domem - odparł Seamus z niewinnym spojrzeniem. - Pytał, czy kojarzę wieś o nazwie Plumbridge, więc odparłam, że moja rodzina tam mieszka. Powiedział, że on też tam mieszkał, dawno temu, kiedy był mały. Prawda, że to zbieg okoliczności?

- Ale nie powiedziałeś mu chyba? - szepnęłam. - Nie powiedziałeś mu, że nie jestem twoją mamą?

- Nie - odparł stanowczo Seamus. - Powiedziałem tylko, że byłem kiedyś we wsi, w której dorastał. To wszystko.

- Jeżeli będzie cię jeszcze zaczepiał, nie odpowiadaj - przykazałam.

- Dlaczego?

- Jest w nim coś, co mi się nie podoba. Poza tym nie powinieneś rozmawiać z obcymi.

Seamus wzruszył ramionami i położył się spać. Ja leżałam obok i nie mogłam zmrużyć oka. Zastanawiałam się, czy O'Malley zna prawdę, a jeśli tak - co może mi zrobić.

Nazajutrz, piątego dnia na morzu, starałam się go unikać. Mimo to w jakiś niesłychany sposób pojawiał się nagle przede mną ni stąd, ni zowąd, jak jakiś diabeł. Kiedy wchodziłam do świetlicy, znów zagroził mi drogę.

- Ależ ma pani figurę, pani O'Connor - powiedział, obmacując mnie wzrokiem. - Bardzo smukłą jak na matkę dwójki dzieci. Pani mąż musi być bardzo dumny z tego, że udało się pani zachować linię. Z pewnością się ucieszy, że znów będzie mógł objąć tę szczupłą talię.

- Nie podoba mi się sposób, w jaki się pan do mnie zwraca. - Staralam się go ominąć.

Roześmiał się, ukazując te swoje białe końskie zęby.

- Naprawdę? A może jednak tylko pani udaje? Ile lat jest pani bez męża? Przecież to miłe, kiedy mężczyzna okazuje kobiecie zainteresowanie. A może znalazła pani jakieś zastępstwo na czas nieobecności męża? Żeby łóżko nie ostygło...

Spoliczkowałam go. Mocno. Dźwięk uderzenia odbił się echem od ścian i sprawił, że wszyscy zaczęli się nam przyglądać.

- Jeszcze raz mi pan ubliży, a uderzę pięścią - zagroziłam.

Zobaczyłam, jak mężczyźni uśmiechają się pod wąsem, a kobiety z aprobatą kiwają głowami.

- Chodź tu i usiądź z nami. - Jedna z nich wskazała miejsce na ławce. - Ten O'Malley to okropny typ, nie jest dżentelmenem.

Wciąż w szoku, usiadłam obok.

- Za kogo się uważa, mówiąc takie rzeczy?

- Za ważniaka, który robi zamieszanie - odparła. - Lubi porządną bijatykę. Gdziekolwiek się zjawi, od razu jest awantura.

- Lepiej niech się do mnie nie zbliża - powiedziałam głośno. - Albo jak tylko przyplniemy do Ameryki, spotka się z Seamusem O'Connorem.

Oczywiście udawałam. Nawet nie potrafiłam sobie wyobrazić, jak mam podejść do nieznanego Seamusa O'Connora, kiedy wreszcie znajdziemy się w Nowym Jorku. A jeśli spojrzy na mnie i krzyknie: „To nie moja żona! Ta kobieta się pod nią podszywa!”? Cóż, na

to nie miałam wpływu, a działać trzeba było zgodnie z planem.

Nagle wyrósł przede mną Seamus junior. Płakał. Przy twarzy trzymał chusteczkę. Za nim stał chłopak, z którego wyśmiewał się kiedyś O'Malley.

- Mały wdał się w ostrą bójkę - wyjaśnił, a na jego ślicznej twarzy pojawił się przepraszający uśmiech. - Oberwał w nos.

- Zabrali mi kulki. - Seamus smarkał krwią. - Wygrałem je uczciwie, a oni mnie pobili, kiedy chciałem je zabrać. - Popatrzył na starszego chłopaka. - Pomógł mi.

- Dziękuję. - Uśmiechnęłam się do młodzieńca.

Spojrzał nieśmiało.

- Wiem, jak to jest, kiedy inni dokuczają - powiedział. - Mam sześciu starszych braci. Zawsze obrywałem.

Przykucnął na podłodze obok.

- Widziałem, co pani zrobiła O'Malleyowi. Też bym tak chciał. Ale gdybym chociaż spróbował, skończyłbym pewnie z wybitymi zębami.

- Ten człowiek oznacza same problemy - odparłam. - Lepiej trzymać się od niego z daleka.

- Staram się. Ale to nie takie proste.

- Owszem, to nie jest proste. Czasem mi się wydaje, że tylko czyha, żeby mnie gdzieś dopaść.

Chłopak zmarszczył brwi.

- Następnym razem nie będzie taki skory, żeby panią zaczepiać. Ten policzek musiał być dla niego niezłą nauczką. Uderzenie słyhać było nawet w pierwszej klasie.

Wyciągnął rękę w moją stronę.

- Nazywam się Michael. Michael Larkin z Plumbridge.

- Kolejny? - zapytałam. - Mam wrażenie, że hrabstwo Derry się wyludnia.

- Pochodzi pani z tych okolic?

- Moja rodzina - odpowiedziałam, nie chcąc wchodzić w szczegóły. - I rozumiem, że O'Malley też jest z tych stron. Znaliście się wcześniej, przed wejściem na statek?

Potrząsnął głową.

- Jest w nim coś znajomego, ale musiał się wyprowadzić dawno temu. W naszym mieście, odkąd pamiętam, nie było O'Malleyów.

- Całe szczęście - odparłam. - A co cię sprowadza do Ameryki?

- W Irlandii nie czeka mnie nic dobrego.

- A rodzina?

Pochylił głowę.

- Ojca zabili, kiedy miałem osiem lat, a mama umarła z tęsknoty za nim. Wychowywała mnie ciotka, ale miała też własnych synów i nie mogła się wprost doczekać, kiedy sobie pójdę. A pracy nie ma. Słyszałem, że w Nowym Jorku buduje się mnóstwo drapaczy chmur i nie starcza ludzi do pracy.

- Drapaczy chmur? - Nie znałam tego wyrażenia.

- Takich wysokich budynków, które sięgają aż do nieba.

Zaśmiałam się.

- Nabierasz mnie!

- No, może nie całkiem do nieba - przyznał. - Ale są naprawdę wysokie, wyższe niż wieże kościołów. Mają po dwadzieścia pięter. Tak słyszałem.

- Dwadzieścia pięter? Matko Przenajświętsza! A nie masz lęku wysokości?

- Ja? Nie. W końcu jestem z Plumbridge.

Zdałam sobie sprawę, że nawet nie wiem, gdzie leży Plumbridge. Czy są tam góry, morze albo bagna? Co by było, gdyby zaczęli mi zadawać pytania, jak przyplynie do Nowego Jorku. Przecież wszystko łatwo się wtedy wyda.

- To opowiedz mi o Plumbridge. Opowiedz mi, jak tam się dorasta.

Resztę popołudnia spędziliśmy razem. Bawił się z Seamusem i nawet wywołał uśmiech na buzi Bridie. Był wspaniałym niewinnym chłopcem o twarzy anioła. Od razu wiedziałam, że w Nowym Jorku czeka go ciężkie życie, zwłaszcza wśród twardych facetów, którzy budują drapacze chmur.

Zbliżaliśmy się do lądu. Ludzie mówili, że czasem da się przepłynąć Atlantyk w sześć dni. Pod warunkiem, że ocean jest łaskawy. To oznacza, że jutro będziemy już w nowojorskim porcie. Poczulałam, jak wraca niepokój. Za chwilę będę zmuszona oszustwem torować sobie drogę przez kontrolę, a potem stanąć oko w oko z mężczyzną, który nie wie, że jego prawdziwa żona została w Irlandii. W tym łańcuchu wydarzeń, jakie mnie czekają, jest tyle drobiazgów, o których trzeba pamiętać. Jedna mała nieuwaga, a prawda wyjdzie na jaw i odeślą mnie z powrotem do domu.

Staralam się o tym nie myśleć, ale Michael Larkin, jak zwykle wrażliwy, wyczuł, że coś jest nie tak.

- Boi się pani spotkania z inspektorami na Ellis Island? - zapytał. - Niepotrzebnie. Jeśli tylko jest się zdrowym i ma przy sobie dwadzieścia pięć dolarów, nie należy się bać.

- Dwadzieścia pięć dolarów?! - krzyknęłam.

- Trzeba mieć przy sobie dwadzieścia pięć dolarów. Inaczej nie puszcza na ląd -

powiedział, a jego twarz wyrażała troskę. - Nie wiedziała pani o tym?

- Nie, nie wiedziałam.

Czy Kathleen wiedziała? Pewnie nie. A może liczyła na to, że pieniądze przyniesie na spotkanie Seamus? Ale ja nie mogłam na to liczyć.

- Czy to opłata za przejście na ląd?

- Nie. Nie zabierają tych pieniędzy. Trzeba je mieć, żeby wiedzieli, że człowiek sobie poradzi w Nowym Jorku. Że stać go na utrzymanie. Nie potrzebują tam żebraków.

- I co ja teraz zrobię? - zapytałam. - Czy odeślą nas z powrotem, dlatego że nie mamy pieniędzy?

Wyglądał na przejętego.

- Może wystarczy, że przyjdzie po panią mąż, ale nie jestem pewien.

Nagle się uśmiechnął.

- Już wiem! - powiedział. - Mam w kieszeni pięć funtów, a to jest dwadzieścia pięć tych ich dolarów. Proszę, niech je pani weźmie.

- No ale wtedy ciebie nie wpuszczą!

- Ależ wpuszczą! Obydwoje wykorzystamy te same funty. Pani pójdzie najpierw z dziećmi. A potem wymyśli jakąś wymówkę, żeby zawrócić i oddać mi pieniądze. Tam będzie tyle ludzi, że nawet nie zauważą.

- A co się stanie, jak nie pozwolą mi zawrócić? Nie można ryzykować. Nie. Zachowaj swoje funty. Może tobie uda się zawrócić, wtedy mi je pożyczysz.

- Ależ nie. Proszę. - Wcisnął mi pieniądze do ręki. - Wszystko będzie dobrze. Inni tak robią i mówią, że to zawsze działa. Proszę. Chcę, żeby pani je wzięła. Pani znacznie łatwiej będzie z nimi zawrócić. Kobiecie z dziećmi nie odmówią. Na przykład powie pani, że mała zostawiła lalkę. Ukochaną lalkę. Jedyną.

Uśmiechnęłam się.

- Wyglądasz na grzecznego aniołka, a jesteś przebiegły.

- Nie jestem takim aniołkiem, na jakiego wyglądam - odparł. - Jeden facet w pubie w Liverpoolu powiedział mi nawet, że nadawałbym się na oszusta. Obiecał, że wszystkiego mnie nauczy.

- I co? Skorzystałeś z oferty?

- Nie, ale muszę przyznać, że miałem ochotę.

Roześmialiśmy się. Dobrze było znowu się pośmiać.

5

W nocy ocean znów był wzburzony. Rzucalo nami na pryzkach tak okropnie, że nawet ja poczułam się niedobrze. Rano z trudem zwlekłam się po kubek herbaty i kromkę chleba. W świetlicy prawie nikogo nie było. O'Malleya ani widu, ani slychu. Najwidoczniej i jego dopadła choroba morska. Jeśli tak, niech kołysze nami do samego Nowego Jorku - pomyślałam.

Nim skończył się dzień, już żałowałam tej deklaracji. Bujanie i kołysanie nie ustawało. Kotły warczały i jęczały. Wokół slychać było wzdychanie i odgłos wymiotowania. Gdybym tylko mogła wyjść na pokład! Tak bardzo nie chciałam wymiotować. Po kilku godzinach, które wydawały się wiecznością, poczułam, że bujanie i chybotanie staje się mniej gwałtowne. Być może rzeczywiście zbliżaliśmy się do brzegu.

Kiedy obudziliśmy się rano, wokół nas wszyscy żyli tylko jednym. Widać już było brzeg Ameryki! Ludzie w pośpiechu przepakowywali swoje bagaże i ustawiali je w korytarzach. Do drzwi prowadzących na wolność zaczęła się tworzyć kolejka. Mężczyźni przestali grać w karty i czujnie ustawiali się przy swoich rodzinach. Jednak nikt z załogi się do nas nie zgłaszał. Staliśmy albo siedzieliśmy, slychając rytmicznych odgłosów kotłów. Czekaliśmy.

Wreszcie w drzwiach pojawił się steward.

- Kapitan mówi, że możecie wyjść na pokład, jeśli chcecie - powiedział. - Żebyście mogli zobaczyć Panią.

Panią? Czyżby zaczynały się już procedury imigracyjne? Podniosłam Bridie, Michael wziął Seamusa za rękę i weszliśmy na pokład. Wspaniale było poczuć na twarzy ostre, mroźne powietrze. W jasnym słońcu musieliśmy mrużyć oczy. A potem zamarliśmy z wrażenia.

Stała przed nami po przeciwnej stronie portu, a jej korona lśniła w słońcu. W dłoni trzymała pochodnię. Kobiety wokół mnie zaczęły płakać. Sama też poczułam, jak łzy napływają mi do oczu.

- Widzisz tę piękną panią? - szepnęłam do Bridie. - Nazywa się Statua Wolności. Czeka, by powitać nas w swoim kraju.

Kiedy odwróciłam się, by spojrzeć w przeciwną stronę, ujrzałam kolejny wspaniały widok - wyspę Manhattan. Słońce stało nisko na zimowym niebie, odbijając się w tysiącu okien wysokich budynków; Nowy Jork błyszczał i mienił się jak zaczarowane miasto. Nigdy nie przypuszczałam, że budynki mogą być tak wysokie.

Michael stał obok.

- Proszę tylko spojrzeć! - Odetchnął głęboko. - Te wszystkie domy na pewno mają po dwadzieścia pięter.

Roześmiałam się z prostej radości, że wreszcie oddycham świeżym powietrzem, a cel podróży jest tak blisko.

- Wciąż uważasz, że praca na budowie drapaczy chmur to dobry pomysł?

- Oczywiście. Chciałbym powiedzieć kiedyś swoim dzieciom, że pomagałem budować największe budynki na świecie. - Jego twarz się rozjaśniła. - Czy pani również zatrzyma się w Nowym Jorku? - zapytał.

- Tak... Tak sądzę. - Bardzo chciałam powiedzieć mu prawdę, ale nie mogłam.

- Pani mąż ma tutaj pracę, tak? I mieszkanie, prawda?

- Tak mi się wydaje. Wyjdzie po nas. Wtedy się dowiemy.

- Mam nadzieję, że jeszcze będziemy mieli okazję się zobaczyć - powiedział nieśmiało. - Oczywiście jeśli zostanie pani w Nowym Jorku. Może mógłbym was odwiedzić, panią i pani męża. Ja tutaj nie mam rodziny ani nikogo...

- Ależ na pewno się spotkamy - zapewniłam. - Musimy tylko uzgodnić czas i miejsce, zanim zejdziemy ze statku.

Pokręcił głową.

- Nie znam żadnych miejsc w Nowym Jorku.

- To może w tym małym parku? - Wskazałam punkt na samym szczycie Manhattanu, obok którego właśnie przepływaliśmy. - Pojutrze w południe?

Uśmiechnął się.

- W porządku. Będę tam czekał. I przyprowadzi pani dzieci, prawda? Chciałbym je znów zobaczyć. - Zmierzył Seamusowi włosy, na co chłopiec odpowiedział także uśmiechem.

Poczułam zadowolenie i otuchę. Przynajmniej mam jednego przyjaciela na nowym ładzie. Pojutrze będę już bezpieczna i wtedy wyznam mu całą prawdę. Może wspólnie stawimy czoło nowej sytuacji.

Obserwowaliśmy, jak holują nas do portu. Wiatr był przenikliwy i dzieci zaczęły się skarżyć, że im zimno, ale nie chciałam wracać pod pokład do tego smrodu. Przed nami dryfowała kra, w mroźnym powietrzu unosił się dym.

- Do wiosny to tu jeszcze daleko - powiedział Michael.

Patrzyliśmy, jak statek cumuje. Załoga stała przygotowana do położenia trapu. Wszyscy rzucili się w pośpiechu na dół po swoje bagaże.

- Chwileczkę - zatrzymał ludzi jeden ze stewardów. - A dokąd to?

- Po bagaże - odpowiedziała jakaś kobieta.

- Wy się nigdzie dzisiaj nie wybieracie - oznajmił. - Na Ellis Island nie odprawiają po piątej. Spędzicie noc na statku. Dopiero rano przejdziecie na prom.

- To znaczy, że dzisiaj musimy tu jeszcze zostać? - zapytał ktoś ze złością. - To po co ten trap?

- Tylko pasażerowie pierwszej i drugiej klasy mogą zejść na ląd - odparł marynarz z wyższością. - Pasażerów trzeciej klasy obowiązuje odprawa zaraz po opuszczeniu statku. Urzędnicy muszą mieć pewność, że nie przywozicie do Ameryki żadnych chorób, prawda?

Rozczarowani zeszliliśmy na dół. Kiedy słońce zaszło, na zewnątrz zrobiło się bardzo zimno. Widok tych uprzywilejowanych, którzy w asyście bagażowych, śmiejąc się, schodzili z pokładu, działał na nas przynębiająco.

Przynajmniej była to nasza ostatnia noc na statku. Nikt nie wymiotował, kotły nie pracowały. Na kolację podano nam smaczną gotowaną wołowinę i pudding z groszku. Rozeszliśmy się do swoich pryczy w wyjątkowo dobrych humorach. Wracalam właśnie z damskiej łazienki, kiedy ktoś złapał mnie za rękę. Krzyknęłam przerażona, ale O'Malley pchnął mnie w ustronne miejsce.

- Ależ mnie pani unika, Kathleen O'Connor - szepnął i zbliżył swoją twarz do mojej. - Jaka szkoda! Moglibyśmy zostać naprawdę dobrymi przyjaciółmi.

- Nigdy w życiu. Jestem wymagająca, jeśli chodzi o przyjaciół.

Roześmiał się, pokazując wielkie zęby.

- A mnie się wydaje, że od dzisiaj nie może być pani zbyt wymagająca. Może się okazać, że komuś coś pani zawdzięcza. Jakąś dużą przysługę.

- Jakiego rodzaju przysługę? O kim pan mówi?

- O sobie - odparł. - Od chwili gdy staniemy na lądzie, będzie mi pani winna przysługę za to, że nie powiedziałem urzędnikom prawdy, choć ją znam.

Zrobiło mi się niedobrze, ale nie straciłam rezonu.

- A co to niby za prawda? - spytałam.

- Jeśli pani jest Kathleen O'Connor, to ja jestem królem Hiszpanii. Patrzę na te dzieci i widzę w nich rysy matki. Tej, którą znałem jako dziewczynkę. Nie wiem, co pani jej zrobiła i co pani ukrywa. Może zaplanowaliście to wspólnie z jej mężem. Może jest pani jego kochanką i postanowiliście pozbyć się żony. Cokolwiek byście zrobili, i tak wychodzi na to, że zamierza pani mydlić oczy amerykańskim urzędnikom.

- Bzdury! - zaprotestowałam. - W życiu nie słyszałam takich bzdur. Powie pan to

wszystko amerykańskim urzędnikom, a odeślą pana do domu za wygadywanie głupot.

- Wyobrażam sobie, że z dzieci łatwo da się wydobyć prawdę - powiedział.

Poczułam się, jakby uderzył mnie w brzuch.

- Nie ma pan wstydu ani przyzwoitości - odparłam.

Znowu się zaśmiał.

- Racja. Ale nie będzie mnie pani pouczać.

- W porządku. Jeśli chce pan znać prawdę... - Zbliżyłam się do niego, żeby nikt nie usłyszał. - Kathleen jest umierająca. Błagała mnie, żebym popłynęła z dziećmi zamiast niej. Tylko w taki sposób mogły dotrzeć do ojca. Jest pan usatysfakcjonowany?

Przez sekundę miałam wrażenie, że zmienił się na twarzy. Tak jakby gdzieś w środku był jednak człowiekiem. Po chwili jednak znów nieprzyjemnie się uśmiechnął.

- Ależ to szlachetne z pani strony, droga pani bez imienia...

- A dzieciom nic do tego - dodałam. - Nie mogą się dowiedzieć. Taka była wola Kathleen. Rozumie pan?

Zacisnął palce na mojej ręce.

- A więc będzie pani wolną kobietą, kiedy znajdziemy się w Nowym Jorku? Żadnych dzieci uczeponych spódnicy? Żadnego mężczyzny, którym trzeba się opiekować?

Milczałam.

- W takim razie proponuję układ, który może odpowiadać nam obojgu, pani O'Connor, czy jak tam się pani nazywa.

- Układ? Dlaczego miałabym być zainteresowana jakimś układem?

- Na przykład dlatego, że nie ma pani wyboru.

Wciąż się uśmiechał. Tak bardzo chciałam wymierzyć mu policzek, ale przyparł mnie do ściany i wciąż ścisnął za rękę.

- Jeśli się dowiedzą, kim pani jest naprawdę, w mgnieniu oka wsadzą panią z powrotem na statek. Prawdopodobnie razem z dziećmi. To byłoby bardzo smutne... A przecież tylko ja znam prawdę.

Spojrzałam na niego z odrazą.

- Co pan próbuje powiedzieć? - Starłam się, by mój głos brzmiał spokojnie. Nie chciałam, żeby O'Malley wyczuł mój strach.

- Próbuję powiedzieć, że taka inteligentna kobieta jak pani będzie zarabiać w mieście dużo pieniędzy. Wystarczająco dużo, żeby dzielić się nimi ze starym przyjacielem, który wie, jak trzymać język za zębami. - Uśmiechał się obrzydliwie.

- Jest pan odrażający - powiedziałam. - Jeśli pan sobie wyobraża, że zapłacę choć

pensa...

- Ależ jeśli pani nie zapłaci, nigdy nie będzie bezpieczna, prawda? I powiem jeszcze coś. Możemy obydwójce zaoszczędzić na mieszkaniu. Myślę, że życie mężczyzny w nowym wielkim kraju jest bardzo smutne. Te wszystkie samotne zimne noce... Mężczyzna potrzebuje wtedy ciepłego ciała obok, a pani ma niezłe ciało. Od razu zauważyłem. - Znów obleśnie spojrzał spode łba.

- Nigdy, nawet gdyby był pan jedynym mężczyzną w Ameryce! - odparłam i wyrwałam rękę z uścisku. - No, śmiało, panie O'Malley. Proszę im wszystko powiedzieć, ale nie zdziwię się, jeśli to pan zostanie odesłany. Jako ten, co sieje zamęt i kłamie.

Odepchnęłam go i pobiegłam na swoją pryczę. Niech robi, co chce - powtarzałam sobie. Niby dlaczego ktoś miałby mu uwierzyć? Ale serce waliło mi jak szalone. Przecież jutro muszę jakoś przekazać dzieci ich ojcu. Do tej pory wszystko się udawało. Nie dam się zastraszyć takiemu typkowi jak O'Malley.

6

Następnego ranka pobudka była wcześniej niż zwykle. Każdy z nas dostał kubek kawy, a potem jak stado owiec zostaliśmy zaprowadzeni na pokład. Tam do każdego ubrania i do każdej sztuki bagażu przypięto karteczkę z imieniem i nazwiskiem oraz nazwą statku, którym przyплыliśmy. Rozumiem, że trzeba to było zrobić - część pasażerów nie potrafiła ani czytać, ani pisać - ale ledwo się powstrzymywałam, żeby nie robić uwag na temat naruszania naszej godności. Musiałam sama sobie przypominać, że oto zaczyna się jeden z najważniejszych dni w moim życiu. To, co wydarzy się dziś, będzie miało wpływ na całą moją przyszłość. Nie mogę sobie pozwolić na żadną niepotrzebną uwagę. Przystudiowałam dokładnie formularz wypełniony przez Kathleen i już na pamięć znałam imiona wszystkich członków jej rodziny. Teraz powinnam się tylko upewnić, że w kolejce znajdę się przed O'Malleyem i przejdę pierwsza, zanim on dotrze do urzędników. Bawiłam się nawet różnymi historyjkami, które powinnam mieć w zanadrzu na swoją obronę. Najlepsza była o zawiedzionym kochanku, który robi wszystko, żeby uniemożliwić mi spotkanie z czekającym w porcie mężem. Wystarczająco dużo osób widziało, jak wymierzam mu policzek na statku - na pewno potwierdzą taką wersję wydarzeń!

Poganiani, weszliśmy na pokład, potem przeszliśmy po trapie i wsiedliśmy na prom, który czekał tuż obok. Upchnięto nas tam jak sardynki w puszcze, tak że nawet nie mogliśmy się obrócić. Bridie zaczęła płakać.

- Popychają mnie. Chcę do domu.

- Ale twój tata na nas czeka - szepnęłam. - Za chwilę będziemy jechać z nim do domu, będzie ciepło i dostaniesz dużo smakołyków do jedzenia...

Co ja będę robić? Czy jak tylko dostarczę dzieci, on powie „dziękuję” i zostanę sama, szukając noclegu w Nowym Jorku? - myślałam. Do tej pory jakoś przetrwałam dzięki swojemu sprytowi. Miejmy nadzieję, że mnie teraz nie opuści.

Kiedy prom był wypełniony ludźmi do granic wytrzymałości, odpłynęliśmy z portu w przeciwnym do miasta kierunku. Po wczorajszym słonecznym popołudniu nastał poranek ciężki od gęstej mgły, więc kapitan co chwila musiał sygnalizować naszą obecność na morzu. W odpowiedzi odzywały się niskie dźwięki syren z innych statków. Mroźne i wilgotne powietrze było gorsze niż wczorajszy wiatr. Przenikało przez ubrania, więc obejmowaliśmy się, dygocząc z zimna. Staliśmy stłoczeni między ludźmi i to pozwoliło nam przetrwać podróż. Po upływie pół godziny zobaczyliśmy, jak z mgły wyłania się duży budynek z czerwonej cegły. Stał na samym środku pustej przestrzeni. Wydawało się, że dryfuje

samotnie pośrodku oceanu.

Ellis Island. Przekazywaliśmy sobie nazwę wyspy z ust do ust. Każdy wychylał się, by choć trochę zobaczyć. Budynek wyglądał imponująco - łukowate sklepienia z dużej cegły i wieżyczki z miedzi.

- Jest nowiutki - odezwał się jeden z marynarzy. - Otwarty zaledwie parę miesięcy temu. Stary budynek spalił się w dziewięćdziesiątym siódmym. Ten nowy budowali parę lat, kosztował dużo pieniędzy.

To wtedy zauważyłam, że nie jesteśmy sami. Przed nami była długa kolejka promów. Po kolei cumowały i wypuszczały na ląd strumienie ludzi.

- Cztery albo pięć statków z imigrantami przyplęnęło ostatniej nocy - powiedział marynarz. - Musimy poczekać na swoją kolej.

Czekaliśmy i czekaliśmy. Chyba dopiero wczesnym popołudniem mogliśmy zacumować. Staralam się utrzymać równowagę, obydwie ręce miałam zajęte. Na jednej niosłam Bridie, w drugiej nasz bagaż. Na szczęście pojawił się Michael - wziął za rękę Seamusa i pomógł mu dźwigać tobołek.

- Proszę się uspokoić. - Najwyraźniej zauważył, że nerwowo oglądam się za siebie. - Jak tylko bezpiecznie zejdziemy na ląd, pójdę na koniec kolejki. Zostaniecie odprawieni przede mną i zdąży pani zawrócić, żeby oddać mi pieniądze.

- Nie o to chodzi - odparłam. - Patrzę, gdzie jest O'Malley.

- O'Malley? Czyżby znów panią zaczepiał?

- Tak, wczoraj wieczorem. Szantażował mnie.

- Jeśli jeszcze raz się pojawi, zabiję go - powiedział Michael, a potem oblał się rumieńcem, kiedy dostrzegł moje zdziwienie. - Naprawdę mógłbym to zrobić. Wyglądam młodo, ale w niejednej bijatyce brałem już udział.

- Jesteśmy na początku kolejki - odrzekłam. - Jeśli się nam poszczęści, będzie po wszystkim, zanim O'Malley zejdzie na brzeg.

Przesuwaliśmy się powoli, aż znaleźliśmy się pod zadaszeniem ze stali i szkła, znajdującym się nad wejściem do budynku. Przyprawdzono drugą grupę ludzi i ustawiono w równoległym rzędzie. Wyglądali zupełnie inaczej niż my - musieli być z innego kraju. Głowy ubranych na czarno kobiet były przykryte chustkami. Mężczyźni wyglądali jak rozbójnicy - mieli brody i długie wąsy. Byli tam też panowie w skórzanych spodniach i eleganckie panie w futrach. Zauważyłam dziewczynkę, która chowała ręce w mufce z białego futerka. Mufka wisiała na łańcuszku, który się mienił, jakby był wykonany z drogocennych ametystów. Co robiła tutaj rodzina dziewczynki? Ktoś powiedział, że ten

statek przyplłynął z Niemiec. Przypuszczam, że na pokładzie byli ludzie z całej Europy. Nieważne. Wokół słyszało się mieszaninę języków. Panował też straszliwy zaduch - nawet tutaj, na świeżym powietrzu, czułam zapach niemytych ciał.

W porcie było zimno i ponuro. Zadaszenie nie chroniło nas przed chłodem i wilgocią. Flanelowa peleryna i kamizelka z wełny, które doskonale się sprawdzały podczas irlandzkiej zimy, tutaj na niewiele się zdawały. Owinęłam siebie i Bridie szalem, a i tak trzęsłyśmy się z zimna. Szłyśmy krok za krokiem, ale miałam wrażenie, że w ogóle nie zbliżamy się do wielkiego wejścia. Kolejne promy dobijały do brzegu. W porcie przybywało ludzi. Nowe języki, nowe zapachy. Jak to miasto może pomieścić tylu nowych mieszkańców? Gdzie będą spać, kiedy znajdą się na lądzie? Ile jeszcze minie dni, zanim się okaże, że Nowy Jork nikogo już nie przyjmie?

Wolałam zastanawiać się nad takimi rzeczami, niż myśleć o tym, co spotka mnie za chwilę, gdy wreszcie wejdziemy do budynku.

Umundurowani strażnicy stali przy drzwiach.

- No, dalej, moja trzódko. Tam czeka na was porządna zagroda - żartował jeden z nich, uśmiechając się do wszystkich i gestem kierując do środka obcojęzyczną kolejkę obok nas.

- Zostawcie tutaj bagaże! - zawołał w naszą stronę. - Nie martwcie się, będą bezpieczne. Przecież po to mamy strażników - dodał, ponieważ niektórzy nie chcieli się rozstawać ze swoim dobytkiem.

Pokierowano nas do ogromnego pomieszczenia, w którym powstał kopiec z naszych toreb i tobołków. Potem ruszyliśmy w stronę wysokich schodów. Na samej górze stali mężczyźni w białych fartuchach i bacznie nas obserwowali. Kiedy mijali ich kolejni imigranci, czasem pisali im coś kredą na plecach, jakieś litery. Kiedy podeszliśmy do nich, spojrzeli na nas uważnie, ale nic nie napisali. Nie byłam pewna, czy to dobrze, czy źle.

- Kontrola oczu - oznajmił nagle ktoś przy mnie.

Zanim się zorientowałam, chwycili mnie za ręce. Zawylałam z bólu, kiedy wsadzili mi do oka ostry przyrząd i wywinęli powiekę na drugą stronę. Gdy podeszli do Bridie, ta krzyknęła, potem szarpnęła się i uciekła z rąk oprawców.

- To dziecko trzeba zbadać - powiedział jeden inspektor do drugiego i napisał kredą literę na plecach Bridie.

- Czy mówicie po angielsku? - zapytał.

- Tak samo dobrze jak pan - odparłam.

- Ach, tak. - Spojrzał na kartkę przypiętą do mojego ubrania. - Statek Majestic

z Liverpoolu. W porządku. Proszę pójść z dzieckiem do tego pokoju po lewej stronie. Muszą zbadać jej oczy, zanim puścimy was dalej.

Stanęliśmy w kolejce do wejścia. Potem lekarz w białym fartuchu poprosił, bym posadziła Bridie na stole, a jego asystent odwrócił jej powiekę.

- Oczy są czerwone - zwrócił się lekarz do asystenta. - To może być trachoma. Musimy ją zatrzymać na obserwację.

- Co to znaczy, że musicie ją zatrzymać na obserwację? - zapytałam.

- Na oddziale szpitalnym - odparł chłodno. - Jeśli to trachoma, odeślemy ją z powrotem tam, skąd przyjechała.

- Oczywiście, że ma czerwone oczy - odparowałam wściekle. - Musiała czekać w kolejce na dworze. Zmarzła i płakała. Kiedy płacze, wyciera oczy rękami i wtedy robi się jeszcze gorzej. Ma zdrowe oczy. Są tak czyste jak światło dnia.

- Wy, Irlandczycy, samego diabła byście przegadali - powiedział i lekko się uśmiechnął. - Usiądźcie tam na krześle i poczekajcie. Proszę ją pokazać za godzinę.

To nie było najgorsze rozwiązanie z możliwych, ale oznaczało również, że moi towarzysze podróży, w tym O'Malley i Michael, znajdą się za chwilę przede mną. Posadziłam dzieci, poinstruowałam, że mają się nie ruszać z miejsca, cokolwiek by się działo, a następnie przeszłam z całym tłumem do dużej sali, którą nazywano salą rejestracji. Była zapełniona drewnianymi ławkami, na których siedzieli ludzie. Teraz zrozumiałam żart o zagrodzie. Ławki były poprzedzielane metalowymi prętami i rzeczywiście wyglądały jak boksy dla bydła sprzedawanego na targu.

- A pani dokąd? - Na rękę poczułam uścisk strażnika. - Proszę wrócić na swoje miejsce i czekać w kolejce.

- Proszę mnie puścić. Szukam znajomego ze statku.

- Wszyscy tak mówią. - Zmierzył mnie wzrokiem od stóp do głów. - No cóż, może mógłbym się zgodzić, żeby przeszła pani szybko...

- Mógłby pan? To wspaniale!

- Mógłbym, za niewielką opłatą oczywiście. Na przykład dwadzieścia dolarów?

Żądał łapówki! Popatrzyłam wokół, żeby sprawdzić, czy ktoś go usłyszał. Wokół stali inni strażnicy. Zaczęłam się zastanawiać - czy to możliwe? Jeśli dam teraz łapówkę strażnikowi, prawdopodobnie zostanę tu na zawsze, bo przecież nie mam więcej pieniędzy. Chyba że posłuchają O'Malleya. Wtedy od razu odeślą mnie do Irlandii. Starłam się wypatrzeć w tłumie czerwoną apaszkę, ale na próżno. W sali musiało być już z tysiąc osób, a dalsze wciąż napływały do środka.

Wróciłam szybko do dzieci, które nie ruszyły się ani na krok, i zaczęłam obserwować wskazówki zegara. Kiedy minęła godzina, znów zabrałam Bridie do doktora.

- Proszę spojrzeć - powiedziałam triumfalnie. - Proszę teraz spojrzeć na jej oczy. Ani śladu zaczerwienienia, prawda? Czy kiedykolwiek widział pan tak zdrowe oczy?

Roześmiał się, zaglądając Bridie pod powieki.

- Czyste jak światło dnia, tak jak pani mówiła - potwierdził. - Idźcie dalej i wszystkiego dobrego! Masz szczęście, mała, że twoja matka jest taka uparta.

- Ale to nie jest moja... - Na szczęście nie usłyszeli ostatniego słowa Bridie, bo szybko wyprowadziłam ją z pokoju.

O mały włos! Muszę wytłumaczyć dzieciom, że rola matki jeszcze się dla mnie nie skończyła i że będę ją grała trochę dłużej.

Dołączyliśmy do kolejki przed salą rejestracyjną.

- Nazwisko i nazwa statku. - Inspektor odwrócił moją karteczkę, jakbym była jakąś paczką. - O'Connor, Majestic, tak? Ławka z nazwiskami na „O” jest już pełna. Proszę usiąść... o tam, i czekać, dopóki nie powiemy, że można iść do przodu.

Przysiadłam na ławce razem z dziećmi. Kiedy tak czekaliśmy, obserwując przechodzących obok ludzi, mogłam wreszcie dokładnie ocenić wielkość sali, w której się znajdowaliśmy. Nigdy nie widziałam kościoła, który byłby nawet w połowie tak ogromny. Gdy spojrzałam na sklepienie w górze, miałam wrażenie, że widzę sufit wielkiej katedry. Ogromna amerykańska flaga zwisała z balkonu antresoli. Odgłosy różnych języków odbijały się echem od ścian.

Od czasu do czasu wywoływano kogoś po nazwisku, ten ktoś wstawał i rozglądał się z przejęciem, a następnie ruszał przed siebie. Sala wciąż jednak pozostawała pełna. Nagle, późnym popołudniem, kiedy dzieci zaczęły się skarżyć, że są głodne, a i mnie samej burczało już w brzuchu, przez salę przeszedł szmer podniecenia. Na antresoli pojawili się ludzie - mężczyźni w wysokich kapeluszach i elegancko ubrane kobiety. Stali tam i wpatrywali się w tłum poniżej. Czyżby była to popołudniowa rozrywka wyższych sfer Nowego Jorku? Przepłynąć łódką na Ellis Island i popatrzeć sobie na motłoch, który przybył tego dnia? Rozglądając się wokół, zdałam sobie sprawę, że przypominamy zwierzęta w zoo. Matki karmiły piersią. Starsze dzieci wspinały się kobietom na ramiona. Zauważyłam, że niektórzy mężczyźni się drapali. Przeprawa na naszym statku może nie należała do przyjemności, ale przynajmniej nie nabawiliśmy się tam żadnych pasożytów. Za to należało dziękować Bogu.

Kiedy na antresoli zgromadził się duży tłum, usłyszeliśmy głos.

- Witamy wszystkich, którzy właśnie przybyli do naszego wspaniałego kraju.

Willkommen! Benvenuto! Nazywam się Edward McSweeney i jestem administratorem Ellis Island. Dzisiaj mamy zaszczyt gościć naszych sąsiadów z Nowego Jorku - jego dostojność burmistrza oraz innych dygnitarzy, którzy przybyli tu w ten zimny dzień, by dokonać oficjalnego otwarcia nowego budynku. Jak zapewne wszyscy wiedzą, stary budynek spalił się w pożarze trzy lata temu. Teraz zbudowaliśmy nowy - większy, wspanialszy i zabezpieczony przed ogniem!

Zrobił przerwę na oklaski, tak jakby nie zdawał sobie sprawy, że większość widowni nie rozumie z jego przemowy ani słowa. Panie i panowie na antresoli uprzejmie bili brawo.

- Teraz poproszę pana Roberta Van Wycka, jego wysokość burmistrza Nowego Jorku, obecnie drugiego co do wielkości miasta na świecie, o wygłoszenie krótkiego przemówienia.

Burmistrz wziął do ręki tubę.

- Moi drodzy nowi Amerykanie - powiedział. - Przybyliście do kraju, w którym wszystko jest możliwe. Ludziom odważnym spełniają się marzenia. Dowiedziecie się wkrótce, że wielu z naszych zasłużonych obywateli jest Irlandczykami tak jak wy. Wielu z tych, którzy piastują wysokie stanowiska, to również Irlandczycy z krwi i kości. Pochodzą z ubogich środowisk, podobnie jak wy, ale dzięki ciężkiej pracy i sile charakteru osiągnęli niemało. Przekazuję wam następującą wiadomość: nie lekceważcie siły irlandzkich wyborców. Jeśli będziemy trzymać się razem i pracować dla wspólnego dobra, możemy sporo osiągnąć. Zwracam się do wszystkich nowo przybyłych: pracujcie dla wspólnego dobra. Angażujcie się. Wykorzystajcie możliwość głosowania. To jest wspaniały kraj. Wolny kraj. Po raz pierwszy w życiu macie wolność wyboru. Możecie sami decydować o swojej przyszłości. Wykorzystajcie to!

Wydawało się, że niektórzy na sali z entuzjazmem przyjmują te słowa. Kiwając głowami, uśmiechali się, potem klaskali, patrząc nerwowo, jak zareagują policjanci.

- To jest wyjątkowy dzień - kontynuował burmistrz. - Dzisiaj odsłaniam tablicę upamiętniającą otwarcie tego budynku. Społeczność włoska mieszkająca w Nowym Jorku upiekła dla nas wszystkich wspaniały tort i kiedy już go pokroję, każdy z was dostanie kawałek.

To zrozumieli nawet ci, którzy nie znali języka. Cieszyli się i klaskali.

- A ponieważ Ellis Island jest administracyjnie częścią naszego wielkiego miasta, gdzie wkrótce wszyscy się spotkamy, sprowadziłem tu dla was grupę wspaniałych artystów, którzy umilą nam dzisiejszą uroczystość.

Nie wiem jak inni siedzący na tych twardych ławkach, ale ja wcale nie czekałam na żadną rozrywkę. Nerwy miałam napięte niczym struny skrzypiec. Im szybciej dotrę do

umundurowanych urzędników i przejdę przez to wszystko, tym lepiej. Nie ja podejmowałam jednak decyzje na Ellis Island. Signora Torchelli, którą zaanonsowano jako słynną diwę operową z Italii, obecnie goszczącą w Nowym Jorku, zaśpiewała nam piosenkę po włosku. Wielki głos zdecydowanie pasował do jej wielkiej postury. Odbijał się echem od wyłożonych nowymi płytkami ścian sali. A potem burmistrz zapowiedział występ znanego komika i aktora, ulubieńca wszystkich Irlandczyków - Billy'ego Brady.

Nigdy o nim nie słyszałam. Ani nikt obok mnie. Chyba jednak nie był ulubieńcem Irlandczyków z Irlandii. Podszedł do barierki przy antresoli. Był potężnym mężczyzną o dobrodusznej, okrągłej jak księżyc twarzy.

- Mój pierwszy skecz ma przypomnieć wszystkim obecnym tu Irlandczykom o rodzinnych stronach - powiedział.

Oddalił się na chwilę, a kiedy wrócił, miał na głowie siwą perukę, a na niej chustkę. Potem zaczął opowieść o irlandzkiej babci, która przyływa do Nowego Jorku. Jejku, ale to było zabawne! Ta jego babcia była jak prawdziwa! Wszyscy Irlandczycy na sali konali ze śmiechu. Ci, którzy nie znali angielskiego, patrzyli beznamiętnie przed siebie, starając się zrozumieć, co nas tak śmieszy. Kiedy skecz o babci się zakończył, komik zdjął chustkę i założył monokl. Tym razem odgrywał prezydenta McKinleya. To jednak nie było już takie śmieszne. Nikt z nas nie wiedział nic o prezydencie McKinleyu. Nie wiedzieliśmy nawet, jak wygląda i czy Billy Brady dobrze go naśladuje. Ale osobistości na antresoli śmiały się do rozpuku, więc chyba robił to dobrze. Klaskaliśmy uprzejmie.

Popołudnie zakończył sławny tenor irlandzki Edward Monagan. Zaśpiewał *To ostatnia róża tego lata* i chyba każdy z nas się popłakał. Irlandzkie matki i ojcowie przytulali się do siebie, szlochając; dzieci płakały, widząc łzy rodziców. A ja? Ja chciałam, żeby czym prędzej skończył i poszedł sobie. Nigdy nie przepadałam za sentymentalnymi piosenkami.

Po tym występie wydało mi się, że grupa burmistrza zaczyna zbierać się do odejścia, więc odetchnęłam z ulgą.

- Kiedy dostaniemy tort? - szepnął mi do ucha Seamus.

- Pewnie za chwilę, tak myślę - odparłam.

W tej samej chwili usłyszałam ruch na schodach i zobaczyłam, że burmistrz i część jego towarzyszy schodzi do naszej sali. Przed nimi uwijało się kilku mężczyzn z aparatami fotograficznymi. Dostojnicy zatrzymali się na schodach, żeby pozować. Mignęły flesze i w powietrzu rozszedł się cierpki zapach dymu. A potem burmistrz wszedł w tłum, co rusz ściskając ręce i głaszcząc dzieci po główkach.

- Jest bardziej królewski niż sam król - odezwał się strażnik za naszymi plecami.

- Przyszedł tu tylko z powodu Tammany^[1]. Wie, że siedzi im w kieszeni - odpowiedział drugi strażnik.

Wtedy jeszcze nie miałam pojęcia, o czym mówią.

Burmistrz zbliżył się do nas. Znow ścisnął ręce. Robiono zdjęcia. Ponieważ byliśmy tuż przy przejściu, jego oczy spoczęły na Bridie, która spała sobie spokojnie na moich kolanach.

- No proszę, mamy tu panienkę z Irlandii - powiedział, próbując wziąć ją na ręce. - Jak masz na imię, maleńka?

- Powiedz panu, że nazywasz się Bridie O'Connor - poprosiłam, ale oczywiście zwiesiła nieśmiało głowę i starała się wykręcić.

- Bridie O'Connor! Co za piękne imię dla pięknego dziecka! - Starał się posadzić ją sobie na kolanie, tak by fotografowie mogli im zrobić wspólne zdjęcie. - Witaj w Ameryce, Bridie! - dodał.

Bridie się rozpląkała, ale zanim zdołałam zareagować, komik Billy Brady wyskoczył nagle zza burmistrza i zaczął robić tak zabawne miny, że dziecko, zamiast płakać, zaczęło się śmiać. Pierwszy raz słyszałam jej śmiech. Ludzie wokół wkrótce się do nas przyłączyli i po chwili prawie cała Ellis Island pokładała się ze śmiechu.

Burmistrz pogłaskał Bridie po głowie i posadził ją z powrotem na moich kolanach.

- Uroczę dziecko. Proszę się nią dobrze opiekować - powiedział. - Rety, należy mi się whisky z wodą - usłyszałam, jak szepcze do Billy'ego Brady, kiedy wychodzili z naszej sali.

Kiedy w końcu sobie poszli, po sali zaczęły krążyć papierowe pudełka z kawałkami tortu. Tort był podobny do tego, jaki podaje się na przyjęciach weselnych. Na pudełkach umieszczono zdjęcie burmistrza oraz napis: „Pamiątka uroczystości na Ellis Island, 27 lutego 1901 roku”. Większość z nas była tak głodna, że natychmiast rzuciła się na ciasto, nawet nie patrząc na zdjęcie. Kiedy kończyliśmy, ponownie przemówił administrator, pan McSweeney.

- Przykro mi, ale z powodu wizyty burmistrza nie zdążymy dzisiaj wszystkich odprawić. Tym, którzy znajdują się w ostatnich rzędach, podamy kolację. Noc spędzicie w nowej noclegowni tutaj na wyspie. Ale proszę się nie martwić. Rano postaramy się szybko nadrobić opóźnienie.

Informacja została powtórzona w kilku innych językach. Widziałam, jak cudzoziemcy na ławkach odwracali się do siebie i coś szeptali, ale nie widać było po nich zdenerwowania. Inaczej niż po wszystkich Irlandczykach i Anglikach, wśród których siedziałam. Przypuszczam, że tamci po prostu przywykli do podobnych sytuacji w swoich krajach. Kiedy coś idzie nie tak, jak byśmy chcieli, trzeba się z tym pogodzić i tyle.

- W porządku. Chodźcie! No szybciej! Będzie żarcie! - zaczął pokrzykiwać na nas strażnik, jak tylko oficjele zniknęli.

Zebrałam dzieci i poszłam za nim, ledwo trzymając się na nogach. Sama nie wiem, czy z powodu oszołomienia, czy rozczarowania. Do tej pory radziłam sobie nieźle, ale teraz było już tego za wiele - nie zniosę jeszcze jednej nocy czekania w niepewności. Czułam, że lada moment mogę wybuchnąć płaczem. Zaciśnęłam usta i powlokłam się za pozostałymi w stronę jadalni, w której stały rzędem długie stoły. Podano nam duszone mięso i ziemniaki, mleko i biały chleb. Niektórzy nie mogli się nadziwić, że taki chleb istnieje, tak jakby nigdy wcześniej podobnego nie widzieli.

Kiedy skończyliśmy, podzielono nas na grupę kobiet i grupę mężczyzn i każda poszła ze swoim strażnikiem do drugiego budynku. Tam, na piętrze, znajdowały się sypialnie z metalowymi łózkami.

- Jeżeli łóżek nie wystarczy, będziecie niestety musiały spać na podłodze - powiedział strażnik obojętnie. - Tu są zapasowe koce, na których można się położyć.

Na szczęście miałyśmy łóżko. Bridie tak dzielnie się trzymała! Teraz jednak, na widok pokoju pełnego obcych kobiet, zaczęła płakać.

- Chcę do domu! Nie podoba mi się tutaj. - Dobrze, że zdążyłam ją mocno przytulić, zanim krzyknęła na całą sypialnię: - Chcę do mamy!

Trzymałam ją w ramionach, kołysałam, aż w końcu zasnęła umęczona. Seamus zwinął się w kłębek i wkrótce też usnął.

Leżałam obok dzieci, wpatrując się w sufit i czekając, aż nadejdzie upragniony sen. Pokój wypełniał się obcymi, niepokojącymi odgłosami - syczenie i stukanie w rurach nie pozwalało mi usnąć. Nigdy wcześniej nie przebywałam w pomieszczeniu z centralnym ogrzewaniem, było tu dla mnie zdecydowanie za gorąco. Oprócz tego słyszałam wiatr, żałobne sygnały przeciwmgielne, a także chrapanie i kaszel setki pozostałych kobiet.

Jeszcze jeden dzień i będę wolna. Żeby tylko nie wydał mnie O'Malley... albo dzieci... albo żeby brytyjska policja nie wysłała za mną listu gończego. Rzadko się modlę, ale teraz się modliłam: „Matko Przenajświętsza, proszę Cię, żeby było już po wszystkim. Wyprowadź mnie stąd bezpiecznie, a do końca życia będę odmawiała zdrowaśki”. Zapadłam w niespokojny sen.

Coś zbudziło mnie w środku nocy. Przydymione światło rzucało cień na salę. Wokół słychać było odgłosy snu. Wyciągnęłam rękę, ale dotknęłam zimnego prześcieradła. Bridie zniknęła. Podniosłam się i rozejrzałam wokoło. Seamus wciąż spał, zwiniony w kłębek jak małe zwierzątko. Na sąsiednich łóżkach panował spokój. Ani śladu Bridie.

Serce waliło mi z przerażenia, kiedy szepcząc imię dziewczynki, przedzierałam się przez rzędy łóżek. Pochylałam się co chwila, by sprawdzić, czy nie ukryła się pod którymś. Ostrożnie stawiałam kroki nad śpiącymi na podłodze postaciami. Przeszłam tak całą sypialnię, ale Bridie nie znalazłam. Wybiegłam na korytarz. Na jego końcu ujrzałam światełko. Dokąd mogła pójść? Co sprawiło, że dziecko, które boi się własnego cienia, poszło w nieznaną? Przecież była w obcym miejscu pełnym dziwnych odgłosów.

W połowie korytarza znajdowały się drzwi do dwóch toalet. Zajrzałam do jednej i do drugiej, ale Bridie tam nie było. Pomyślałam, że muszę kogoś obudzić, szukać pomocy. Zaczęłam biec po ciemku. Moje kroki dudniły, odbijając się echem od świeżo pomalowanych ścian i kamiennej podłogi. Przecież ktoś musi być na nogach w tym nieprzyjaznym uśpionym budynku! Wyrzałam za róg i wtedy ją zobaczyłam - zmierzała prosto w stronę otwartych drzwi męskiej sypialni.

- Bridie! - krzyknęłam.

Nie odpowiedziała.

Podbiegłam i złapałam ją, zanim przekroczyła próg pokoju.

- Bridie, co ci, na Boga, przyszło do głowy, żeby...

I nagle zobaczyłam, że Bridie ma szeroko otwarte oczy i wygląda jak ktoś opętany. Chwilę mi zajęło, zanim zrozumiałam, że chodzi we śnie. Biedne stworzenie! Po tym

wszystkim, co przeżyła w ciągu dnia, nic dziwnego, że miała niespokojny sen. Pamiętałam, że niebezpiecznie jest budzić lunatyków zbyt gwałtownie. Zbliżyłam się do niej i już zamierzałam przyklęknąć, żeby obudzić ją najdelikatniej jak to możliwe, kiedy z pokoju wyłoniła się jakaś postać.

- A dokąd to się wybieracie? - zagrział gruby głos.

Przygarnęłam szybko przerażone dziecko, a potem podniosłam wzrok i zobaczyłam potężnego strażnika w mundurze i czapce z daszkiem.

- To jest sypialnia męska. - Podeszedł do nas w tak agresywny sposób, że aż cofnęłam się z przerażenia. - Dlaczego się tu szwendacie?

- Przepraszam. Mała jest lunaticzką - powiedziałam. - Niepotrzebnie pan na nas krzyczy. Właśnie wracamy do swojej sypialni.

- I macie w niej zostać! - wrzasnął. - Albo odeślą was z powrotem tam, skąd jesteście.

Kierując się w stronę bezpiecznej sypialni dla kobiet i niosąc na rękach popłakującą Bridie, czułam na plecach jego wzrok. Położyłam się spać, mocno przytulając ramieniem dziewczynkę. Nie zamierzałam znów ryzykować.

Kiedy otworzyłam oczy, kobiety krzątały się wokół nas. Dzień ledwo się zaczął, a w pokoju było wyjątkowo zimno. Dlaczego budzili nas przed świtem? W korytarzu było jasno od świateł. Słyszałam zaalarmowane głosy i szybkie kroki. Coś się działo. Może wybuchł pożar? Czyżby jednak ten wspaniały budynek nie był tak zabezpieczony przed ogniem, jak się wydawało? Nie czułam jednak ani dymu, ani gorącego powietrza.

W tym momencie ktoś zapalił w naszej sypialni światło, a w drzwiach stanął strażnik.

- Pobudka! Wszyscy wstajemy, a potem marsz do jadalni na dół! - rozkazał. - Tam dostaniecie kawę i powiedzą wam, co dalej robić.

Zerwałyśmy się z łóżek i pobiegłyśmy na dół. Mężczyźni z naszego statku siedzieli już przy jednym z długich stołów. Żony podeszły do mężów. Słyszałam szept i wiadomość przekazywaną z ust do ust:

- Tak, w naszej sypialni. Tak, widziałem... Okropne... Nieszczęsny człowiek...

Zauważyłam, że wśród mężczyzn siedzi Michael Larkin. Jego twarz wydała mi się jeszcze blejsza niż zwykle. Podbiegłam do niego.

- Tak się cieszę, że cię widzę - powiedziałam. - Wiesz, co się stało?

Kobieta obok pochyliła się w moją stronę.

- Człowiek zginął - szepnęła ochryple.

- Wypadek? - spytałam.

Mężczyzna po drugiej stronie stołu wtrącił się do rozmowy.

- Żaden wypadek. Poderżnęli facetowi gardło od ucha do ucha.

- Jakaś bójka?

Pokręcił głową.

- Nie, podczas snu. Pewnie wtedy. Ktoś bardzo dobrze wiedział, jak to zrobić. I do tego miał odpowiednio ostry nóż. Spałem na trzecim łóżku od niego i nic nie słyszałem. Żaden z nas nic nie słyszał.

- Nieszczęsny człowiek - szepnęła moja sąsiadka i przeżegnała się. - Przepłynął taki szmat drogi i proszę, co go spotkało... Choć Bogiem a prawdą sam się prosił, prawda?

- Który to? - zapytałam. - Znaliśmy go?

Zanim Michael zdążył odpowiedzieć, kobieta znów się odezwała.

- No pewnie. To ten O'Malley. Ten, któremu wymierzyła pani policzek.

Muszę przyznać, że z początku poczułam ulgę. O'Malley nie żyje. Nie narobi mi żadnych kłopotów podczas odprawy. Ani nie będzie czyhał na mnie na każdym rogu w Nowym Jorku. Już nikomu nie zaszkodzi. Nie ma go. Zdawałam sobie sprawę, że każdy prawdziwy katolik powinien właśnie modlić się za jego duszę, nigdy jednak nie byłam dobrą katoliczką. Cieszyłam się, że go nie ma. Byłam o krok bliżej od wolności.

Razem z dziećmi wcisnęłam się na ławkę obok Michaela.

- To się stało w twojej sypialni, tak? - zapytałam.

Michael wciąż wyglądał blado. Był w szoku.

- To ja go znalazłem - powiedział. - Jego gardło... Miał na szyi taką czerwoną chustkę... Ale ta krew... - Zamknął oczy. Wstrząsnął nim dreszcz. - Nie życzyłem mu dobrze. Ale nie aż tak. Żaden człowiek nie powinien zginąć w ten sposób.

Położyłam rękę na jego ramieniu.

- Proszę, napij się kawy. Poczujesz się lepiej.

Minęła godzina, którą przesiedzieliśmy, czekając i zastanawiając się nad różnymi możliwościami. Potem zaprowadzono nas do sali rejestracyjnej. Stanowiliśmy niewielką grupę, więc zajęliśmy jedynie ławki na przedzie. Nasze kroki dudniły w pustej przestrzeni. Pewnie żadnym innym statkom nie pozwolono dobić do brzegu. Bez tego tłumu naokoło poczułam w pomieszczeniu chłód i przeciąg.

Bridie, zupełnie nieświadoma tego, co się stało w nocy, była nagle pełna wigoru i chciała biegać. Przytrzymałam ją na kolanach, ale wiała się i wściekała, więc poprosiłam Seamusa, by zaprowadził ją do kąpki, w którym bawiły się pozostałe dzieci. To wtedy zauważyłam ludzi pilnujących drzwi. Mieli na sobie policyjne mundury, a nie czapki z daszkiem i uniformy, jakie nosili strażnicy. Stali nieruchomo i obserwowali nas.

Do pokoju wkroczyła grupa mężczyzn. Niektórzy też nosili mundury. Administrator, ten sam, co witał nas wczoraj, był teraz pochłonięty rozmową z młodzieńcem w meloniku i tweedowej marynarce, podobnej do tych, jakie noszą w Irlandii. Kiedy zastanawiałam się, czy jest on może podejrzanym, podniósł głowę, powiedział coś i zaśmiał się głośno. W takim razie nie był zabójcą.

Pan McSweeney stanął przed nami. Mimo że siedzieliśmy w milczeniu, podniósł rękę i poprosił o ciszę.

- Wielu z was już wie, że na wyspie doszło do tragedii. Zamordowano człowieka. Wszystkich poprosimy teraz o złożenie zeznań. Tłumacze pomogą tym, którzy nie znają angielskiego. Pozostańcie na swoich miejscach, dopóki was nie poprosimy.

Potem przemówił mężczyzna w tweedowej marynarce.

- Dziękujemy wszystkim za cierpliwość. Nazywam się Daniel Sullivan i jestem kapitanem nowojorskiej policji. Prowadzę śledztwo w sprawie tego morderstwa.

Był dobrze zbudowany, wysoki i zbyt młody jak na kapitana czegokolwiek.

- Jeśli mają państwo jakieś informacje, proszę zgłosić się do mnie lub do któregoś z moich ludzi. Mam na myśli cokolwiek, co mogłoby pomóc rozwiązać tę ponurą zagadkę. Może wiecie coś o ofierze, może coś słyszeliście lub widzieliście? Proszę przyjść, nawet jeśli się wam wydaje, że wasze informacje są mało istotne. Ostatnia łódź odpłynęła z wyspy o szóstej wieczorem. Oznacza to, jak pewnie się domyślacie, że zbrodnię popełnił ktoś, kto był wśród was wczorajszej nocy i wciąż znajduje się na wyspie. Nikt nie opuści Ellis Island, dopóki tego nie wyjaśnimy.

Ze swoich miejsc wstali tłumacze i powtórzyli to, co zostało powiedziane. Kiedy cudzoziemcy zrozumieli, o co chodzi, zaczęli złościć się i lamentować.

Wzywano nas do stanowisk pojedynczo. Policjanci i inspektorzy sprawdzali listy. Wstałam, kiedy nadeszła nasza kolej. Zapytali mnie o imię i skreślili je na liście, którą mieli przed sobą.

- Czy podróżuje pani samotnie? - zapytał policjant.

- Z dziećmi. Z Seamusem i Bridie. Mąż wyjdzie nam na spotkanie, kiedy będziemy wolni. - Sama byłam zdziwiona, że tak gładko wymówiłam to zdanie.

Policjant pochylił się nad listą leżącą na biurku.

- Przybyła pani na statku Majestic. Widzę, że pochodzi pani z tej samej części Irlandii co mężczyzna, który został zamordowany. Znaliście się?

- Nigdy wcześniej go nie widziałam. Po raz pierwszy zobaczyłam O'Malleya na statku. - Przynajmniej nie musiałam kłamać.

- Rozmawialiście podczas podróży?

- Rozmawiałam z wieloma osobami. W końcu podróżowaliśmy razem przez siedem dni. Ktoś zwrócił mi na niego uwagę i powiedział, jak się nazywa. Stąd wiem, kim był. Taki głośny typ. Trudno byłoby go nie zauważyć.

- Mówiąc „głośny”, ma pani na myśli „agresywny”? Wszczywał bójki? Widziała pani, żeby się z kimś kłócił?

Nie potrafiłam powiedzieć: „Tak, pokłócił się ze mną”.

- Nie. Chodzi mi o to, że zawsze głośno się śmiał podczas gry w karty. Miał tubalny głos.

Mężczyźni wymienili spojrzenia, a potem policjant pokiwał głową.

- Dziękujemy, pani O'Connor. To wszystko.

8

I było po wszystkim. Po prostu usiadłam z powrotem na swoim miejscu. Dzieci wciąż bawiły się w kącie. Uśmiechnęłam się do kobiety obok. Nagle poczułam, jak bardzo jestem głodna. Marzyła mi się owsianka, którą robiłam w domu, z prawdziwą śmietanką. Ale nie podano nam żadnych przekąsek ani napojów. Przesłuchania trwały już dobrą godzinę. Po pewnym czasie znów stanął przed nami mężczyzna w tweedowej marynarce.

- Przykro mi, że musieliśmy was tutaj zatrzymać. Pewnie nie możecie się doczekać, żeby zejść na ląd.

Miał irlandzkie nazwisko, ale jego akcent nie przypominał żadnego, z którym byłam osłuchana.

- Niektórzy są już wolni. Bardzo proszę tłumaczy o poinformowanie pasażerów, którzy przyłynęli na statku Graf Bismarck, że mogą przechodzić do normalnej odprawy. Wolni są również następujący pasażerowie statku Majestic...

Przeczytał listę nazwisk, ale nie było na niej mojego.

- Pozostałych poprosimy o dalsze zeznania. Prawdopodobnie dysponujecie informacjami, które nas interesują. Nie przypuszczam, byśmy was długo zatrzymywali. Z pewnością nie wszystkich.

To ostatnie zdanie bardzo mnie zaniepokoiło. Im dłużej ja i dzieci będziemy przesłuchiwać, tym większe prawdopodobieństwo, że coś chlapniemy. Przez cały czas byłam taka silna, taka uważna! Żeby już wreszcie było po wszystkim! Usiedliśmy na ławkach i czekaliśmy. Rozejrzałam się wokół, szukając wzrokiem Michaela, ale nigdzie go nie było. Nie słyszałam, by wyczytano jego nazwisko. Mogło mi jednak umknąć, bo byłam bardzo skupiona, starając się nie przegapić własnego. I tak nie mógłby zejść na ląd. Przecież miałam w kieszeni jego pięć funtów.

Podskoczyłam, czując, że ktoś dotknął moich pleców.

- Wołają panią, pani O'Connor.

Policjant wskazał mi ręką drzwi do pokoju przesłuchań.

- Czy może pani przypilnować dzieci? - poprosiłam jedną z kobiet, które siedziały obok. Nie wyobrażałam sobie, żeby dzieci mogły uczestniczyć w przesłuchaniu.

- Nie martw się, kochana. Będą ze mną bezpieczne. - Pogłaskała mnie współczująco po rękę.

Poprowadzono mnie do niewielkiego pokoju. Stało w nim biurko, za którym siedział ten młody detektyw z Nowego Jorku. Zapisywał coś w notesie. Kiedy weszłam, podniósł

głowę.

- Pani O'Connor? Pani Kathleen O'Connor?

Coś dziwnego było w sposobie, w jaki na mnie patrzył. Wydawało mi się, że jest mną zainteresowany bardziej niż poprzednio. On wie - pomyślałam. Kontaktował się z angielską policją, a teraz mnie rozpoznał.

- Zgadza się, proszę pana. - Usiadłam na stojącym przed biurkiem krześle, które mi wskazał.

- Ze Stabane w hrabstwie Derry? Przyłynęła tu pani na statku Majestic, żeby połączyć się z mężem Seamusem O'Connorem, zamieszkałym przy Cherry Street numer dwadzieścia osiem w Nowym Jorku?

- Zgadza się, proszę pana.

Postanowiłam, że będę udzielała tak krótkich odpowiedzi, jak to tylko możliwe. Jeśli urodził się w Irlandii albo tylko obracał się w irlandzkich kręgach, wkrótce zauważy, że mój akcent nie jest akcentem z hrabstwa Derry.

- W rozmowie z moim człowiekiem powiedziała pani, że nie znaliście się z panem O'Malleyem i że nigdy wcześniej się nie spotkaliście. Ale przecież oboje pochodzicie z tego samego miasteczka Plumbridge. To prawda?

- Nie wiem, skąd pochodzi pan O'Malley. Nigdy wcześniej go nie spotkałam.

Podniósł głowę i zauważyłam błysk w jego oczach. Był typem tak zwanego ciemnego Irlandczyka. To oznacza, że za przodka musiał mieć Hiszpana - jednego z ocalałych marynarzy^[2]. Miał niesforne czarne loki, które nieskutecznie starał się ujarzmić, rozczesując je równo na boki. Miał także zawadiacki dołek w podbródku oraz niebieskie oczy w niesłychanym odcieniu. Był bardzo atrakcyjnym mężczyzną. Gapiłam się na niego o sekundę za długo, zanim przypomniałam sobie, gdzie jestem, kim jestem i co się ze mną dzieje. Potem znów utkwiałam wzrok w dłoniach.

- Pani O'Connor - kontynuował. - Kilku pasażerów płynących razem z panią statkiem Majestic poinformowało mnie, że spoliczkowała pani O'Malleya. Czy tak ma pani w zwyczaju? Policzkować nieznaną mężczyznę?

- Składał mi nieprzyzwoite propozycje - wymamrotałam, wciąż patrząc na dłoń. - Chciał skorzystać z tego, że podróżuję bez męża.

- Ach, więc tak?

Podniosłam wzrok. Przez ułamek sekundy wydawało mi się, że dojrzałam uśmiech na jego twarzy.

- Zatem uderzyła go pani? Czy zawsze reaguje pani tak agresywnie, pani O'Connor?

- Spoliczkowałam go - odparłam. - Kobieta powinna chyba bronić swojego honoru, jeśli nie ma akurat przy sobie mężczyzny, który by to za nią zrobił?

Mówiąc to, zdałam sobie sprawę, że ostatnio bardzo ostro bronię swojego honoru. Gdyby połączyć to wszystko w całość... policja byłaby zadowolona.

Znów spuściłam wzrok.

- A czy pan O'Malley zrozumiał? - kontynuował kapitan Sullivan. - Czy później jeszcze się narzucał?

- Nie, proszę pana. Już się nie narzucał.

- Tak więc potem nie mieliście kontaktu?

- Nie.

Nastąpiła długa przerwa. Wciąż wpatrywałam się w swoje ręce. Słysząc było głośnie tykanie zegara i fale rozbijające się o brzeg za oknem.

- Jest jeszcze jedna sprawa, która nas zainteresowała, pani O'Connor - ciągnął Sullivan. - Pani nazwisko pojawia się też w innym kontekście.

Starłam się oddychać spokojnie, tak by nie zauważył paniki, która zaczynała mnie ogarniać.

- Zauważono, jak wychodzi pani z sypialni w środku nocy. Dwóch świadków zeznało również, że widziało, jak biegnie pani przerażona korytarzem od strony męskiej sypialni.

Podniosłam wzrok i spojrzałam na niego odważnie.

- A czy tych dwóch świadków zeznało również, że miałam wtedy dziecko na rękach? - zapytałam. - Mała jest lunaticzką. Znalazłam ją przed samymi drzwiami do męskiej sypialni. Czy uważa pan, że gdybym szła tam zamordować człowieka, wzięłabym ją ze sobą dla towarzystwa?

Znów błysk w oku, a potem zmarszczone brwi.

- O ile wiem, miał poderżnięte gardło. Od ucha do ucha - kontynuowałam. - A niby gdzie miałabym znaleźć taki nóż? Widziałam kiedyś, jak szlachtuje się świnię. Leje się krew. Niemożliwe, żeby nie było jej na mojej sukni. Proszę się dokładnie przyjrzeć. Nie miałam możliwości się przebrać. Widzi pan krew na moim ubraniu?

Wstałam i obróciłam się wokół własnej osi. Przypatrywał mi się z tym samym trudnym do ukrycia zaciekawieniem.

- Proszę usiąść, pani O'Connor - powiedział. - Nikt nie sugeruje, że zabiła pani O'Malleya. Z prostej przyczyny: nie sądzę, by miała pani tak dużo siły. Był potężnym mężczyzną. Ten, kto to zrobił, bardzo ryzykował. Pierwsze cięcie musiało uszkodzić tchawicę, tak by O'Malley nie mógł krzyknąć. To wymaga wielkiej siły i bardzo ostrego

noża. No i oczywiście wprawy.

- I nie znaleźliście jeszcze nikogo, kto miałby ślady krwi na ubraniu? - zapytałam. - Chyba od tego właśnie powinniście zacząć. Nikt z nas nie ma przecież dostępu do bagaży, więc nie mógł się przebrać.

- Czy poucza mnie pani, jak mam wykonywać swoją pracę? - zapytał, ale bez złości, uśmiechając się lekko. Przebiegły miał ten uśmiech.

- Przepraszam pana. Po prostu chciałabym już stąd wyjść i zobaczyć się wreszcie z mężem.

- No tak, oczywiście. - Czyżby uśmiech zniknął z jego twarzy? - Musimy jednak poznać prawdę, dopóki istnieje taka możliwość. Nieczęsto zdarza się nam, detektywom, żeby rozwiązanie zagadki zostało podane na tacy: wszyscy podejrzani są pod jednym dachem, nie mają możliwości ucieczki. I taka bezczelna, oburzająca zbrodnia. Ktoś przecież musiał coś zauważyć. I w końcu o tym opowie. To tylko kwestia czasu.

Pochylił się nad stołem i uważnie mi się przyglądał.

- Nie wiem czemu, ale mam wrażenie, że jest jeszcze coś, co pani przed nami ukrywa. Dlaczego nie chce pani, żebyśmy szybko rozwiązali tę zagadkę i pozwolili pani spotkać się z mężem?

- Ależ chcę, tylko że nie mam nic więcej do powiedzenia. Nie znałam O'Malleya. A sam pan przyznał, że nie miałabym dość siły, by go zabić.

- Ale mogła być pani pomocnikiem zabójcy i stać przed sypialnią na czatach razem z dzieckiem. To dzięki temu ma pani teraz alibi. Zabójstwa zaś dokonał ktoś inny.

- To żałosne - odparłam. - Poza tym był tam ten strażnik. Powie panu wszystko. Wyszedł z męskiej sypialni i na nas nakrzyczał. To wtedy zaczęłyśmy uciekać.

- Strażnik? - Wyprostował się na krześle tak gwałtownie, że aż zaskrzypiało. - Mówi pani, że widziała strażnika w męskiej sypialni? W środku nocy?

Skinęłam głową.

- Znalazłam Bridie przed wejściem do sypialni. Wtedy pojawił się strażnik i zaczął na nas krzyczeć. Pomyślał chyba, że zamierzam odwiedzić jednego z mężczyzn. Stał tam i obserwował, jak biorę dziecko na ręce i odchodzę.

- Ten strażnik... Rozpoznałaby go pani?

- Sądzę, że tak. Był wysoki, miał wąsy, wielki brzuch i gruby głos.

Wstał.

- Harris! - Do pokoju wsunął głowę młody policjant. - Zbierz wszystkich strażników i daj mi znać, kiedy będziesz gotów.

Usiadł z powrotem i uśmiechnął się.

- Dziękuję, pani O'Connor. To pomocna informacja. Jeśli go pani zidentyfikuje, będziemy o krok bliżej rozwiązania zagadki. - Zawiesił głos, uderzając ołówkiem w stół. Miał dużo energii; zauważyłam, że ciągle jest w ruchu.

- Ciekawi mnie, dlaczego sam nas o tym nie poinformował. Nie powiedział, że widział panią w pobliżu męskiej sypialni. To wydaje się podejrzane.

- Może ma coś do ukrycia? - zasugerowałam.

Wpatrywał się we mnie.

- To właśnie on mógł popełnić morderstwo - ciągnęłam.

- A dlaczego strażnik na wyspie miałby zamordować imigranta? - zapytał.

Wzruszyłam ramionami.

- Kradzież? Może miał złoty zegarek? Albo dużo pieniędzy w kieszeni?

- Przecież płynęliście trzecią klasą, pani O'Connor - powiedział Sullivan. - Gdybyście mieli przy sobie coś wartościowego, zapłacilibyście za kajutę.

To prawda, nie mylił się.

Wstałam.

- W takim razie nie będę teraz potrzebna, dopóki nie zbierzecie strażników, prawda?

Znowu przez dłuższą chwilę zatrzymał na mnie spojrzenie. Jakby miał jeszcze w zanadru parę pytań.

- Tak, proszę poczekać na zewnątrz. Wiem, gdzie pani szukać, jeśli będę miał jakieś wątpliwości - powiedział. - Chyba pani nie odpłynie. - I znów uśmiechnął się przebiegle. W innych okolicznościach flirtowanie z takim mężczyzną sprawiłoby mi ogromną przyjemność. Ale przecież byłam teraz zameźną kobietą z utęsknieniem czekającą na spotkanie z dawno niewidzianym mężem. W dodatku kobietą, którą podejrzewa się o morderstwo.

Kiedy miałam już wyjść, do pokoju wszedł młody policjant.

- Przepraszam, że przeszkadzam, proszę pana - powiedział z wyraźnym irlandzkim akcentem. Czyżby cały Nowy Jork pochodził z Irlandii?

- Tak? Co się dzieje, Lynch?

- Chodzi o jego buty. O buty O'Malleya.

Sullivan z zainteresowaniem podniósł głowę.

- Cóż, proszę pana. Zdjęliśmy je i okazało się, że są bardzo dobrej jakości. Mają w środku nazwisko szewca z Londynu. Są wyłożone miękką skórką.

- Naprawdę? - Sullivan popatrzył na mnie. To przecież ja przed chwilą

zasugerowałam, że O'Malley mógł mieć przy sobie coś wartościowego.

- Więc tak sobie pomyślałem, proszę pana - kontynuował podekscytowany Lynch - że ten O'Malley albo nie był tym, za kogo się podawał, albo ukradł te buty. A w takim przypadku Scotland Yard pewnie ma go w swojej kartotece.

- Już wysłałem do Scotland Yardu telegraf z jego opisem - powiedział Sullivan. - A do Dublina wysłałem prośbę o wszystkie informacje na temat O'Malleya. Czy znalazłeś bagaż, który mógł zostawić w przechowalni na dole?

- Dwóch naszych jest tam teraz, proszę pana. Przyniesiemy jego torby, jak tylko je znajdą.

- Dziękuję, Lynch. Dobra robota - odparł Sullivan.

- Zastanawiam się jeszcze, proszę pana, nad tymi butami - zaczął niepewnie Lynch. - Bo skoro nosił takie porządne obuwie, to może jednak motywem zabójstwa była kradzież?

Sullivan zauważył, że stoję w drzwiach.

- Może pani wyjść, pani O'Connor - powiedział uprzejmie.

Powstrzymałam się od uśmiechu.

I znów siedzieliśmy beczynnie w wilgotnym pomieszczeniu. Po jakimś czasie pojawiła się grupa strażników w uniformach. Wyglądali na niezadowolonych. Szli w asyście policjantów.

Daniel Sullivan poprosił, żebym podeszła.

- Proszę dokładnie im się przyjrzeć, a potem powiedziec nam, którego mężczyznę pani widziała - powiedział. - Proszę się nie denerwować.

Przeszłam obok ustawionych rzędem strażników. Potem potrząsnęłam głową.

- Nie widzę go tutaj - szepnęłam do kapitana.

- Czy to wszyscy strażnicy? - zapytał Sullivan. - Czy to wszyscy, którzy byli wczoraj na służbie?

- Niektórzy z nocnej zmiany popłynęli pierwszą poranną łodzią do domu - odparł jeden ze strażników.

- Myślałem, że nikt nie opuścił wyspy! - Daniel Sullivan aż poczerwieniał ze złości.

- Nikt z imigrantów. - Ni stąd, ni zowąd pojawił się nagle administrator. - Ale niektórzy strażnicy z nocnej zmiany odpłynęli rano łodzią, która jak zwykle przywiozła zmianę poranną. Odpłynęli, zanim się zorientowaliśmy... Kiedy okazało się, że na wyspie dokonano zbrodni, strażnicy właśnie się zmieniali.

- Czy ja dobrze słyszę? Mówi pan, że pewna grupa osób mogła uciec nam z wyspy?

McSweeney zaśmiał się zakłopotany.

- Nie, to niemożliwe. Tylko ci, którzy pracowali na nocnej zmianie. Przecież to łódź służbowa, nie wpuszcziliby na nią nikogo obcego.

- Cholera - wymamrotał Sullivan, a potem spojrzał na mnie przepraszająco. - Proszę mi wybaczyć.

- Słyszałam gorsze wyrazy.

Wziął głęboki wdech.

- W porządku. Proszę mi tutaj sprowadzić wszystkich strażników, którzy mają dzisiaj wolne. Wszystkich, którzy widnieją na liście zatrudnionych. Chcę, żeby przyплыnęli tu po południu. Zrozumiano?

- Nie ucieszą się, że budzimy ich w środku... - zaczął McSweeney.

- Nic mnie to nie obchodzi. Nie dbam o ich wrażenia. Zamordowano człowieka. Któryś z nich może mieć istotne dla sprawy informacje. Proszę dać listę moim ludziom, doprowadzą ich tutaj.

- Nie ma pan prawa! - krzyknął za nim McSweeney. - To jest teren federalny. Poinformowaliśmy o wszystkim urzędników federalnych i są już w drodze.

- Panie McSweeney, ta wyspa podlega administracyjnie władzom Nowego Jorku - odparł Daniel Sullivan. - A jakakolwiek zbrodnia popełniona na terenie miasta jest sprawą nowojorskiej policji. Poza tym nie zajmujemy się tutaj ucieczką bydła, ale morderstwem. Wątpię, panie McSweeney, by pańscy federalni kiedykolwiek rozwiązywali podobną sprawę.

Odszedł od strażników, a ja podążyłam za nim. Kiedy zdał sobie sprawę, że wciąż jestem w pobliżu, odwrócił się do mnie i powiedział:

- Przykro mi, że muszę tu panią zatrzymać jeszcze dłużej. Czy dzieci mają się dobrze? Trzeba je nakarmić. Proszę powiedzieć w kuchni, że kapitan Sullivan prosi o posiłek dla pani i jej dzieci.

Przeszliśmy do jadalni. Pozostali zatrzymani na wyspie imigranci siedzieli i pili kawę. I tym razem nie zauważyłam wśród nich Michaela Larkina. Zapytałam o niego parę osób. Niektórzy twierdzili, że był na liście zwolnionych i zszedł na ląd. Nikt go od dawna nie widział. Tylko ja wiedziałam, że bez pięciu funtów nie mógł przedostać się przez kontrolę.

Wydawało się, że ten dzień nie ma końca. Na dworze było ciemno i ponuro, w powietrzu unosiła się mgła, w oddali słychać było odgłosy nawołujących się statków, które płynęły w górę rzeki. Dzieci były wyjątkowo spokojne i grzeczne.

- Czy zatrzymają nas tutaj jako więźniów już na zawsze? - zapytał Seamus.

Pogładziłam go po głowie.

- To nie jest żadne więzienie. Do wieczora stąd wyjdziemy. Już niedługo. Obiecuję.

- Tak samo mówiłaś, kiedy statek jeszcze był na morzu. Czyli dwa dni temu - powiedział oskarżającym tonem.

Uśmiechnęłam się.

- Tym razem naprawdę obiecuję.

Popołudnie się przeciągało. Wciąż zerkałam na zegar nad naszymi głowami. Jeśli za chwilę tu nie przybędą, spędzimy na wyspie kolejną noc. Zastanawiałam się, co robi Seamus O'Connor. Czy przybył wczoraj na Ellis Island, żeby nas powitać? Czy niecierpliwi się teraz na brzegu, wyczekując jakiegokolwiek informacji na nasz temat? Przecież nawet nie wie, kiedy będzie mógł nas zabrać do domu. Co zrobi, jeśli po tym długim oczekiwaniu dowie się, że jego żona nie przybyła? Dopiero teraz zdałam sobie sprawę, że przecież jestem posłańcem złych wieści. Istnieje możliwość, że Seamus ze złości i żalu mnie wyda. Kiedy byłam dzieckiem, układaliśmy nad rwącym strumykiem przejście ze spróchniałych desek. Przechodziliśmy po tych deskach, nigdy nie wiedząc, która z nich się załamie ani kto wpadnie do lodowatej wody i porani sobie stopy o leżące na dnie ostre kamienie. Dokładnie tak wyglądało teraz moje życie - nie miałam pojęcia, która ze spróchniałych desek zawiedzie.

9

Grzejniki sprawiały, że w małym pomieszczeniu było gorąco, duszno i nieprzyjemnie. Drzemałam, kiedy Bridie wspięła mi się na kolana.

- Przyszli po ciebie panowie - powiedziała.

A właśnie śniłam o domu!

Odzyskanie świadomości zajęło mi chwilę. Zdałam sobie sprawę, że czekają na mnie dwaj policjanci.

- Kapitan Sullivan zaprasza panią, pani O'Connor. Wszyscy strażnicy są już na miejscu. Tędy proszę.

- Wrócę za moment. Przypilnuj siostry - powiedziałam do Seamusa, wychodząc za funkcjonariuszami.

Tym razem rząd strażników w uniformach był znacznie dłuższy. Widać było, że niektórzy ubierali się w pośpiechu, a inni nie zdążyli się ogolić. Wszyscy byli wyraźnie niezadowoleni, że sprowadzono ich tutaj w samym środku wolnego dnia.

- Wie pani, w czym rzecz, prawda? - zapytał mnie Daniel Sullivan. - Proszę dać znać, że rozpoznaje pani mężczyznę, którego widziała w nocy.

Idąc krok za nim, przesłam wzdłuż rzędu strażników. Tyle twarzy, ale żadna nie wydawała mi się znajoma, aż nagle... tak, to on! Zeszłej nocy było ciemno, stał w cieniu, ale to musiał być on! Postawny, wysoki, z wąsami...

- To on - szepnęłam do Daniela Sullivana. - Ten z wąsami.

Przeszliśmy do samego końca. Sullivan zamienił parę słów z administratorem.

- Boyle! Proszę wystąpić z szeregu! - zawołał ten ostatni.

Strażnik poszedł za administratorem do pokoju. Eskortował go Sullivan. Przeszedł mnie dreszcz. Jeśli ten mężczyzna jest mordercą, a ja go właśnie zidentyfikowałam, chyba pakuję się w niezłe tarapaty. A jeśli ucieknie albo go wypuszczą i zaczną mnie szukać? Dlaczego znów nie mogłam trzymać języka za zębami? Sama jestem sobie winna, bo przecież wystarczyło nic nie mówić.

Nikt nie wydał mi dalszych instrukcji, więc wróciłam do dzieci, które siedziały w jadalni. Podano kawę i chleb, ale nie byłam głodna. Po chwili pojawił się sam Daniel Sullivan.

- Proszę na słówko, pani O'Connor - poprowadził mnie na korytarz, gdzie nie było nikogo.

- Jest pani pewna, że to ten człowiek?

- Nie na sto procent. Stał w cieniu, a światło było bardzo słabe. Ale tylko on jest postawny, ma wąsy i wystający brzuch. Tak samo jak tamten.

- Problem w tym, że zeszłej nocy nie było go na wyspie, pani O'Connor. Pracował na porannej zmianie i wrócił na łódź o szóstej po południu.

- I może to udowodnić, tak?

- Sprawdzimy to oczywiście, ale niby dlaczego miałby kłamać?

- Jeśli ma coś do ukrycia...

Popatrzył na mnie.

- Znów powtarza pani te głupstwa o czymś do ukrycia. Jeśli chciałby okradać imigrantów, mógł się zatrudnić przy bagażach i brać, co chce, kiedy inni nie patrzą. Nie byłby wcale pierwszy. Ale nikt bez powodu nie nosi przy sobie dużego ostrego noża. I niby dlaczego miał wybrać akurat tego mężczyznę, a nie kogoś innego?

- Bo na przykład rozpoznał w nim człowieka, z którym kiedyś zadarł.

- To daleko posunięta teoria, nie sądzi pani? Boyle urodził się w Nowym Jorku i nigdy stąd nie wyjeżdżał.

- To może O'Malley już tu kiedyś był?

Sullivan zasępił się.

- Tego nie wiemy - powiedział. - Poprosiliśmy o informacje na jego temat. Wtedy będziemy wiedzieć więcej. A wczoraj w nocy straż przy męskich sypialniach pełnił Rosjanin, człowieczek drobnej postury, z ciemną brodą. Powiedział, że nikt poza nim tam nie pracował.

- Mogli być w zмовie.

Podszedł i chwycił mnie za ramiona.

- Pani wie, co mam na myśli, pani O'Connor! Mam wrażenie, że opowiada pani te niestworzone historie, żeby odsunąć od siebie podejrzenia.

W tym momencie zorientował się, że mnie dotyka. Wyraźnie czułam jego silne, duże dłonie. Staliśmy tak przez chwilę w milczeniu, zanim zdjął ręce z moich ramion i chrząknął.

- Mam teraz dwa wyjścia. Nie mogę pani tutaj dłużej przetrzymywać. To jest teren federalny, ale ci idioci nie mają odpowiedniego doświadczenia, żeby sobie poradzić z przestępstwem tej rangi. Tak więc mogę panią zabrać do więzienia w Nowym Jorku i zatrzymać na przesłuchania. Ale nie chciałbym tego robić. To więzienie nazywają Katakumbami.

Odczekał, aż to słowo zrobi na mnie odpowiednie wrażenie.

- Albo mogę panią wypuścić teraz do męża, pod warunkiem że nigdzie pani nie wyjedzie i w każdej chwili będzie gotowa stawić się na wezwanie policji.

- Ale sprawdzi pan alibi tego strażnika i spróbuje znaleźć nóż? - zasugerowałam.

- Czemu tak bardzo pani zależy, żeby mnie pouczać? Przypuszczam, że nóż od dawna leży na dnie Zatoki Nowojorskiej. A sprawdzenie, co robił pan Boyle, nie będzie wcale trudne. - Zrobił pauzę. - Choć jest i trzecie rozwiązanie.

Zawiesił głos. Mogę przysiąc, że słyszałam, jak bicie mojego serca niesie się echem wśród wyłożonych glazurą ścian.

- Może mi pani teraz powiedzieć wszystko, co pani wie o tym O'Malleyu. To nam oszczędzi wielu kłopotów. Nie sądzę, że go pani zabiła, ale wciąż mam wrażenie, że coś pani przede mną ukrywa. Jeśli kryje pani kogoś, proszę pamiętać o jednym: człowiek, który zabił O'Malleya, jest niebezpiecznym, brutalnym i wyrachowanym mordercą. Chce pani, by chodził na wolności?

Zaczerpnęłam głęboko powietrza. Tak bardzo pragnęłam wyjawić mu całą prawdę i zakończyć ten koszmar.

- Kapitanie Sullivan, bardzo chciałabym panu pomóc, ale doprawdy nie mogę. Przysięgam na Najświętszą Panienkę, że O'Malleya nie spotkałam nigdy wcześniej. Po raz pierwszy widziałam go na statku. Doszło wtedy między nami do jednej rozmowy, podczas której wyrażał się nieelegancko na mój temat. Dlatego go spoliczkowałam. Ale to wszystko. A teraz proszę... Czekają na mnie dzieci oraz mąż, którego nie widziałam od ponad dwóch lat. Pewnie wciąż stoi w porcie i się denerwuje.

Znów obrzucił mnie przebiegłym spojrzeniem, a potem kiwnął głową.

- Dobrze, niech pani idzie. Ale proszę nawet nie myśleć o ucieczce. My, Irlandczycy, mamy w tym kraju duże wpływy. Złapiemy panią, zanim się pani obejrzy.

- Nie mam żadnych powodów do ucieczki - odparłam.

Sullivan skinął na młodego policjanta, który stał nieopodal.

- Proszę zaprowadzić panią O'Connor i jej dzieci do sali rejestracyjnej, a potem do jednego ze stanowisk kontrolnych. Niech pan przekaze urzędnikom, że pani O'Connor może już zobaczyć się z mężem.

Poszliśmy za młodym policjantem.

- Pani O'Connor dostała pozwolenie na opuszczenie wyspy - powiedział funkcjonariusz do urzędnika siedzącego za stołem w punkcie kontrolnym.

Inspektor obejrzał moje papiery, potem popatrzył na mnie i na dzieci.

- Podróżuje pani sama? Jest tutaj ktoś, kto na panią czeka?

- Czekają na mnie mąż. Chyba że stracił już cierpliwość i po dwóch dniach spędzonych na wyspie wrócił do domu.

Pomachał mi przed twarzą papierami.

- I potwierdza pani wszystko, co jest tutaj napisane? Umie pani czytać i pisać?

Był młody, miał wysoko zapięty kołnierzyk i garbaty nos. Wydawało mi się, że patrzy na mnie z wyższością.

- Tak, czytuję Szekspira, piszę po łacinie - odparłam.

Spojrzał na mnie zdziwiony.

- W takim razie co pani robi na najniższym szczeblu drabiny społecznej?

W jego głosie wyczułam sarkazm.

- Poślubiłam mężczyznę, którego kocham. Nie powiedziałam, że nie jestem głupia.

To wywołało uśmiech na jego twarzy.

- Teraz muszę pani zadać następujące pytanie: czy kiedykolwiek była pani oskarżona o popełnienie przestępstwa?

- Nie, proszę pana - odparłam, spuszczać wzrok. Cieszyłam się, że nie zapytał, czy kiedykolwiek popełniłam przestępstwo. Jestem pewna, że wówczas zmieniłabym się na twarzy.

- Muszę jeszcze o coś zapytać. Jest pani anarchistką?

- Na to pytanie też odpowiem: nie.

Oddał mi dokumenty.

- Proszę bardzo, pani O'Connor. Ma pani przy sobie dwadzieścia pięć dolarów, prawda? Zostanie pani eskortowana do przechowalni bagażu. Jeżeli będzie czekał na panią mąż, jest pani wolna.

Skinął na młodego strażnika.

A więc przeszłam przez kontrolę i byłam prawie na wolności. Nawet nie rzucił okiem na pięć funtów, które miałam w kieszeni. Obejrzałam się, żeby jeszcze raz się upewnić, czy Michaela nie ma gdzieś w pobliżu, ale mój opiekun mnie ponaglił.

- Proszę tu wymienić pieniądze - powiedział. - Poczekam.

To nie była prośba, ale żądanie. I rzeczywiście stał, podpierając ścianę i obserwując. Pomyślałam, że Michaelowi nie stanie się krzywda, jeśli wymienię jego funty na dolary. Weszłam po schodkach do okienka i podałam pięciofuntowy banknot. Mężczyzna po drugiej stronie obdarzył mnie szerokim uśmiechem.

- Proszę - powiedział. - Dla pięknej pani nowe błyszczące monety. Bardzo proszę.

Wręczył mi garść srebrnych i miedzianych monet. Wzięłam je - w sumie pięć pensów i parę drobniaków. To mniej niż dolar! Ten człowiek potraktował mnie jak idiotkę!

- Bardzo dziękuję - powiedziałam. - A teraz poproszę resztę. Mam już prawie całego

dolara, brakuje tylko pozostałych dwudziestu czterech.

- Już daję. Już daję - odparł i rzucił monety na ladę.

Spokojnie je przeliczyłam. Jeszcze chwila, a wybuchnę gniewem. To oczywiste, że próbował mnie oszukać. Nie przypuszczałem, że potrafię czytać i w dodatku jestem bystra. Ciekawe, ilu biedaków ograbił z oszczędności, zostawiając ich na pastwę losu, bez pieniędzy na pociąg albo nocleg. Rozejrzałam się wokół. Czy mam zawrócić i znaleźć kapitana Sullivana? Może powinien się dowiedzieć, że na Ellis Island ma miejsce zorganizowana przestępczość? Ale nie miałam pewności, czy to w ogóle go zainteresuje. Poza tym jeśli narobię szumu, urzędnicy mogą zmienić zdanie i wyszukać odpowiedni paragraf, żeby wysłać mnie z powrotem do Irlandii.

- Uprzejmie panu dziękuję - powiedziałam z uśmiechem, który miał mu uświadomić, że wiem, co zamierzał zrobić. - Dokładnie dwadzieścia cztery dolary. Jak dobrze, że tatuś nauczył mnie liczyć, prawda? Chodźcie, dzieci!

Podeszłam, by wziąć Bridie za rękę i wtedy krzyknęłam:

- No nie! Tylko mi nie mów, że zostawiłaś lalkę. Muszę po nią wrócić. Przepraszam, ale bez ukochanej lalki mała nie zaśnie. Proszę popilnować dzieci. Za sekundę wracam.

Przebiegłam obok zaskoczonego strażnika, później przez stanowisko kontrolne, zanim ktokolwiek zdołał mnie zatrzymać. Miałam szczęście. Michael właśnie wychodził z pokoju przesłuchań. Stał, rozglądając się bezradnie. Podbiegłam do niego i wcisnęłam mu do ręki kupkę monet.

- Michael, jak się cieszę, że cię widzę! Wszędzie cię szukałam. Masz. Dwadzieścia pięć dolarów. Funty już wymieniłam. - Zamknęłam jego dłoń z pieniędzmi. - Uważaj, dużo tych monet. Nie upuść ich. Muszę bieć. Spotkamy się jutro w parku. W południe.

- Kathleen, zaczekaj! - zawołał. - Nie mogę. Nie rozumiesz...

- Jutro w południe - poruszyłam bezgłośnie ustami i pobiegłam do dzieci.

Zabraliśmy swoje tobołki i wyszliśmy na zewnątrz. Ogarnęła nas chłodna bryza; fale pokryte tu i ówdzie białymi czapami uderzały o brzeg. Staliśmy, mrużąc oczy przed zachodzącym słońcem. Mewy wrzeszczały, amerykańska flaga łopotała na wietrze jak opętana. Nagle zostaliśmy wrzuceni w świat dźwięku, ruchu i koloru. Trudno się było przyzwyczaić.

- Czy jest tu gdzieś pani mąż? - zapytał młody strażnik.

Przyklękłam przy Seamusie.

- Widzisz gdzieś tatusia? - szepnęłam.

Niski, krępy mężczyzna przypatrywał się nam z zainteresowaniem. Wyszedł powoli

z czekającego w porcie tłumy.

- Wydaje mi się, że to on - powiedział cichutko Seamus.

- Biegnij do niego. Zobaczymy, czy cię rozpozna.

Seamus zrobił kilka niepewnych kroków do przodu.

- Tatusiu? - zapytał.

- Seamus? Mój synek?

Twarz mężczyzny rozjaśniła się radością. Podbiegł w naszym kierunku.

- Nie poznałem was. Wyrośliście. Chodź tu i uściśnij starego ojca.

Seamus rzucił się tacie w objęcia. Ja i Bridie stanęliśmy obok.

- A gdzie jest moja mała dziewczynka? - Starszy Seamus zaczął się rozglądać.

Popchnęłam Bridie do przodu, ale kurczowo trzymała się mojej spódnicy.

- I gdzie jest Kathleen?

Strażnik wciąż się nam przypatrywał. Podjęłam szybką decyzję. Podbiegłam do mężczyzny i szybko objęłam go za szyję.

- Proszę udawać, że mnie pan zna, albo zabiorą dzieci z powrotem do Irlandii - szepnęłam. - Proszę udawać, że jestem Kathleen. Wszystko wytłumaczę, kiedy będziemy sami.

Niezgrabnie objął mnie w talii. Pozostaliśmy tak, aż strażnik wrócił do budynku.

- Przepraszam, ale musiałam to zrobić - powiedziałam, uwalniając się i poprawiając szal. - Kathleen nie mogła się wybrać z nami w podróż. Wysłała mnie z dziećmi, żeby mieć pewność, że dotrą do pana całe i zdrowe.

- Nie mogła? - zapytał zdziwiony.

Miał okrągłą twarz typowego irlandzkiego chłopaka ze wsi i prawdopodobnie nie był zbyt lotny. W domu przetańczyłam wiele zabaw z takimi niezgrabami. Wyglądał dokładnie tak jak oni.

- Ale przecież wysłałem jej bilet. Musiała go dostać.

- Przez pomyłkę zostawiła go w domu - powiedział mały Seamus. - Musiała po niego wrócić, ale przyplynie tu zaraz następnym statkiem.

- Co zrobiła? - Ojciec dzieci wpatrywał się we mnie, nic nie rozumiejąc.

Wzięłam go za rękę.

- Bardzo tu zimno. Zabierzmy dzieci na prom, a wszystko wytłumaczę.

- Chodź tu, mała Bridie. Uściskaj wreszcie tatusia! - powiedział do córki. Podniósł dziewczynkę i mocno przytulił.

Pozwoliła, by ją objął i ucałował, a potem wziął na ręce. Wolną dłonią złapał tobołek

z bagażami. Udaliśmy się w kierunku czekającego promu. Wyglądaliśmy jak zwyczajna rodzina.

10

Jak tylko prom ruszył, schroniliśmy się pod pokład przed mroźnymi powiewami wiatru. Położyłam ręce na ramionach dzieci.

- Jeśli podejdziecie do okna i wyrzycie na zewnątrz, zobaczycie, jak wygląda Nowy Jork. To tu będziemy teraz mieszkać. Sprawdźcie, czy można policzyć piętra w drapaczach chmur.

Seamus patrzył na mnie pytająco, kiedy dzieci przedzierały się przez tłum w stronę okna. Wzięłam głęboki wdech. To nie będzie łatwe. Byłam przecież posłańcem złej nowiny.

- Jeśli chodzi o Kathleen - zaczęłam - to nieprawda, że zostawiła w domu bilet. Powiedziała tak dzieciom, żeby wytłumaczyć, dlaczego z nami nie popłynię. Tak naprawdę oddała mi swój bilet, bo chciała, bym przypłynęła tutaj zamiast niej.

- Dlaczego tak zrobiła?

Wciąż nic nie rozumiał. Odniosłam wrażenie, że staje się trochę podejrzliwy.

- Zabroniliby jej wejść na pokład, Seamusie. Przeszła badania, z których wynikało, że ma gruźlicę. Nikogo z gruźlicą nie wpuszczają do Ameryki.

Teraz naprawdę był w szoku.

- Gruźlica? Ale przecież... od tego się chyba umiera, tak?

Kiwnęłam głową.

- Pojechała do rodziny, do hrabstwa Derry. Dlatego chciała mieć pewność, że dzieci dotrą do ciebie bezpiecznie.

Łza spłynęła mu po policzku. Otarł ją rękawem.

- Przecież wróciłbym do niej, gdyby mi tylko powiedziała. I tak wrócę, żeby z nią być. Trudno, zaryzykuję. Nie pozwolę, żeby cierpiała i umarła w samotności.

- Nie bądź niemądry. Co to da? Co się stanie z dziećmi, jeśli matka umrze, a ojca powieszą? - Dotknęłam jego ramienia. Mimo że spotkałam go przed chwilą, miałam wrażenie, że znamy się od dawna. - Cuda się zdarzają, Seamusie. Może Najświętsza Panienka albo któryś ze świętych wyleczy Kathleen i będzie mogła do was przyjechać?

- Wydaję mi się, że ty jesteś właśnie taką świętą. Trzeba mieć wielkie serce, żeby przebyć długą drogę tylko po to, by cudze dzieci dotarły do ojca całe i zdrowe.

Na takie słowa musiałam się uśmiechnąć. Moja świętej pamięci mama pewnie przewraca się w grobie - pomyślałam.

- Obawiam się, że daleko mi do świętej. Ta podróż spadła mi z nieba. Ja, tak jak ty kiedyś, uciekałam właśnie przed więzieniem. Musiałam w pośpiechu opuścić Irlandię.

Spotkanie z Kathleen było jak wybawienie.

- To te angielskie świny i na ciebie polują?! - krzyknął. - Przepraszam za słowo, ale na samo wspomnienie ogarnia mnie wściekłość.

- Nazywam się Molly - powiedziałam. - Molly Murphy.

Wyciągnął rękę.

- Miło mi cię poznać. Jestem naprawdę wdzięczny za to, co zrobiłaś dla mojej rodziny. Zaczęłam się śmiać.

- Chyba dziwnie wyglądamy. Niby małżonkowie, a podają sobie ręce i witają się jak obcy.

Zaśmiał się, ale natychmiast spoważniał.

- Moja biedna Kathleen. Może znajdzie się jakiś sposób... Może coś nam przyjdzie do głowy.

- Na pewno wymyślimy jakieś rozwiązanie - odparłam, zupełnie nie wiedząc, co by to mogło być. - Może wreszcie odzyskamy niepodległość i wygonimy Anglików raz na zawsze z naszego kraju.

- Amen - odparł. - Gdybym się dowiedział, że istnieje na to jakakolwiek szansa, już jutro wsiadłbym na statek i popłynął walczyć o wolność.

- Teraz potrzebują cię dzieci - przypomniałam mu. - Od dziś jesteś dla nich i ojcem, i matką.

Zauważyłam, że czymś się zaniepokoił.

- Nie mam pojęcia, jak się wychowuje dzieci. I co teraz zrobię? Zostaniesz dzisiaj z nami, prawda? Mieszkamy bez wygód. Ja, mój kuzyn i jego rodzina. Dopiero po przyjeździe Kathleen miałem szukać dla nas miejsca. Mam już odłożone oszczędności, ale chciałem, żebyśmy coś wspólnie wybrali. Wiem, jakie to ważne dla kobiety, żeby sama decydowała o tym, gdzie rodzina będzie mieszkać.

Spojrzałam na niego z uznaniem. Kathleen może nie wybrała sobie męża wielkiej urody, za to o wielkim sercu. Co do tego nie miałam wątpliwości.

- Oczywiście, chętnie u was przenocuję. Nie mam dokąd pójść - odpowiedziałam.

- Dziękuję. To świetnie. Mam wrażenie, że to wszystko nie będzie dla dzieci łatwe. Ale chyba trzeba im powiedzieć prawdę.

- Kiedyś tak. Nie teraz. Niech jeszcze mają nadzieję, niech się najpierw oswoją z nowym miejscem.

Pokiwał głową. Widziałam, że ledwo powstrzymuje się od płaczu.

- Dlaczego w ogóle o tym nie wspominała w listach? - zapytał, patrząc w ciemne

morze. - Dlaczego nic mi nie powiedziała?

- Chorobę wykryły dopiero badania przed podróżą. Wcześniej nie miała o niej pojęcia.

- Czyli na razie nie cierpi za bardzo?

- Chyba nie. Dobrze się czuje - skłamałam, przypominając sobie jej zmęczone oczy i suchy kaszel. - Kto wie, może jeszcze wyzdrowieje...

Seamus junior i umorusana Bridie właśnie torowali sobie drogę powrotną przez tłum.

- Widzieliśmy Nowy Jork. Tam są budynki z tysiącami pięter - powiedział chłopiec.

- Prawie do samych chmur - dodała Bridie.

- Aż takie to nie - zauważył Seamus. - Ale są wyższe niż wieża kościelna w naszym miasteczku. Czy nasz dom też jest taki wysoki, tatusiu?

- Prawie taki wysoki - odparł Seamus senior. - Mieszkamy na czwartym piętrze. Mam nadzieję, że macie mocne nogi, bo trzeba będzie pokonać wiele schodów.

- Mocne nogi to muszą mieć ci, co wchodzą na tamte budynki! - skomentował Seamus junior.

Ojciec zmierzwił mu ręką włosy.

- W najwyższych budynkach w mieście jest coś, co nazywa się winda. Parę dni temu widziałem, jak to wygląda. Nie uwierzycie. Czary-mary! Wchodzi się do takiego małego pudełka, a potem jedzie w nim do góry. Nawet się tego nie czuje. Ale wychodzisz i proszę! Jesteś na szczycie budynku.

- Czary-mary? - Bridie była zafascynowana. - Czy to jest zaczarowane miasto, tatusiu?

- Oczywiście. Tu się spełniają marzenia. Tak mówią ludzie. Tylko trzeba się trochę nad tym napracować - dodał, a głos mu się załamał. - Czasem całkiem długo.

Prom dopływał do przystani. Przeszliśmy przez trap i już byliśmy na brzegu. Stałam na amerykańskiej ziemi. Byłam wolną kobietą na progu nowego życia.

Seamus wziął syna za rękę.

- Chodź, młody człowieku - powiedział załamującym się głosem. - Zaprowadzę cię do domu.

Podczas naszej przeprawy promem słońce zdążyło zająć za horyzont i miasto zanurzyło się w zmroku. A kiedy opuściliśmy port i szliśmy pomiędzy wysokimi budynkami, zrobiło się już zupełnie ciemno. Lampy gazowe dawały słabe światło. Pod nimi krążyły złowieszcze cienie. Zegar na wieży kościelnej wybił piątą.

- Tatusiu, kiedy dojdziemy do domu? - Chłopiec zadał pytanie, na które i ja chciałam znać odpowiedź.

- Musimy przejść na drugą stronę miasta - powiedział Seamus senior. - To jest West

Side, a my mieszkamy na East Side. Kawał drogi, ale na pewno dacie radę. Poza tym zaraz się zrobi jaśniej. W centrum, w Bowery, jest oświetlenie elektryczne.

Jedna ciemna ulica przechodziła w kolejną. Gdyby nie Seamus, już dawno byśmy się zgubili, stając się doskonałym łupem dla różnych opryszków. Zauważyłam, że kilku dziwnych typków przygląda się nam z zainteresowaniem. Na niektórych rogach ulic były bary. Ludzie wchodzili do nich i wychodzili. Nagle rzeczywiście zrobiło się jaśniej - syczące lampy naftowe oświetlały wejścia do sklepów. Potem... o Boże! Ujrzałam jasną ulicę. Długą i szeroką. Wszystkie sklepy były na niej otwarte, a lampy elektryczne dawały światło prawie takie samo jak za dnia. Przed nami przejeżdżały samochody i powozy. Zobaczyliśmy nawet tramwaj, który ostrzegł nas swoimi dzwoneczkami. Tory, po których jechał, świeciły się. Staliśmy i nie mogliśmy oderwać oczu - oczywiście tylko ci, którzy widzieli taki pojazd po raz pierwszy. Seamus senior zapewne zdążył się już przyzwyczaić do jego widoku.

- Tato, jak to działa? Przecież tu nie ma koni! - zapytał w końcu Seamus junior.

- Elektryczność - odparł z dumą ojciec. - Spójrz, tramwaj porusza się po tych małych torach. Trochę tak jak pociąg. W Nowym Jorku dzieją się niezwykle rzeczy, mój chłopcze, naprawdę niezwykle. Jutro, jeśli będziesz grzeczny, pokażę ci wielką dziurę w ziemi. Wiesz, po co ją wykopali? Bo budują kolej, która będzie jeździła pod miastem. Wyobrażasz sobie? Tak, Nowy Jork to wyjątkowe miejsce.

Jak dziecko wciąż wpatrywałam się z zachwytem w sklepy pełne towarów, tramwaje, światła elektryczne, tawerny, jadalnie i teatry. Wszystko, o czym można marzyć lub śnić, było na tej jednej ulicy. Postanowiłam, że polubię to miasto.

Przechodziliśmy uważnie przez szeroką ulicę, omijając pojazdy i starając się nie stracić Seamusa z oczu. Potem przeszliśmy obok jasno rozświetlonego teatru. Litery zrobione z lampek tworzyły tytuł: *Wesołe życie Flannagana*. A na plakacie przy wejściu było napisane: „Radujcie się, wszyscy Irlandczycy! Zapraszamy na nowe widowisko, w którym wystąpią największe gwiazdy Irlandii. Przedstawienie odniosło wielki sukces w Dublinie i Belfaście! Bliźniaczki Shannon - Taffy i Rosie - zatańczą w drewniakach, wybitny komik Billy Brady rozśmieszy was do łez przewrotnymi skeczami, a Edward Monagan, z którego wszyscy jesteśmy dumni, zaśpiewa swym wspaniałym głosem”.

Poszliśmy dalej. W duszy dziękowałam Bogu za to, że na Ellis Island nie było Taffy i Rosie, bo pewnie też chciałyby umilić nam czas. Kiedy zeszlśmy z głównej ulicy, znów pojawił się labirynt tych mniejszych, na szczęście już nie tak ciemnych i przerażających. Nie były oświetlone lampami elektrycznymi, ale za to tętniły życiem i gwarem. Wszędzie widziało się mężczyzn z ręcznymi wózkami i ze straganami na kółkach. Wózki były pełne

rozmaitych towarów - owoców, warzyw, ryb, garnków i naczyń, a nawet materiałów. Rety, było tu nawet lepiej niż na targu w Westport, na który wybieraliśmy się raz do roku, kiedy byłam mała!

- Czy dzisiaj jest jakiś dzień targowy? - spytałam.

- Nie, tutaj jest tak codziennie - wyjaśnił mi Seamus. - Większość imigrantów nie dostaje pracy zaraz po przyjeździe, zwłaszcza gdy nie zna języka. Kupują sobie wózki i sprzedają co się da. Zaczynają od małych rzeczy, potem znajdują inne towary.

- A ty? Masz jakąś pracę albo taki stragan?

- Cóż. Przecież jestem Irlandczykiem, a my mamy szczęście. Wiedzą, że jesteśmy silni i na dodatek wiemy, jak głosować.

- To znaczy?

- To znaczy, że siłą napędową tego miasta są Irlandczycy. Jeśli władze chcą naszych głosów wyborczych, muszą nam zapewnić pracę i sprawić, że będziemy zadowoleni. Pamiętasz, jak mówiłem o tej nowej kolei podziemnej? Pracuję tam przy kopaniu tuneli. Planują poprowadzić takie tunele pod całym miastem, więc mam zapewnioną pracę na dłuższy czas. Oby tylko Bóg nas wysłuchał i strop się nie zawalił, jak to niektórzy przewidują.

Przedzierałymi się przez wybrukowane uliczki, klucząc pomiędzy straganami. Było już całkiem ciemno i kiedy na coś nadeptywałam, miałam nadzieję, że to tylko rozgnieciony owoc, a nie coś gorszego. Zapachy jednak nie były kuszące. Mężczyźni przy straganach wychwalali swój towar łamaną angielszczyzną albo w językach, których nie rozumiałam. W drzwiach domów albo na balkonach stali ludzie i krzyczeli coś do siebie nawzajem. Dzieci biegały, wrzeszcząc, albo grały w uliczne gry, skacząc przy tym jak pchełki. Do tego wszystkiego na dwóch krańcach ulicy grajkowie wygrywali swoje melodie - jeden na harmonii, drugi na lirze z korbą.

To był zwyczajny miejski gwar, ale na nas, przybyszów z innego świata, działał przytłaczająco. Jakieś śniade dzieci w łachmanach podbiegły i popchnęły Seamusa, zanim jego ojciec zdążył krzyknąć:

- No już, uciekać mi stąd albo przyleję wam pasem!

Pobiegły ze śmiechem, krzycząc coś do siebie, chyba po włosku.

- Tatusiu, jestem zmęczona - poskarżyła się Bridie i Seamus znów wziął ją na rękę.

- Już niedaleko. Słyszysz ten statek? Płynie po rzece. To tam idziemy. Cherry Street, numer domu dwadzieścia osiem. Mieszkamy w samym sercu irlandzkiej części miasta. Czwarta Dzielnica. Tam jest spokojnie i bezpiecznie.

W końcu skręciliśmy w ulicę, która była dłuższa i prostsza niż te, którymi szliśmy do tej pory. I nie było na niej już tylu straganów. Z barów dochodziły krzyki, słychać też było czyjś śpiew: „Tam, gdzie góry Mourne schodzą do rzeki...”

W pewnej chwili otworzyło się nad nami okno i usłyszeliśmy kobiecy wrzask:

- Jeśli w ciągu sekundy tu nie przyjdiesz, Kevinie O’Keefe, dostaniesz ode mnie taki łomot, że przez miesiąc nie będziesz mógł usiąść.

Zachciało mi się śmiać. Przepłynęłam pół świata, żeby znów znaleźć się w domu!

Seamus zatrzymał się przed wysokim brązowym budynkiem.

- To jest nasz dom, dzieci. Teraz tylko musimy wdrapać się na czwarte piętro i będziemy wreszcie na miejscu.

Otworzył drzwi wejściowe i po rycersku skłonił się nisko przede mną.

- Proszę przodem, panno Molly.

Skinęłam głową, podziękowałam i weszłam do środka. Na klatce schodowej było ciemno choć oko wykol, a cuchnęło tak, jakby wysikało się na niej z tuzin psów. Na półpiętrze dotknęłam stopą czegoś miękkiego i ciepłego, co nagle się poruszyło. Usłyszałam płacz. Chyba krzyknęłam, ledwo utrzymując równowagę. Cud, że nie spadłam ze chodów!

- Zdaje się, że stanęłam na dziecku! - zawołałam w ciemności.

- A, to znowu dzieciak Donovanów. Ta kobieta ma tyle dzieci, że już nie potrafi ich upilnować. Teraz znów urodziła kolejne, a to trochę starsze właśnie uczy się raczkować. Lezie tu i tam; nikt go nie pilnuje.

W ciemności wyciągnęłam rękę i podniosłam wrzeszczące i miotające się maleństwo.

- Mieszkają na tym piętrze? - Położyłam dziecko na podeście.

- Po prawej stronie - odparł Seamus. Uderzył pięścią w drzwi.

Po chwili w uchylonej szparze ukazała się para podejrzliwych oczu.

- Mamo, to chyba ktoś z opieki społecznej. Trzyma Ginny! - krzyknęło dziecko.

- Nie jestem z opieki społecznej. Mała leżała na schodach. Tam jest zimno i ciemno.

Niechcący na nią nadepnęłam - wyjaśniłam.

- Mamo, Ginny znów była na schodach! Widzisz, mówiłam ci, że Freddy wcale jej nie pilnuje.

- Daj ją do środka i zamknij te cholerne drzwi. Zimno leci!

Drzwi uchylły się ciut szerzej. W środku widać było blade światło świecy. Pomieszczenie wydawało się pełne ruchomych cieni. Nieduża dziewczynka, chuda i brudna, wyrwała mi dziecko z rąk.

- Dziękuję - powiedziała i zatrzasnęła drzwi.

Oszołomiona podążyłam za Seamusem i dziećmi schodami, które prowadziły w ciemności coraz wyżej. Na kolejnym piętrze - a było to już chyba trzecie - znajdował się duży kamienny zlew. Był po brzegi wypełniony wodą, która wylewała się też na podłogę. Podniosłam spódnicę i szybko przeszłam obok. Jeszcze jedno piętro i byliśmy na miejscu. Zanim weszłam na podest, drzwi już były otwarte, ale światło z wewnątrz zasłaniała jakaś wielka postać, prawie w całości wypełniając przestrzeń pomiędzy framugami.

- Gdzie one są? Gdzie te cudowne dzieciaczki? - przemówiła.

- Dzieci, to jest ciocia Nuala - powiedział Seamus. - Pocałujcie ją, proszę, na powitanie.

Bridie wbrew swojej woli została natychmiast przygarnięta do obfitych piersi.

- No, nie stójcie tak w drzwiach - znów ten sam głos. - Wejdźcie do środka. Zrobiłam rozgrzewającą potrawkę. Na pewno umieracie z głodu po tej... - nagle głos się załamał.

Seamus z dziećmi już zdążyli wejść do środka. Stałam w drzwiach, nie wiedząc, co mam dalej robić. Wielka kobieta nie odrywała ode mnie wzroku.

- Matko Święta! - krzyknęła. - A gdzie Kathleen? I któż to, na Boga, jest?!

11

Kolejne chwile, które spędziłam w towarzystwie Nuali O'Connor, tylko potwierdziły, że moje wcześniejsze obawy były słuszne. Seamus wziął ją na stronę i powiedział, co się stało. Przez cały czas, kiedy rozmawiali, bacznie mnie obserwowała.

- Przecież może podawać się za kogokolwiek - usłyszałam jej głos. - Mogła zamordować Kathleen w jej własnym łóżku, a ciało wyrzucić za burtę. Kto to wie?

- Nie mów tak. Jeszcze dzieci usłyszą. - Seamus położył palec na ustach i zerknął w naszym kierunku. - Wydaje się, że bardzo ją lubią. Mały Seamus powiedział mi, że mama odprowadziła ich wszystkich do portu i że bardzo chciał pomachać jej ze statku.

- Ta panna chyba nie zamierza tu zostać?

Jeśli myślała, że nie słyszę, to chyba nie doceniała siły własnego szeptu. Słyszałam wszystko. Poza tym spojrzenie, jakim mnie obrzucała, mówiło samo za siebie.

- Poprosiłem, żeby została. Dopóki dzieci się do mnie nie przyzwyczają - odparł Seamus.

- A niby gdzie będzie spać? Chciałabym wiedzieć.

Korciło mnie, by podejść do niej i zasugerować, co może sobie zrobić ze swoim mieszkaniem i łózkami, ale nie chciałam tak po prostu wyjść i zostawić dzieci. Nie dzisiaj. To byłby dla nich zbyt duży szok. Poza tym - musiałam sama sobie przypomnieć - nie mam przecież dokąd pójść. Ugryzłam się w język i stałam tam, udając, że nic nie słyszę. Zająłam się oglądaniem otoczenia i - przyznaję - nie byłam zachwycona tym, co zobaczyłam. Kury w naszym gospodarstwie mieszkały w porządniejszej zagrodzie. Z jedyne go starego fotela wychodziły wnętrzności, stół ledwo stał na chwiejnych nogach, a reszta mebli wyglądała, jakby je zrobiono ze starych pudeł i kartonów. Talerze i garnki upchnięto na jednej półce razem z chlebem, cukrem i innymi produktami. Ściany były pokryte tapetą w różę, która odchodziła szerokimi pasami, ukazując dziury w tynku. Całość oświetlała licha lampa olejowa. Ledwo powstrzymałam dreszcz odrazy.

- Cóż, nie mamy tu luksusów - powiedziała Nuala głośnie, widząc rozczarowanie w moich oczach. - Musisz nas brać takimi, jacy jesteśmy.

- Nie martw się, Nuala. Teraz, kiedy są ze mną dzieci, zacznę się rozglądać za własnym mieszkaniem - pocieszył ją Seamus. - Przecież nie będziemy tu wiecznie mieszkać ściśnięci jak sardynki.

- Przeniesiemy się do własnego domu, kiedy przyjedzie mama, prawda, tatusiu? - Seamus junior ocenił pokój równie krytycznie jak ja.

- Tak, kiedy przyjedzie mama. - Widać było, że ojciec z trudem wymawia to zdanie.

- Powinieneś im powiedzieć - zauważyła Nuala.

- Nie teraz. Przyjdzie lepszy moment - zdecydowałam się wtrącić.

Wielka kobieta przeszła przez pokój i popatrzyła na mnie z bliska.

- A ty, panienko, jak masz na imię?

Wyciągnęłam rękę i zmusiłam się do uśmiechu.

- Molly Murphy. Z Ballykillin koło Westport.

- Seamus ci pewnie powiedział, że nazywam się Nuala O'Connor. Jestem żoną tego obiboka, jego kuzyna. Finbar! Wstawaj! Mamy gości!

Z najciemniejszego kąta pokoju wyłoniła się chwiejnym krokiem jakaś postać. Finbar był absolutnym przeciwieństwem żony - wyglądali zupełnie jak Jack Sprat i jego żona, bohaterowie wierszyka dla dzieci.

Mały, chudy i kościsty, miał opadające wąsy, które wydawały się za duże, a na twarzy wypisane przerażenie. To akurat mnie nie dziwiło. Na jego miejscu też bym się bała. Wracać codziennie do domu, do takiego potwora! Objął Seamusa, poklepał dzieci po plecach, a potem spojrzał na mnie pytająco.

- To jest panna Murphy, która była tak miła, że zaopiekowała się dziećmi podczas podróży - oświadczył Seamus, zanim Nuala zdążyła coś powiedzieć. - Kathleen zatrzymały niespodziewane sprawy.

Finbar wyglądał pogniecione ubranie.

- Panienska wybaczy, że tak wyglądam. Właśnie zdrzemnąłem się przed pracą.

- Zdrzemnąłem się przed pracą! Akurat! - prychnęła Nuala. - Na miłość boską, pijesz więcej, niż zarabiasz. A twoje dzieci biorą z ciebie przykład.

- A gdzie są dzieci, Nuala? - zapytał Seamus.

- Bóg jeden wie. Szwendają się gdzieś całymi dniami. Bezbożne dzikusy. Mały Malachy ostatnio mi mówił, że chce wstąpić do jakiegoś gangu. Sami widzicie!

O wilku mowa! Usłyszeliśmy szybkie kroki na schodach, a potem drzwi gwałtownie się otworzyły.

- A o której to się wraca do domu? - Nuala oparła ręce na biodrach i zaczęła się wpatrywać w trzech obdartych chłopców. - Ile razy wam mówiłam, że macie tu być, zanim zrobi się ciemno?

- Tak, ale...

- Nie chcę słyszeć żadnych ale. Malachy, przynieś drewnianą łyżkę.

- Ale, mam, była bójka.

- Matko Boska, chyba nie wpakowaliście się znów w jakąś bijatykę? Zapomnieliście, co wam mówiłam?

- To nie my, mamó. Dorośli. Duzi faceci się bili! - krzyknął najmniejszy chłopiec z zaróżowioną od emocji buzią. - Tam, przy porcie, u tego wytwórcy lodu, koło mostu.

Nuala spojrzała na męża.

- Widzisz, mówiłam ci, że sam się o to prosi. Pod nosem Tammany próbował robić własne interesy na targu rybnym.

- Myślisz, że to ludzie Tammany dali mu nauczkę? - zapytał Seamus.

- Jasne jak słońce - odparł Finbar. - Wszyscy wiedzą, że Tammany ma monopol na sprzedaż lodu. Nie wolno zadzierać z Tammany, jeśli chce się długo pożyć.

- Kto to jest Tammany? - spytałam.

Znów, podobnie jak na spotkaniu z burmistrzem, nie padło imię, tylko samo nazwisko.

- Nie kto, tylko co - odparła Nuala. - Organizacja Tammany Hall. Rządzą miastem. Kiedy są wybory, ludzie Tammany przychodzą i mówią, na kogo masz głosować.

- To okropne! - krzyknęłam.

- Niekoniecznie dla Irlandczyków - powiedziała Nuala z miną osoby wtajemniczonej.

- Tammany to organizacja czysto irlandzka. Pomogą swojemu kandydatowi wygrać wybory, pod warunkiem że będzie dobry dla wszystkich Irlandczyków. Inaczej nie wybiorą go powtórnie.

- Jakkolwiek by było, mamó, ten facet już teraz nie podskoczy Tammany - powiedział najstarszy chłopiec. - Szkoda, że go nie widziałas. Głowę miał zalaną krwią, jedno oko mu wypłynęło...

- Dlaczego nie było przy tym policji? - zapytał Seamus.

- Policja była! Patrzyli i śmiali się. Jeden nawet użył pałki - odparł chłopak.

- Policja nie przeciwstawi się Tammany - wymamrotał Finbar. - Wie, z kim trzeba żyć w zgodzie.

- Dobrze, ale dość już tego tematu - zarządziła Nuala. - Gdzie wasze maniery? Nie przywitaliście się z kuzynostwem. Przed chwilą przyплыnęli z naszej dawnej ojczyzny.

Seamus położył ręce na ramionach dzieci.

- Chłopcy, to jest Seamus junior, a to Bridie. Dzieci, to są wasi bracia stryjeczni. Malachy, Thomas i James. No dalej, podajcie sobie ręce.

Seamus wyciągnął rękę, ale Bridie się cofnęła. Nie miała ochoty witać się z trzema obdartusami.

- A to kto? - zapytał najstarszy, wpatrując się we mnie.

- Przypłynęłam z dziećmi. W ostatniej chwili okazało się, że wasza ciocia Kathleen nie może udać się z nimi w podróż - odparłam. - Mam na imię Molly. A ty jesteś Malachy, tak? Mój młodszy brat ma na imię tak samo jak ty.

Uśmiechnął się półgębkiem.

- W porządku. Siadajmy do stołu, póki wszyscy jesteśmy. James, pomóż nakrywać - nakazała Nuala.

- Co będziemy jedli? - zapytał James, zdejmując ze stołu masę różnych przedmiotów.

- Potrawkę z ryby.

- O nie! Znowu ryba... - poskarżył się Malachy.

- Powinniście dziękować Bogu, że wasza matka pracuje na targu rybnym. Nie narzekajcie! - odparła Nuala. - Jeśli na straganie zostają rybie głowy, na obiad jemy potrawkę. To oczywiste.

Odkąd weszliśmy, zastanawiałam się, co tak cuchnie w całym mieszkaniu. Dopiero teraz zrozumiałam, że to ryby.

Okazało się jednak, że potrawka nie była taka zła. Z pewnością długi spacer dodatkowo wzmógł mój apetyt.

- Tak więc będziesz szukać sobie pracy w Nowym Jorku, prawda? - zapytała mnie Nuala, dając do zrozumienia, że jestem dodatkowym ciężarem. - Czy może wyjedziesz na prowincję do rodziny?

- Nie mam tam żadnej rodziny - odpowiedziałam. - Zaraz zacznę szukać pracy.

- Bo wiesz, jedzenie nie jest tu tanie. Gaz też nie. Co mi przypomina...- Spojrzała na Seamusa. - Nie masz przypadkiem przy sobie paru groszy? Gaz się skończył, zanim zdążyłam wszystko ugotować. A tego lenia nawet nie ma o co prosić...

- Nie martw się, Nuala. Mam pieniądze. - Seamus sięgnął do kieszeni.

Siedziałam ściśnięta na ławce zrobionej z drewnianej deski opartej na dwóch skrzynkach i było mi wyjątkowo niewygodnie. Bridie przycupnęła obok, przytulona, trzymając się kurczowo mojej sukienki.

- Pomogę zmywać - powiedziałam, jak tylko skończyliśmy jeść.

- To dobrze. - Nuala podniosła głowę. - Zlew jest piętro niżej. Uważaj tylko, żeby się nie przewrócić w tej ciemnicy. Można skrócić sobie kark.

Czy to oznacza, że ten przepelniony wodą zlew jest jedyny w całym budynku?

Zacisnęłam zęby i poszłam umyć naczynia w zimnej, mętnej wodzie. Potem Nuala wytarła je ścierką, która była tak poplamiona, że talerze zrobiły się chyba jeszcze brudniejsze.

W tym czasie dzieci przygotowały się do snu. Pudła i kartony ułożono teraz na

podłodze i przykryto kocami.

- Chcesz tam spać razem z kuzynami? - spytała Nuala Seamusa juniora. - Czy wolisz z tatą?

Seamus nie mógł się zdecydować, która propozycja jest bezpieczniejsza.

- Dzieci mogą spać ze mną na moim posłaniu. Są przyzwyczajone. Tak spaliśmy na statku - zaproponowałam.

- Nie mam dla ciebie żadnego posłania - odparła Nuala. - Możesz wybierać pomiędzy fotelem a podłogą.

Odwróciła się do synów, którzy teraz mościli się na kartonowym posłaniu.

- Wy we trzech musicie się posunąć i zrobić miejsce kuzynom. Możecie ułożyć się na waleta, jak sardynki w puszcze. Tylko dzisiaj. Jutro coś wymyślimy.

- Nie. Wezmę dzieci do siebie - powiedział Seamus. - Tu jest w nocy strasznie zimno. Nie chcę, żeby od razu po przyjeździe do Nowego Jorku złapały przeziębienie.

Wybrałam fotel. Przynajmniej nie czułam zimnego podmuchu spod drzwi. W mieszkaniu znajdował się tylko jeden naftowy piecyk. Trudno nim było ogrzać całe pomieszczenie. Owinęłam się szalem i podciągnęłam nogi, starając się nie tracić własnego ciepła. Im szybciej sobie stąd pójdę, tym lepiej - zdecydowałam. Rano zacznę szukać pracy, a potem...

Potem, kiedy powoli morzył mnie sen, poczułam na sobie małą rączkę.

- Boję się - szepnęła Bridie. - Chcę spać z tobą. - Wspięła się na kolana.

Mocno ją przytuliłam i pogłaskałam po głowie. Przez jakiś czas na pewno stąd nie odejdę.

Zbudziło mnie dzwonienie talerzy i garnków. Otworzyłam oczy, ale dojrzałam tylko wielkie kształty Nuali, która uwijała się w ciemnościach. Poczułam, że muszę pójść do toalety. Udałam, że nie widzę stojącego w kącie kubła, z którego wszyscy korzystali w nocy, i grzecznie zapytałam, gdzie jest ubikacja.

- Za domem, na podwórku. Ale mamy też kubeł. Fin jeszcze go nie opróżnił.

- Dziękuję. Wolę zejść na dół.

Schodząc, trzymałam się ściany. Była zimna i wilgotna. Na dole, za schodami, tylne drzwi stały otworem. W życiu nie widziałam tak wąskiego podwórka. Właściwie był to tylko prześwit pomiędzy budynkami. Jeśli stanęło się pośrodku, można było dotknąć ścian. Spojrzałam w górę i zobaczyłam sznurki ze sztywnym od mrozu praniem. Wyglądało to tak, jakby nad domem fruwały duchy. Wzdrygnęłam się przerażona. Okropne miejsce. Mogłam mieć tylko nadzieję, że Seamus zabierze stąd dzieci tak szybko, jak się da.

Z jednej strony stały dwa wychodki, obydwie brudne i cuchnące. Mieliśmy taki wychodek i u nas, ale tato zawsze dbał, żeby był czysty. Zrobiłam co trzeba i szybko wyszłam. W drodze na górę zatrzymałam się przy zlewie, umyłam ręce i twarz. Kiedy wróciłam do mieszkania, dzieci już wstały. Nuala przygotowała pajdy chleba i kubki z herbatą. Seamus junior nie odstępował ojca na krok. Obaj mieli nieprzytomne oczy i potargane włosy.

- Przykro mi, że muszę cię dzisiaj zostawić, synku - powiedział ojciec. - Nie mogę znów wziąć wolnego dnia w pracy. Szef mnie wyrzuci. Ciocia Nuala musi być na targu o szóstej, ale mam nadzieję, że panna Molly i twoi kuzyni się tobą zaopiekują.

- Nie powinniśmy zapisać Seamusa do szkoły? - spytałam. - Wy, chłopcy, chyba się uczycie, prawda?

- Powinni się uczyć - wtrąciła się Nuala, patrząc na synów. - Przynajmniej póki mogą. W przyszłym roku Malachy dostanie posadę gońca na targu rybnym.

- Mamo, szkoła jest dla mięczaków - odparł Malachy i zwrócił się w moją stronę. - A ta jedyna w pobliżu jest pełna Żydów.

- A co w tym złego? - zapytałam. - Biją was?

- Biją? Żydowskie dzieciaki miałyby nas bić? - Uśmiechnął się do Thomasa. - Nie, nie biją, ale nas nie lubią. Nie chcą nas tam. Nauczycielka też jest Żydówką. Powtarza, że jesteśmy nieznośni.

- Podejrzewam, że się nie myli - zauważyła Nuala.

- A między sobą mówią ciągle w jidysz, więc ich nie rozumiemy - dodał Thomas. - Nawet nauczycielka mówi czasem w jidysz. I wiecie co? Oni lubią czytać i pisać. Nawet książki ze sobą do domu zabierają i takie tam.

- Same mięczaki - zgodził się James. - Spokojnie dalibyśmy im radę, co nie, Mal?

- Chcę, żebyś chodził do szkoły, synku - zwrócił się Seamus do syna. - Mama też by tego chciała.

Zamilkł, spoglądając na chłopca z czułością.

- Ale uważam, że możesz teraz odpocząć i przyzwycząić się do nowego miejsca. Może lepiej zaczekać ze szkołą, aż się przeprowadzimy...

Nuala i Seamus senior wkrótce wyszli. Finbar spał spokojnie w kącie. Jego synowie postanowili pokazać Seamusowi okolice. Chłopiec namawiał Bridie, żeby z nimi poszła, ale dziewczynka z początku nie chciała, wolała zostać ze mną.

- Musisz się zorientować, co jest dookoła - powtarzał jej. - No, chodź, nie możesz być wiecznie dzidziusiem.

Trudno było się z tym nie zgodzić. Twarde zasady rządzą światem, do którego właśnie przybyła. Im szybciej je pozna, tym lepiej. W końcu wyszli. Zostałam sama w zimnym i ciemnym mieszkaniu, z pochrapującym Finbarem. Jeszcze parę dni, a znajdę sobie i pracę, i własny kąt. Rozejrzałam się wokół, zastanawiając się, czy nie powinnam posprzątać. Przydałoby się, ale czy Nuala nie uzna tego za policzek? Lepiej nie - powiedziałam sobie w duchu.

Po paru godzinach dzieci wciąż nie było, a Finbar się obudził. Postanowiłam wyjść. Droga do ogrodów w południowej części Manhattanu, gdzie koło południa umówiłam się z Michaeliem, mogła mi zająć trochę czasu. Kiedy wyszłam z budynku przy Cherry Street, niebo było ciężkie jak z ołowiu i padał drobny śnieg. Ulice pokrywała mokra breja wymieszana z brudem. Ciepło ubrani ludzie spieszyli się do swoich spraw. Wyliniałe psy biegały w rynsztokach. Koniowi, który ciągnął wóz pełen beczek, leciała z pyska para jak z komina. Aż do samego centrum Nowego Jorku starałam się trzymać rzeki. W końcu dotarłam do wspaniałego mostu, który był tak wysoki i szeroki, że aż dech mi zaparło. Rety, w tym mieście wiedzą, jak budować wspaniałe rzeczy! Imponujący zarys mostu ostro kontrastował z ciemnymi i brudnymi uliczkami. Poszłam dalej. Ręce w bawełnianych rękawiczkach miałam już jak z lodu, a na twarzy czułam ostre powiewy wiatru. W Irlandii, w moich rodzinnych stronach, nigdy nie było aż tak zimno. Przed wyjściem włożyłam zapasową kamizelkę i podwójną bieliznę, ale to wciąż było mało. Kiedy zarobię pieniądze, będę musiała kupić sobie ubrania - pomyślałam. Idąc, patrzyłam na wystawy sklepów. Jaką pracę dostanę? Wiedziałam, jak utrzymać czystość w domu i jak nakarmić głodnych mężczyzn, ale to wszystko. Oczywiście potrafiłam jeszcze czytać Szekspira i pisać po łacinie, tak jak powiedziałam inspektorowi. Szekspir na wiele mi się jednak nie przyda. Edukacja to przywilej pań, które nie mają nic do roboty. A ja taką panią w najbliższym czasie raczej nie zostanę.

Kiedy wchodziłam do małego parku na Manhattanie, zegar właśnie wybijał dwunastą. Przedemną na wprost rozciągał się bezmiar szarego morza. Zarówno Ellis Island, jak i Statua Wolności były doskonale widoczne. Przyspieszyłam kroku, wypatrując na każdej ścieżce Michaela. Ciekawe, czy zdążył przede mną. Ale nigdzie go nie widziałam. Miejsce było wyludnione, porośnięte wyschlą trawą i szkieletami drzew. Nie było tu nikogo oprócz pary mew, która przysiadła na murku. Nie zdawałam sobie wcześniej sprawy, jak bardzo chciałam zobaczyć Michaela. W tym obcym mieście był jedyną przyjazną duszą. Brakowało mi jego towarzystwa. Może obmyślimy jakiś wspólny plan? Bardzo bym na przykład chciała wynająć z nim pokój. Oczywiście nie wypada, żebyśmy mieszkali razem, chyba że jako brat i siostra.

Może zaproponuję mu takie rozwiązanie i sprawdzę, jak je przyjmie.

Było wyjątkowo zimno, od strony szarej wody wiał ostry wiatr. Za każdym razem, gdy odwracałam się w tamtym kierunku, niemalże zapierało mi dech. Tupałam nogami, żeby rozgrzać stopy.

Pospiesz się, Michael - powtarzałam w myślach. Dwunasta piętnaście. Chyba nie przyjdzie. Poczułam, jak ogarnia mnie fala rozczarowania. Tak bardzo liczyłam na to spotkanie. Być może nie zależało mu tak jak mnie. Może z samego rana znalazł pracę i był teraz zajęty. Na przykład budowaniem nowego drapacza chmur. Szansa, że spotkam go jeszcze kiedyś w tym wielkim mieście, była niewielka.

Zziębnięta i zrezygnowana postanowiłam zawrócić. Przez całą drogę South Street oglądałam się za siebie. Miałam nadzieję, że może się spóźnił. Ale park wciąż wyglądał na wyludniony, aż wreszcie zniknął mi z oczu. Zimno przeszywało mnie jak ostry nóż. Postanowiłam oddalić się od rzeki, a tym samym i od wiatru. Gdy w końcu znalazłam się na Cherry Street, marzyłam jedynie o kubku gorącej herbaty i ogrzaniu rąk przy naftowym piecyku. Kiedy zbliżałam się do drzwi, z cienia wyłoniły się jakieś postacie.

- Pani O'Connor?

Odwróciłam się i zobaczyłam za sobą dwóch policjantów w niebieskich mundurach.

- Kathleen O'Connor? - jeden z nich, o twarzy bez wyrazu, powtórzył moje imię. - Właśnie po panią szliśmy. Musimy panią zabrać na posterunek policji. Kapitan Sullivan chciałby porozmawiać.

Wtedy zauważyłam, że trochę dalej na ulicy stoi czarna policyjna furgonetka zaprzęgnięta w dwa konie. Kiedy szłam z policjantami w jej stronę, czułam, że zza firanek w oknach przygląda się nam wiele par oczu.

12

O posterunku policji mogłam powiedzieć jedną dobrą rzecz - było tam ciepło. Kiedy policjant otworzył drzwi i zaprosił mnie do środka, gorące powietrze otuliło moje ciało niczym koc. Ucieszyłam się, bo powoli zamieniałam się w wielki sople lodu. Nie wiem, czy powodem był długi spacer na świeżym powietrzu, czy raczej strach. Domyślałam się, że i jedno, i drugie.

- Tędy proszę.

Jeden z policjantów poprowadził mnie na klatkę schodową wyłożoną linoleum, a potem w głąb korytarzem. Mijaliśmy pokoje widoczne przez szklaną szybę. Jeden za drugim. Przynajmniej powiedział „proszę”, a to musiało oznaczać, że nie jestem jeszcze aresztowana.

- Zapraszam do środka. - Drzwi się otworzyły i wprowadzono mnie do jednego z takich pokoi. - Pani O'Connor do pana, kapitanie.

Czy te niezwykle niebieskie oczy rozbłysły, kiedy mnie zobaczyły? A może był to tylko zachwyty pająka, któremu mucha wlatuje prosto do sieci?

- Pani O'Connor! Tak się cieszę, że znaleźliśmy panią bez problemu. Proszę spocząć.

Daniel Sullivan był w samej koszuli z rozpiętym kołnierzykiem, bez krawata. Robił wrażenie.

- Pani O'Connor, pamięta pani naszą wczorajszą rozmowę? Powiedziałem, że byłoby o wiele prościej, gdyby nam pani wszystko wyjawiała. - Zrobił długą przerwę. - Skontaktowaliśmy się ze Scotland Yardem i z policją w Dublinie. Pojawiły się bardzo interesujące fakty. Nie była pani z nami do końca szczerą, prawda, pani O'Connor?

Serce mi waliło. Dowiedzieli się, kim naprawdę jestem! Czy odeślą mnie teraz do Irlandii, gdzie zostanę powieszona, czy też proces odbędzie się tutaj? Czy w Ameryce też się wieszają ludzi? Czy to przypadkiem nie tutaj sadzają przestępców na krześle elektrycznym? Nie miałam innego wyjścia, jak tylko cały czas trzymać się tego, co mówiłam wcześniej.

- Ale przecież wszystko powiedziałam. Powiedziałam, że po raz pierwszy widziałam O'Malleya na statku wypływającym z Liverpoolu. Powiedziałam, że doszło między nami do sprzeczki. Po zejściu na ląd już się nie spotkaliśmy. To jest święta prawda. Jeśli chcecie, mogę przysiąc na Biblię.

Patrzyłam mu śmiało w niebieskie oczy.

Sullivan sięgnął po kartkę papieru, którą przez chwilę uważnie studiował. To pewnie nakaz mojego aresztowania. Cóż innego?

- Wiele rzeczy wyszło na światło dzienne, pani O'Connor - powiedział. Sprawiało mu to przyjemność. Więc jednak pajak...

- Przejrzeliśmy bagaże O'Malleya. Bardzo interesujące. Nie było nic, co mogłoby go zidentyfikować, nic osobistego. Żadnych rodzinnych zdjęć, żadnych listów, nic takiego. I kolejna zagadka... Pamięta pani te buty? Dobrej jakości, z Londynu? Ubrania w bagażu też były dobrej jakości. Niektóre z nich miały naszywki z pralni. Sprawdzamy to teraz. I była jeszcze torba z drogocennymi prezentami. O'Malley nie był biedakiem. Zastanawia mnie, dlaczego w takim razie zdecydował się na podróż trzecią klasą. Ma pani jakieś przypuszczenia, pani O'Connor?

- Żadnych. Już mówiłam, że się nie znaliśmy.

- Jest jeszcze coś... Natknęliśmy się na wycinki z gazet ukryte pod podszewką jego walizki. Umie pani czytać, prawda?

Tym razem nie miałam ochoty na ironiczne uwagi. Wzięłam do ręki plik papierów, który mi podał. Jeden wycinek był z "Timesa", Londyn, październik 1889. Nagłówek głosił: *Dziewiątka z Plumbridge powieszona w Belfaście*: „Dziewięciu młodych Irlandczyków odpowiedzialnych za okrutne morderstwo zarządcy Henry'ego Parkinsona zostało powieszonych wczoraj o szóstej rano na dziedzińcu więzienia w Belfaście. Miesiąc temu sąd uznał ich za winnych umyślnego pobicia pana Parkinsona, który zmarł wskutek odniesionych ran. Podczas zajścia pan Parkinson był na służbie i wypełniał swoje obowiązki, eksmitując lokatorów z posiadłości należącej do Jamesa Astburna, właściciela ziemskiego w hrabstwie Derry...”

Czułam, że Daniel Sullivan uważnie mi się przygląda. Nie byłam pewna, co powiedzieć. Zaczęłam czytać drugi artykuł. Pochodził z gazety „Flaming Brand”, nieoficjalnego głosu fenian^[3].

„Dzisiaj zginęło dziewięciu patriotów zamordowanych przez Anglików za to, że bronili swoich sąsiadów. Kiedy James Astburn, właściciel Stratford Hall w hrabstwie Derry, podniósł czynsz na swoim terenie, wiele rodzin nie było w stanie go opłacać, toteż zaczęto je nagminnie eksmitować. Dziewięciu młodych mężczyzn z Plumbridge postanowiło wziąć sprawy w swoje ręce. Gdy Astburn sprowadził z Anglii rzezimieszka o nazwisku Parkinson, zdecydowali, że powstrzymają go przed wykonywaniem eksmisji. Kiedy człowiek ów był w drodze do domu rodziny O'Meara, od pokoleń mieszkającej w tym samym miejscu, zaszli mu drogę. Mężczyzna stawiał opór, potem sięgnął po broń. Wówczas pobili go i uciekli. Nie było świadków tego zdarzenia. Dziewiątka z Plumbridge działała pod osłoną nocy, pogoda była brzydka. Parkinson nie przeżył, by opowiedzieć swoją wersję wydarzeń. Sprawcy

śmiertelnego pobicia należeli do stowarzyszenia, które nakazało im milczenie. Nie zostaliby odnalezieni, gdyby nie zdrajca, który ich wydał. W zajściu brał udział jako dziesiąty. Twierdził, że nie uczestniczył w bójce. Odszedł z miejsca zdarzenia, znikając w ciemności, a następnie uciekł za ocean i tam wydał swoich kolegów. Ci zostali natychmiast aresztowani, osądzeni, a potem skazani na śmierć. Umarli, nie wiedząc, że wydał ich przyjaciel”.

Sullivan znów wpatrywał się we mnie pytająco.

- Czy tym mężczyzną był O'Malley? - zapytałam.

- To pani powinna wiedzieć, pani O'Connor.

- Ale już mówiłam, że nigdy...

Wyciągnął kolejny kawałek papieru.

- Ta wiadomość przed chwilą przyszła telegramem z Londynu. Nazwiska dziewiątki z Plumbridge. Mam je przeczytać, pani O'Connor? Brendan Sheehey, Thomas Larkin, Liam McCluskey...

I wtedy dotarło to do mnie. Poczułam, jak się czerwienię. Przecież już kiedyś słyszałam tę historię. Opowiadała mi ją Kathleen, kiedy siedziałyśmy przy wygasającym ogniu. „Miał tylko dziewiętnaście lat, kochany braciszek”. Brat Kathleen był jednym z tych dziewięciu.

- Pani panięskie nazwisko to McCluskey, czyż nie?

„Powiedz mu teraz prawdę - usłyszałam wewnętrzny głos. - Powiedz mu prawdę. Przecież już nic gorszego nie może cię spotkać”.

- Tak, proszę pana.

- A pani rodzina pochodzi z Plumbridge w hrabstwie Derry?

- Tak, zgadza się.

- Więc jeśli powiem, że Liam McCluskey był pani młodszym bratem, nie pomylę się?

Bratem Kathleen, nie moim. Utkwiłam wzrok we własnych dłoniach. Na jednym z zaczerwienionych i szorstkich palców zauważyłam ślady odmrożenia.

- Ciekawy typ, ten O'Malley - powiedział kapitan Sullivan. - Oczywiście to przybrane nazwisko. Scotland Yard nigdy o nim nie słyszał. Nikt w Dublinie nie miał pojęcia, skąd pochodzi. Więc kim tak naprawdę był O'Malley? Może mi pani podać jego prawdziwe nazwisko? To nam oszczędzi mnóstwo pracy. Oczywiście i tak wcześniej czy później się dowiemy. Znajdziemy szewca z Londynu, zidentyfikujemy naszywki z pralni i będziemy wiedzieli. Ale bardzo nam pani pomoże, jeśli wyjawi teraz całą prawdę.

- Przysięgam, że nie wiem, kapitanie. Naprawdę nie znałam pana O'Malleya. Nie miałam powodu, żeby go zabić. Poza tym sam pan przyznał, że nie starczyłoby mi sił, by

poderżnąć gardło dorosłemu mężczyźnie.

- Mówiłem wcześniej, że nie uważam pani za morderczynię, ale raczej za współniczkę albo za mózg całej operacji - powiedział Sullivan.

Zauważyłam, że przygląda mi się uważnie.

- Mam pani powiedzieć, co moim zdaniem wydarzyło się na Ellis Island tamtej nocy? Nie jestem tylko pewien, czy plan został opracowany jeszcze w Irlandii. Być może od lat śledziła pani O'Malleya, czekając na odpowiedni moment, by go dopaść. A może był to szczęśliwy zbieg okoliczności? Weszła pani na statek Majestic i ze zdziwieniem odkryła, że płynie nim również dawny znajomy, teraz pod nazwiskiem O'Malley.

- W takim razie dlaczego nie pozbyłam się go jeszcze na statku? Wolno nam było przebywać na pokładzie godzinę dziennie. Mocne pchnięcie i znalazłby się poza burtą. Dlaczego miałabym czekać, aż dopłyniemy do Ameryki, do miejsca tak bardzo strzeżonego, gdzie jest wokół tylu ludzi?

- Może dlatego, że pilnował się podczas podróży. Nigdy nie był sam, nigdy nie był bezbronny. Uważam, że w pewnym momencie zdała sobie pani sprawę, że to ostatnia szansa. Inaczej wyszedłby na ląd i zniknął w tłumie. To było ogromne ryzyko, ale należało je ponieść. Jedno z was wślizgnęło się do kuchni, by ukraść duży nóż do krojenia mięsa. Tak przy okazji, jednego rzeczywiście brakuje. Potem pani stała na czatach przed męską sypialnią, a pani współnik wszedł do środka i jednym mocnym ciosem zabił O'Malleya we śnie. Czy powie mi pani coś, co zmieni moje zdanie?

- Jedyne tyle, że to stek kłamstw - odparłam. Już za długo byłam miła i delikatna. Nie poddam się bez walki. - A niby kim jest ten mój współnik? Może uważa pan, że to ten strażnik, którego spotkałam przed sypialnią?

Kapitan Sullivan skinął na stojącego przed drzwiami policjanta. Podniosłam wzrok dopiero, kiedy na korytarzu ucichły kroki. A potem zabrakło mi tchu. Dwóch potężnych policjantów przyprowadziło Michaela Larkina. Jego twarz była tak blada jak koszula, którą miał na sobie; niewinne oczy wielkie niczym dwa spodki. Spojrzał na mnie i wzdrygnął się z przerażenia.

- Czy będzie pani również się upierać, że nie zna tego młodego człowieka?

- Spotkaliśmy się na statku - odparłam. - Michael bardzo pomógł mi przy dzieciach.

- A w rodzinnym mieście nigdy się nie spotkaliście? Nie widywaliście się na przykład w kościele?

- Przed laty wyjechałam z miasta i zamieszkałam z ciotką - tak po prostu znów skłamałam. Jedno kłamstwo za drugim. Za coś takiego z pewnością będę się smażyć w piekle.

- A ty? - zwrócił się do Michaela. - Przed podróżą statkiem nigdy nie widziałeś tej pani?

- Nigdy, proszę pana.

- I nigdy do was nie dotarło, że wasi krewni byli zamieszani w tę samą sprawę? Nigdy nie siedzieliście na tych samych ławkach w sądzie? Nie staliście na sali rozpraw w Belfaście, czekając razem na ten najgorszy moment? Nie mogę w to uwierzyć.

- Nie byłam nigdy obecna przy okazjach, które pan wymienia - odparłam, patrząc mu prosto w oczy.

Odchylił się na krześle do tyłu i spojrzał na mnie.

- Zastanawiam się, dlaczego nie mówicie podobnym dialektem. Nie jestem ekspertem od dialektów w Irlandii, ale nie mówicie tym samym. Dlaczego?

- Już wspominałam, że jako dziecko przeniosłam się do ciotki na zachodnie wybrzeże.

- Jedno z was się w końcu złamie - powiedział Sullivan. - Na tym etapie nie mogę jeszcze zgadnąć które. W Katakumbach nie jest zbyt przyjemnie, prawda, Larkin? Może gdyby pani O'Connor wiedziała, jak tam jest, z prostytutkami, złodziejkami i całym szemranym towarzystwem z Nowego Jorku... Może gdyby dzieci zaczęły tęsknić do mamy...

- Proszę przestać! - krzyknął Michael. - Ona nie miała z tym nic wspólnego. Przysięgam! Nie miała z tym nic wspólnego.

- A ja uważam, że Michael też nie brał udziału w morderstwie - dodałam. - Nie jest brutalny. Jest miły i delikatny. Przecież musiałby mieć krew na ubraniu, skoro poderznął komuś gardło.

Sullivan świdrował mnie wzrokiem.

- Ależ na jego ubraniu była krew. Marynarkę miał obryzganą krwią, a chusteczkę do nosa całą przesiąkniętą. - Odgarnął włosy i spojrzał na Michaela. - Mam właściwego człowieka, proszę mi wierzyć. Śmierć ojca jest wystarczającym motywem. Przecież z podobnych doświadczeń powstawały największe tragedie. Przed sądem dowiodę, że mam rację. Jedyna wątpliwość to pani rola w tym wszystkim, pani O'Connor. Była pani w zмовie czy nie?

- Już mówiłem, że nie była! - krzyknął Michael. - Macie ją puścić!

Sullivan wstał.

- Ten człowiek mówi, żeby panią puścić - powiedział. - Ma pani małe dzieci, więc moje wątpliwości zadziałają teraz na pani korzyść. Ale wkrótce otrzymam kolejne dowody z Wielkiej Brytanii. Będę panią obserwował. Proszę nie myśleć, że nie jest pani podejrzana, pani O'Connor.

Wstałam.

- Popelnia pan błąd, kapitanie Sullivan. Kiedy pozna pan prawdziwe nazwisko O'Malleya i dowie się o jego pochodzeniu, zrozumie pan, że żadne z nas nie miało powodów, żeby go zabić.

- Oby tak się stało. Mam nadzieję, pani O'Connor.

- A zanim to nastąpi, powinien pan się zająć ściganiem prawdziwego zabójcy, który chodzi sobie spokojnie po Nowym Jorku, ponieważ nikt go nie szuka.

I starając się wyrzesać z siebie jak najwięcej godności, odwróciłam się w kierunku wyjścia.

Michael złapał mnie za rękę.

- Kathleen, pomożesz mi, prawda? Jesteś jedyną osobą, która mi wierzy. Mam tylko ciebie.

- Tak, pomogę ci, Michael, obiecuję.

- W tobie cała nadzieja. W Irlandii czeka nas tylko stryzynek.

Policjant szarpnął Michaela za ramię i poprowadził schodami w dół. Nawet kiedy straciłam go z oczu, wciąż słyszałam jego głos niosący się echem po pokrytych glazurą ścianach.

Niepewnym krokiem wyszłam na ulicę. Właśnie obiecałam komuś, że dokonam rzeczy niemożliwej.

13

Znalazłam się w samym środku nowojorskiego gwaru. Dookoła było mnóstwo ludzi, wszyscy się dokądś spieszyli, opatuleni w ciepłe ubrania i obwiązani jak mumie. Śnieg wciąż padał. Poszłam drogą, która, jak sądziłam, zaprowadzi mnie w stronę East River.

I co ty najlepszego zrobiłaś? - zadawałam sobie pytanie. Jak mogłam wziąć na siebie odpowiedzialność za życie drugiego człowieka? Jak mam dowieść, że jest niewinny? Odpowiedź przyszła natychmiast: znajdując prawdziwego zabójcę. Muszę podsunąć im kogoś, kto miał lepsze powody, by dokonać tej zbrodni. Ale jak to zrobić? Angielska policja mogła dostarczyć informacji na temat O'Malleya, ale nie ja. Musiałam zacząć od tego, co było jasne jak słońce.

Fakty są następujące: ktoś na Ellis Island zabił mężczyznę o nazwisku O'Malley; spędził noc na wyspie i opuścił ją nie wcześniej niż rano, pierwszą łodzią. Oznacza to, że mordercą był albo pracownik nocnej zmiany, albo imigrant.

Kolejny fakt: z męskiej sypialni wyszedł strażnik, który wyglądem przypominał niejakiego Boyle'a, ten jednak twierdzi, że tamtej nocy nie był na służbie. Tak więc mamy pierwszą zagadkę. Są dwie możliwości: albo ten Boyle kłamie, albo ktoś inny włożył mundur strażnika, by wejść do męskiej sypialni. Prawdopodobnie strażnicy z nocnej zmiany powiesili w szafkach swoje czapki i marynarki i nietrudno było na chwilę je pożyczyć.

Tak więc pierwszym punktem, któremu powinnam poświęcić uwagę, jest alibi strażnika Boyle'a. Czy rzeczywiście opuścił wyspę ostatnią łodzią wieczorem? Czy noc spędził w domu? Pójdę do portu jutro z samego rana i przepytam załogę łodzi - postanowiłam.

Poczułam przypływ energii i podekscytowania. Tak właśnie zrobię! A kiedy odkryję prawdę, z ogromną satysfakcją przekażę ją temu przemądrzałem Sullivanowi.

Oczywiście był jeden drobny szczegół, o którym nie pomyślałam. Właśnie zatrzymałam się na skraju ruchliwej ulicy, by po chwili odskoczyć gwałtownie, kiedy przejeżdżający przede mną powóz wjechał z impetem w kałużę błota. Nie zastanowiłam się wcześniej nad tym, czy Michael rzeczywiście jest niewinny. Przecież to miły i delikatny chłopiec - powtarzałam sobie. Taki dobry dla dzieci, taki uprzejmy w stosunku do mnie. No i kiedy zbliżaliśmy się do wyspy, wymyślił ten chytry plan związany z pieniędzmi. Gdyby miał w głowie zaplanowane morderstwo, z pewnością nie postępowałby w taki sposób. Ale coś nie dawało mi spokoju - ta rozmowa, którą odbyliśmy, czekając w kolejce do wejścia na Ellis Island. Powiedział wtedy: „Jeśli jeszcze raz się pojawi, zabiję go. Naprawdę mógłbym to

zrobić. Wyglądałam młodo, ale w niejednej bijatyce brałem już udział”.

Zaczęłam iść szybciej zatłoczoną ulicą, uchylając się co chwila przed pojazdami i czując, jak mokra breja moczy mi nogi. Muszę mu zaufać. Przecież i on obdarzył mnie zaufaniem. Co prawda nawet gdyby zabił O'Malleya, nie miałabym mu tego za złe. Sama bym to chętnie zrobiła. Po prostu nie mogłam wyobrazić sobie Michaela, jak zakrada się do kuchni, zabiera stamtąd wielki nóż i spokojnie podrzyna komuś gardło. To wszystko do niego nie pasowało.

Wiatr od East River przenikał mnie do szpiku kości. Pochyliłam się i ukryłam twarz w szalu. I jeszcze jeden szczegół, który przeoczyłam. Daniel Sullivan z pewnością poprosił o informacje dotyczące mnie i Michaela. Każdy dobry policjant tak by zrobił, prawda? A gdy dotrą do niego informacje na temat Kathleen O'Connor i jej brata Liama, na pewno zaczną węszyć. Co się stanie, jeśli otrzyma rysopis albo - jeszcze gorzej - zdjęcie Kathleen? Kiedy zorientuje się, że nie jestem Kathleen, prawda o mojej tożsamości szybko wyjdzie na jaw. Tak bardzo skupiałam się na ratowaniu Michaela, a nie pomyślałam, że sama jestem w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

Szkoda, że ja i Daniel Sullivan staliśmy się wrogami. W innych okolicznościach chętnie bym z kapitanem popoflirtowała. Niestety, zamiast tego toczę z nim walkę na słowa, żeby ocalić skórę.

W końcu przez śnieżną zasłonę dojrzałam ponury budynek przy Cherry Street. Weszłam schodami na górę, tym razem nie rozdeptując żadnego dziecka, i zapukałam do drzwi na czwartym piętrze.

Nuala stanęła przede mną z rękami na biodrach.

- No i proszę, patrzcie tylko, kogo tu przyniosło! Myśleliśmy, że już nigdy cię nie zobaczymy.

- Widzisz, Bridie, mówiłem ci, że nas nie zostawi! - powiedział Seamus junior, gdy mała podbiegła i uczepliła się mojej spódnicy. - Cały dzień się o ciebie martwiła. Myślała, że poszłaś sobie bez pożegnania.

- Nigdy bym tego nie zrobiła, Bridie, kochanie.

Wzięłam ją na rękę. Przytuliła twarz do mojego zimnego policzka.

- Przecież pani O'Keefe widziała na własne oczy, jak wepchnęli ją do policyjnej furgonetki - Nuala szukała potwierdzenia u Finbara, który siedział pochylony przy stole z dużym kubkiem herbaty w rękach. - Wepchnęli ją do furgonetki, tak powiedziała. Od samego początku nie robiła na mnie dobrego wrażenia. Nie jest taka porządna, na jaką wyglądała. Mówiłam ci to przecież wczoraj wieczorem, prawda, Fin?

Jestem porządniejsza niż ty - chciałam powiedzieć. Nie mogłam jednak ryzykować. Nie w taką pogodę. Na tym zimnie i śniegu nie przeżyłabym do rana.

- Jeśli chcecie znać prawdę - zaczęłam - policja poprosiła mnie o pomoc. Na Ellis Island zamordowano człowieka, a ja byłam jedyną osobą, która widziała domniemanego mordercę.

- Mówiłem, że pisali o tym dzisiaj w gazetach - powiedział Finbar z wyjątkowym jak na niego entuzjazmem. - Nazywał się O'Malley. Poderżnęli mu gardło od ucha do ucha.

- Dobry Boże, ratuj! - krzyknęła Nuala, robiąc znak krzyża na ogromnej piersi. - Czy już nie mają tam żadnych strażników?

Lepiej jej nie mówić, że to właśnie strażnik mógł być mordercą - pomyślałam.

- Dlaczego ktoś popełnił tak straszną zbrodnię? - zapytała.

- Zabili go, bo nie chcieli, żeby się znalazł w Ameryce. Tak przypuszczam - wymamrotał Finbar.

A to był trop, na który jeszcze nie wpadłam. Oczywiście! To miało sens! O'Malley dotarł na Ellis Island. Ktoś musiał mieć pewność, że dalej już nie zawędruje. Dlaczego? Dopóki policja nie odkryje prawdziwej tożsamości zamordowanego, nie będę znała odpowiedzi na to pytanie. Nie przypuszczam, żeby kapitan Sullivan chętnie podzielił się ze mną takimi informacjami. Ale warto mu to zasugerować. Z jednego powodu - żeby uzmysłowił mu, że ani ja, ani Michael nie jesteśmy głównymi podejrzanymi. Jutro czeka mnie dużo pracy.

- Podejrzewam, że ta pomoc, której udzielałaś policji, nie pozwoliła ci poszukać sobie pracy - stwierdziła Nuala. - Jeśli zamierzasz jeszcze z nami mieszkać, musisz dołożyć się do utrzymania.

- Dołożyć się? Nie ma możliwości, żebym zarobiła wystarczająco dużo... - już zamierzałam powiedzieć: „na tuzin sprzątaczek, które powinny uprzątnąć ten chlew”, ale Bridie wciąż trzymała się mnie kurczowo, jakbym była liną, która miała uratować ją przed utonięciem. Tak więc z trudem ugryzłam się w język i dokończyłam na przekór samej sobie: -...by odwdzińczyć się wam za gościnę.

Nuala prychnęła. Nie byłam pewna, czy poczuła się mile polectana, czy też dosłyszała fałsz w moim głosie.

- Nie martw się. Jutro z samego rana zacznę szukać pracy - dodałam.

- Na targu potrzebują ludzi do patroszenia ryb - zauważyła. - Nie jest to najprzyjemniejsza praca, ale płacą za nią, a żebrak nie powinien być wybredny.

Wzdrygnęłam się na samą myśl, że mogłabym stać na zimnie i patroszyć surowe ryby.

Moje ręce wkrótce nabrałyby rybiego koloru.

- Dziękuję za informację - odparłam. - Ale odebrałam edukację. Chciałabym znaleźć coś lepszego.

- Coś lepszego! - Znów prychnęła. - Patrzcie tylko na wielką panią! - zwróciła się do Finbara. - Może powinna się ubiegać o stanowisko burmistrza? Albo profesora na uniwersytecie? Kiedy się od nas wyprowadzi, pewnie zamieszka na Piątej Alei, tuż obok Vanderbiltów.

Finbar zakrztusił się, siorbiąc herbatę.

Boże, uwolnij mnie od tego miejsca - modliłam się w duchu.

Spędziłam kolejną ciężką noc zwinięta w fotelu. Bridie koniecznie chciała leżeć obok, co czyniło moją pozycję jeszcze bardziej niewygodną. W głowie kłębiły mi się różne myśli, a sen nie chciał przyjść. Tyle rzeczy muszę zaplanować! Przede wszystkim powinnam znaleźć pracę. Trzeba także rozwiązać parę zagadek, zanim agenci federalni postanowią odesłać Michaela z powrotem do Irlandii albo zanim Daniel Sullivan postawi go tutaj przed sądem. Im bardziej się nad tym zastanawiałam, tym byłam pewniejsza, że Michael jest niewinny. Przypomniałam sobie jego twarz tego ranka zaraz po morderstwie. Był blady i przerażony, kiedy opowiadał mi, w jaki sposób odkrył ciało. I wciąż nie mogłam go sobie wyobrazić podryznającego gardło. Zwykły człowiek, nie morderca, wziąłby nóż i wbił go byle gdzie, mając nadzieję, że cios spowoduje śmierć. Żeby poderznąć gardło, trzeba mieć doświadczenie i wiedzę. I takiego człowieka będę szukać.

Zacznę od załogi łodzi i sprawdzę, czy potwierdzą alibi Boyle'a. Od tego uzależnię dalsze kroki. Nietrudno będzie odnaleźć w tym mieście rodaków. Wydaje się, że wszyscy się tu znają. A jeśli alibi Boyle'a się potwierdzi? Co wtedy?

Kiedy tak leżałam, wsłuchując się w dochodzące z drugiego pokoju chrapanie - trudno powiedzieć, Nuali, Finbara czy Seamusa, choć zdecydowanie stawiałam na Nualę - odtworzyłam w pamięci cały rejs statkiem Majestic, starając się przypomnieć sobie wszystkie szczegóły dotyczące O'Malleya. Kto z nim rozmawiał, śmiał się lub kłócił? Owszem, O'Malley brał udział w różnych awanturach, ale na ogół tylko wtedy, gdy wokół lał się alkohol. O takich konfliktach wszyscy szybko zapominali. Na poważnie zadarł tylko ze mną i z Michałem. Chyba że był jeszcze ktoś, kto obserwował O'Malleya i czekał, by zaatakować w sprzyjającej chwili... Kiedy znów spotkam się z Danielem Sullivanem, poproszę o listę pasażerów. Możliwe, że znajdują się na niej inne nazwiska w jakiś sposób powiązane ze sprawą dziewiątki z Plumbridge. Oczywiście Sullivan na pewno to sprawdził, ale nie zaszkodzi zapytać.

Dobrze pamiętam, jak O'Malley wyśmiewał się z Michaela. Michael poczerwieniał, ale nie odpowiedział ani słowem. Odszedł. Widać było, że tłumi w sobie gniew i postanawia nie reagować na zaczepki. Przywołałam w myślach wszystkie swoje spotkania z O'Mallem. Chyba miałam szczęście, że sprawca wybrał taki, a nie inny sposób dokonania morderstwa. Gdyby zrobił to za pomocą trucizny albo w innym, bardziej „kobięcym” stylu, już dawno siedziałabym w Katakumbach. Połowa statku widziała, jak wymierzam mu policzek i mówię, aby trzymał się ode mnie z daleka... Wróciło też wspomnienie pierwszego spotkania z Michaeliem. Był taki miły! Poznaliśmy się, kiedy Seamus wdał się w bójkę i... Zaraz! Usiadłam, sprawiając, że Bridie drgnęła i mruknęła przez sen. To wtedy Michael ubrudził sobie krawiec marynarkę i chusteczkę! Dlaczego wcześniej na to nie wpadłam? Seamusowi lała się przecież krew z nosa. Michael pożyczył chłopcu chusteczkę, a potem wepchnął ją do kieszeni. Z pewnością zapomniał uprać. Jutro rano muszę to powiedzieć Sullivanowi. A może lepiej najpierw trochę powęszyc i stawić się z imponującą garścią informacji, która oczyści Michaela i mnie z zarzutów?

Ułożyłam się w końcu z powrotem, zamknęłam oczy i wkrótce zapadłam w niespokojny sen.

Rano, kiedy usłyszałam krzątanie Nuali, od razu się podniosłam. Przyjęłam kubek herbaty i kromkę chleba, potem umyłam się w zlewie piętro niżej, włożyłam czystą bluzkę, związałam włosy i byłam gotowa do wyjścia.

- W takim razie idę szukać pracy - powiedziałam.

Kiwnęła z aprobatą głową.

- Jeśli wybierasz się na targ rybny, zapytaj o starą Kilty. Z pewnością ci pomoże.

Prędej w piekle zrobi się zimno, niż pójde szukać starej Kilty - pomyślałam złośliwie. Kazałam Seamusowi zaopiekować się siostrą podczas mojej nieobecności, ucałowałam Bridie i zapewniłam ją, że wrócę przed zmrokiem. Potem ostrożnie zesłam po schodach i wyszłam na chłodne powietrze. Śnieg wprawdzie nie padał, ale ten, który spadł wczoraj, zamienił się w warstwę lodu, przez co spacer po ulicy stał się niebezpieczny. Miałam już pojęcie, jak wygląda rozkład miasta. Można było odnieść wrażenie, że Nowy Jork został zbudowany na cienkim pasku lądu otoczonym z dwóch stron wodą. Tak więc niezależnie od kierunku, który bym obrała, i tak prędzej czy później dojdę do brzegu. Było to pewne pocieszenie na wypadek, gdybym się zgubiła.

Nie wiedziałam wtedy jeszcze, że samotna kobieta nie powinna się zapuszczać w pewne zakątki miasta. Kiedy przecinałam jego środkową część, skręcając w kolejne uliczki, robotnicy spieszyli do fabryk na poranną zmianę. Zobaczyłam grupę młodych dziewcząt, jak

ramię w ramię tanecznym krokiem weszły do kwadratowego budynku z cegły. Śmiały się i żartowały. Praca, którą wykonywały, najwyraźniej nie była nieprzyjemna. Postanowiłam podbiec i je dogonić.

- Przepraszam - dotknęłam ramienia dziewczyny, która była najbliżej.

Odwróciły się zdziwione. Miały skórę ciemniejszą od mojej, długie, gęste ciemne włosy upięte pod kapeluszami, chusteczki na szyi i oczy o głębokim brązowym kolorze.

- Czy idziecie do pracy?

Większość z nich patrzyła na mnie obojętnie, ale jedna odpowiedziała:

- *Si*, praca.

- Jaką pracę wykonujecie?

Wskazała palcem na budynek przed nami.

- Koszule, szyć koszule - powiedziała i zademonstrowała na migi, jak się szyje na maszynie.

Nigdy wcześniej tego nie robiłam, ale szybko się uczyć nowych rzeczy. Będę udawała, że potrafię szyć na maszynie, i może dostanę pracę. Z pewnością lepsze to niż patroszenie ryb.

- Myślicie, że są tu wolne miejsca? Czy mogę z wami pójść do kierownika?

Dziewczyna chyba nie do końca zrozumiała, o co mi chodzi, ale ręką pokazała na schody. Poszłam przodem. Duży łysiejący mężczyzna w koszuli z podwiniętymi rękawami i z zatkniętym za ucho ołówkiem wychodził właśnie z oszklonego biura na szczycie schodów. Spojrzał na mnie zdziwiony.

- Dzień dobry - powiedziałam. - Czy szuka pan może rąk do pracy? Jestem uczciwa i potrafię ciężko pracować.

Wciąż wpatrywał się we mnie zdziwiony.

- Nie jest Włoszką - powiedział. - To miejsce włoskie. *Se non parla italiano...* - Rozłożył ręce w wiele mówiącym geście. - Tu pracować włoskie dziewczyny - zakończył, kiedy grupa szwaczek weszła na górę i minęła nas, spoglądając na mnie z zaciekawieniem.

- Mówi pan, że przyjmuje do pracy tylko Włoszki?

Pokiwał głową.

- Włoskie dziewczyny robią tu koszule.

- A co robią irlandzkie dziewczyny w takim razie? - zapytałam zdenerwowana, że nawet nie dał mi szansy.

- Kłopoty - skwitował.

Odwrócił się do mnie plecami i poszedł w głąb korytarza.

Pokręciłam się jeszcze po okolicy, szukając szczęścia w kilku innych fabrykach i sklepach. Wkrótce wiedziałam jedno: Nowy Jork nie był miastem amerykańskim. Był skupiskiem przyklejonych do siebie miasteczek - włoskich, żydowskich, niemieckich i Bóg jeden wie jakich jeszcze. Niemcy zatrudniali tylko innych Niemców, Żydzi Żydów. Tak więc najpierw powinnam się zorientować, co wytwarzają Irlandczycy, i dopiero potem starać się o pracę. Wiedziałam już o targu rybnym, ale wizja patroszenia ryb nadal nie była zbyt kusząca. Minęłam teatr z wielkim napisem: „Radujcie się, wszyscy Irlandczycy! Zapraszamy na nowe widowisko, w którym wystąpią największe gwiazdy Irlandii”. O tej porze teatr był zamknięty na cztery spusty, poza tym nie przychodziło mi do głowy nic, co mogłabym w nim robić. Nie potrafiłam ani śpiewać, ani tańczyć, ani opowiadać żartów na tyle dobrze, by występować przed publicznością. Wokół teatru nie brakowało barów i jadłodajni, ale one także były zamknięte. Zdecydowałam więc, że najpierw zajmę się śledztwem, a dopiero potem szukaniem pracy.

Ruszyłam w kierunku portu i mola, nieraz błądząc w krętych uliczkach, czasem zawracając, bo któraś z nich okazywała się ślepa. W pewnym momencie jakiś pijak niespodziewanie zatoczył się w moją stronę. Z daleka dostrzegłam wyspę. Czerwone wieże budynków stanowiły niezwykły widok na tle portu, podobnie jak znajdująca się tuż obok Statua Wolności. Grupa mężczyzn powiedziała mi, z której przystani odpływa łódź przewożąca pracowników na wyspę. Nie powstrzymali się też od sprośnych uwag i nieprzyzwoitych propozycji pod moim adresem. Odpowiednio to skomentowałam i przeszłam obok z zadartym nosem. Dogoniły mnie tylko salwy śmiechu.

Wkrótce potem łódź wpłynęła do portu. Prawie pusta - oprócz dwóch mundurowych, prawdopodobnie inspektorów, nie było na niej nikogo. Pytanie ich o strażnika nie miało sensu. Postanowiłam poczekać, aż na brzeg zejdzie załoga - kapitan i jego pomocnik, młody chłopak z czerwonymi od wiatru policzkami.

Przyglądali mi się bacznie, kiedy zadawałam im pytania. Czy byli na służbie tej nocy, kiedy na wyspie zamordowano człowieka?

- Co ma pani na myśli, pytając, czy byliśmy na służbie? - Starszy mężczyzna prawie na mnie napadł. - Tworzymy całą cholerną załogę tej łodzi. Jestem kapitanem.

- Ma pan piękną łódź. - Uśmiechnęłam się z uznaniem, choć wcale nie była imponująca: mała kabina za sterem, a wokół pusty pokład. - W takim razie musicie pamiętać, których strażników przewieźliście na ląd wieczorem przed morderstwem. Pytam o mężczyznę o nazwisku Boyle. To taki potężny facet z wąsami. Czy przyplłynął na ląd wieczorem, czy dopiero pierwszym porannym kursem?

- A skąd mam niby wiedzieć, kto ze mną, do cholery, płynie?! - krzyknął kapitan. - Jest wystarczająco dużo roboty przy manewrowaniu w tym zatłoczonym porcie. Nie patrzę, kto wsiada na łódź ani kto wysiada.

- Ale zauważyłby pan kogoś bez munduru?

Pokiwał głową.

- Chłopak by pewnie zauważył. On cumuje łódź.

Zwróciłam się do chłopca.

- Znasz strażnika o nazwisku Boyle? Pamiętasz może, czy wrócił z Ellis Island ostatnią łodzią wieczorem przed zabójstwem na wyspie?

Chłopak patrzył na mnie tępo.

- Na wyspie jest dużo ludzi, którzy pracują. Wchodzą i wychodzą. A kiedy jest tak zimno jak teraz, od razu kierują się do kabiny i tam zostają. Więc nie mogę nic powiedzieć na pewno.

- A mnie zupełnie to nie obchodzi - dokończył starszy mężczyzna. - Dostajemy pieniądze za to, że płyniemy w tę i z powrotem, nie za pilnowanie, kto wchodzi na pokład.

Pociągnął chłopaka do siebie.

- No chodź, młody. Idziemy na śniadanie.

I odeszli bez słowa. Tak wyglądała moja pierwsza próba śledcza. Po niej zaczęłam darzyć Daniela Sullivana nieco większym szacunkiem. Jemu udawało się wyciągać z ludzi informacje. Mógł ich straszyć Katakumbami, co z pewnością pomagało...

Nie byłam pewna, co powinnam teraz zrobić. Chwilę pokręciłam się w porcie, zastanawiając się, kto jeszcze mógł zauważyć, czy Boyle wrócił ostatnią łodzią do miasta, czy nie. Z rozkładu dyżurów wynikało, że wrócił. Nie oznacza to jednak wcale, że zabrał się na pokład z pozostałymi. Muszę się tego dowiedzieć. Muszę tu przyjść znowu wieczorem, po ostatnim kursie łodzi z wyspy, i zapytać jego kolegów, czy może coś pamiętają. Oczywiście jeśli Boyle będzie wśród nich, śledztwo stanie się trudne i ryzykowne. Całą sprawę traktowałam jak rozwiązywanie łamigłówek, ale nagle uświadomiłam sobie, że gdyby Boyle okazał się zabójcą i zauważył, że go śledzę, znalazłabym się w prawdziwym niebezpieczeństwie. Muszę się dowiedzieć, gdzie mieszka, bo Daniela Sullivana nie mogę o to pytać.

Kiedy przemarzałam już na kość i właśnie zamierzałam udać się w stronę lądu, dostrzegłam dwóch mężczyzn w mundurach strażników z Ellis Island, którzy szli w kierunku przystani. Podbiegłam do nich.

- Przepraszam, panowie pracują na wyspie, prawda?

- Tak, proszę pani - powiedział jeden z nich.

Byli młodzi, o sympatycznych twarzach. Patrzyli na mnie podejrzliwie, jakby niepewni, czego od nich chcą.

- Zastanawiam się, czy znacie może strażnika o nazwisku Boyle. Duży mężczyzna z wąsami.

- „Rozbójnik” Boyle? Tak, wiem, który to - odparł jeden z nich.

- „Rozbójnik”?

- Ma takie przezwisko. Naprawdę ma na imię Bernard, prawda, Dan?

Dan przytaknął.

- A może przypadkiem pracowaliście razem tej nocy, kiedy na wyspie popełniono morderstwo?

- Ale o co w ogóle chodzi? - zapytał drugi mężczyzna.

- Staram się pomóc przyjacielowi. Policja przetrzymuje go w Katakumbach. Po prostu zastanawiam się, czy któryś z panów płynął łodzią z wyspy razem z Boyle’em tego wieczoru przed morderstwem.

- Chyba ja - powiedział ten pierwszy, sympatyczniejszy. - Wydaje mi się, że pracowaliśmy razem, ale nie potrafię powiedzieć, czy był ze mną na łodzi, czy nie. Ostatnio jest tak zimno, że wszyscy idziemy szybko do kabiny i już w niej zostajemy... Jest tam wtedy tak ciasno, że nie widzi się nikogo oprócz tych, którzy stoją tuż obok. Dlaczego interesuje się pani Boyle’em?

- Bo policja podejrzewa, że ktoś mógł pożyczyć jego mundur i popełnić morderstwo.

To było oczywiście bezczelne kłamstwo, ale nie chciałam, by do Boyle’a dotarło, że może być podejrzanym.

Strażnicy wymienili spojrzenia, a potem ten pierwszy pokręcił głową.

- Przykro mi, ale nie potrafię pomóc. Pod koniec zmiany jestem tak zmęczony, że myślę tylko o tym, by jak najszybciej znaleźć się w domu i położyć z nogami do góry.

- A czy któryś z panów wie, gdzie mieszka Boyle? Może mogłabym go odwiedzić i porozmawiać?

- Zdaje się, że mieszka w Hell’s Kitchen^[4] - powiedział pierwszy, patrząc pytająco na kolegę.

- Tak, gdzieś w tych okolicach - potwierdził drugi. - Tam mieszka wielu Irlandczyków.

- A gdzie jest Hell’s Kitchen? - Przez chwilę zastanawiałam się, czy mnie nie nabierają. To niemożliwe, żeby rzeczywiście istniało miejsce o takiej nazwie.

- Pójdzie pani West Street wzdłuż portu aż do Dwudziestej Trzeciej. Tam się zaczyna Hell's Kitchen. Pomiędzy Hudson a Ósmą Aleją. To kawałek drogi stąd. Na pani miejscu pojechałbym Elką.

- Elką?

- Kolejką nadziemną. Widzi pani parę tam daleko? To akurat przystanek przy Hudson Street. I nie jechałbym tam bez towarzystwa. To nie jest miejsce dla samotnych młodych pańienek.

Nie przyznałam się, że nie mam pieniędzy na bilet i na dodatek nikogo, kto mógłby mi towarzyszyć. Gdybym poprosiła Seamusa, pewnie by się zgodził, ale i tak pracuje od świtu do zmierzchu. A nie zamierzałam czekać do niedzieli. Musiałam zaryzykować teraz.

- Dziękuję za troskę, proszę pana - powiedziałam. - Będę ostrożna.

Rozstaliśmy się. Oni poszli w stronę przystani, a ja skierowałam kroki ku West Street biegnącej wzdłuż rzeki Hudson.

14

Udałam się do miejsca zwanego Hell's Kitchen. Droga była długa, ale nie miałam pieniędzy na żaden transport - musiałam iść piechotą. Podeszwy butów - i tak już nie najnowszych - zaczęły przesiąkać lodowatą wodą, palce u nóg miałam zdrętwiałe i otarte. Muszę znaleźć pracę. Inaczej nie przetrwam zimy. Szłam wzdłuż rzeki, prześlizgując się pomiędzy straganami oferującymi różne towary; wózkami, które załadowywano lub rozładowywano; słuchając nieprzyzwoitych propozycji, których było co najmniej kilka.

Wydawało się, że moja droga nie ma końca. Mijałam budynek za budynkiem. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że jakiegokolwiek miasto może być tak duże. A przede mną wciąż wyrastały kolejne wysokie domy. Zrozumiałam, że Michael miał rację - gdziekolwiek spojrzałam, z ziemi wystawały nowe drapacze chmur; wysokie stalowe szkielety wzbijały się w niebo jak ogromne sieci pająka. Często tylko ostatnie piętro miało podest, więc budowla wyglądała tak, jakby ktoś zawiesił ją w powietrzu za pomocą czarodziejskiej różdżki. Przynajmniej nie pada śnieg - pomyślałam, podtrzymując samą siebie na duchu. Muszę przyznać, że byłam trochę przerażona tym, co może mnie spotkać w Hell's Kitchen. Czytałam Dickensa. Wiedziałam, jak wyglądał Londyn Fagina^[5]. Tak właśnie wyobrażałam sobie Hell's Kitchen - nożownicy, kieszonkowcy, a nawet jeszcze gorzej. To nie to samo co spokojne życie w Ballykillin. Owszem, niektórzy mężczyźni upijali się w sobotę wieczorem, czasem bili żony, ale poza tym było bezpiecznie. Oczywiście nie licząc Justina Hartleya.

Pod koniec mojej wędrówki ulice jakby opustoszały, spotykałam coraz mniej ludzi. Okna na parterze były zamknięte, a niektóre dodatkowo zabezpieczone sztabami. Nie widziałam sklepów takich jak w okolicach Lower East Side. Kiedy w końcu zauważyłam na rogu otwarty bar, zebrałam całą odwagę i weszłam do środka. Było tam ciemno i nieprzyjemnie; z jednej strony przy długim kontuarze stał rząd wysokich stołków. Cuchnęło starym piwem i dymem, ale na szczęście o tej porze było tam prawie pusto.

- Cześć, kurczaczku! - zawołał na mój widok mężczyzna siedzący przy bufecie. - Chodź tu do mnie i pozwól się zaprosić na szklaneczkę, kochana - bełkotał, patrząc na mnie z nadzieją w rozmydlonych oczach.

- Dziękuję, ale nie przyszedłam się napić - odparłam. - Wstąpiłam, by zapytać o drogę. Inne miejsca są zamknięte. - Popatrzyłam na pozostałych mężczyzn. - Szukam dzielnicy, która nazywa się Hell's Kitchen. Macie może pojęcie, jak tam dotrzeć?

Spojrzeni po sobie, wymieniając uśmieški.

- Do Hell's Kitchen się wybierasz? - zapytał barman. - A czego by tam miała szukać

taka młoda dziewczyna jak ty?

- Szukam człowieka, który jest strażnikiem na Ellis Island. Nazywa się Boyle. Powiedziano mi, że mieszka w Hell's Kitchen.

- A co ty masz wspólnego z tym Boyle'em? - zapytał głośno mężczyzna siedzący w samym kącie baru. - Czyżby cię skrzywdził, skarbie?

- Nie jestem pana skarbem - odparłam, wywołując kolejne obleśne uśmiechy. - Muszę z nim porozmawiać na temat zbrodni, której mógł być świadkiem na Ellis Island.

- Zbrodni? - Teraz patrzyli na mnie uważnie. - Pracujesz dla policji czy jak?

- Nie mówcie mi tylko, że kobieta może być gliną! - powiedział facet w kącie, trącając swojego sąsiada.

- Tak, pomagam policji. - Staralam się, by moje słowa zabrzmiały przekonująco. - Proszę jedynie o wskazanie drogi, zaraz sobie pójdę.

- Właśnie jesteś w Hell's Kitchen, laleczko - oznajmił jeden z mężczyzn, szczerząc zęby do barmana.

Ten przytaknął.

- To prawda, panienko. To jest część miasta, którą nazywają Hell's Kitchen. Była kiedyś większa. Za to teraz budzi respekt, prawda, chłopcy?

- Tak, to jest miejsce, które... jak by to powiedzieć... onieśmiela - przyznał facet przy stole. - Prawie tak jak kościół, co nie, Paddy?

Znów nieprzyjemnie się zaśmiali. Chciałam jak najszybciej stamtąd wyjść, ale musiałam zadać jeszcze parę pytań.

- Czy mogę w takim razie się dowiedzieć, czy któryś z panów nie zna przypadkiem pana Boyle'a?

- „Rozbójnika” Boyle'a? O niego chodzi? Taki duży mężczyzna. Pracuje jako strażnik? - upewnił się barman. - Tak, zagląda tu czasami.

- Mieszka gdzieś w pobliżu? - zapytałam podekscytowana.

- Paddy będzie wiedział. Też jest cholernym Irlandczykiem. Gdzie on mieszka, Paddy?

- A, chyba tam, na West pod dwudziestym dziewiątym.

- Czy często tu przychodzi?

Jeśli był w barze tej nocy, kiedy popełniono morderstwo, jego alibi się potwierdzi - pomyślałam.

- Nie za często. Wpada od czasu do czasu - odparł barman, szukając u kolegów potwierdzenia. - Chyba na ogół robi rundy po barach.

- Tak, zwłaszcza jak jest przy kasie - dodał Paddy. - Wtedy zalicza bar za barem i stawia wszystkim kolejkę.

- A czy ostatnio był przy kasie?

- Nawet jeśli był, dlaczego mielibyśmy ci o tym mówić? - zapytał Paddy. - Chłopaki, założę się, że to jego żona. Musimy pójść i go ostrzec.

- A może raczej kochanka, która zastanawia się, dlaczego jej ostatnio nic nie dał? - zasugerował inny.

- Albo właścicielka pokoju, która sprawdza, czemu Boyle nie płaci czynszu.

- To równy gość. Porządny. Złego słowa na niego nie dam powiedzieć - wybełkotał jeden z mężczyzn nad prawie pustą szklanką.

- Nic mnie z panem Boyle'em nie łączy oprócz tego, że byłem na Ellis Island, kiedy mój przyjaciel został wplątany w morderstwo - powiedziałam. - Pan Boyle może nam pomóc to wszystko wyjaśnić. Tylko tyle.

- W takim razie lepiej sama pójdz i go zapytaj - odparł Paddy. - West dwadzieścia dziewięć. To ledwie parę domów stąd.

Cieszyłam się, że znów jestem na zewnątrz. Owiało mnie zimne, ostre powietrze. Poszłam we wskazanym kierunku, choć czułam się już zmęczona, przemarznięta i głodna. Szkoda, że nie zwinęłam Nuali sprzed nosa kawałka chleba. To okropne uczucie, kiedy nie ma się pieniędzy i żadnych perspektyw na zarobek. Takie myśli krążyły mi po głowie, kiedy podszedł do mnie jakiś mężczyzna.

- Przepraszam, panienko - powiedział. Był elegancko ubrany, miał melonik i białe buty, a w ręku laseczkę ze srebrną gałką. - Nie szuka pani przypadkiem pracy?

Patrzyłam na niego przez chwilę, zastanawiając się, czy nie jest aniołem w przebraniu. Aniołem, który przybył mnie ocalić.

- Tak, szukam. Zna pan może kogoś, kto potrzebuje pracowników?

- Ja potrzebuję - odparł. - Szukam bystrej, ładnej dziewczyny. Takiej jak pani. Irlandka, prawda?

- Owszem, jestem z Irlandii.

- U nas od niedawna?

- Przyplłynęłam parę dni temu.

- Mieszka u rodziny, tak?

- Nie, proszę pana. W tej chwili mieszkam u znajomych. Kiedy tylko znajdę pracę, poszukam sobie własnego miejsca.

- Idealnie. - Uśmiechnął się szeroko, ukazując imponujący złoty ząb. - W takim razie

proszę za mną.

Poprowadził mnie bocznymi uliczkami. Zastanawiałam się, jaką pracę może mi zaproponować. Żaden z budynków w pobliżu nie wyglądał na fabrykę. W końcu zastukał do ciemnozielonych drzwi. Otworzyły się na centymetr. Mój przewodnik coś szepnął, a potem odwrócił się do mnie i zaprosił do środka.

Nie byłam przygotowana na taki widok - gruby dywan, pluszowe kanapy i fotele. Z pomalowanego sufitu zwisał kryształowy żyrandol. Tego rodzaju umeblowanie znalazłam z posiadłości Hartleyów, ale w tym miejscu, za zwykłymi drzwiami w biednej części miasta, było czymś niezwykłym.

- Matko Boska! - wykrzyknęłam. - A czyj to dom?

Mężczyzna uśmiechnął się.

- Ładny, prawda? Madame Angélique lubi ładnie mieszkać. Poczekał tutaj, a ja po nią pójde.

Może będę służącą - zastanawiałam się. Praca służącej bardzo by mi odpowiadała. Miałabym pokój i wyżywienie, z pewnością bardzo przyzwoite. Drzwi się otworzyły i do środka weszła postawna kobieta. Pierwszą rzeczą, na jaką zwróciłam uwagę, był jej makijaż. Miała krzykliwą czerwoną szminkę na ustach i policzki pokryte warstwą różu. Zatrzymała się przy wejściu, patrząc na mnie przez *lorgnon*.

- A tak, ładne kości policzkowe. Troszkę za chuda jak na mój gust, ale nada się jak najbardziej.

Przeszła płynnie na środek pokoju. Zauważyłam, że ma malutkie stopy. Niesamowite, że tak wielkie ciało może stać na drobnych stópkach. Uśmiechnęłam się do niej nieśmiało.

- Potrafię ciężko pracować - powiedziałam. - Jestem do tego przyzwyczajona. Nie wiem, czego państwo ode mnie oczekują, ale potrafię też dobrze gotować. Czy dostanę u was również wikt i opierunek?

Spojrzała na mnie ze zdziwieniem oczkami jak u świnki.

- Ależ tak! Wikt i opierunek jest zapewniony. - Podeszła bliżej. Pulchną dłonią uniosła mój podbródek i spojrzała mi w oczy. - Dopiero co opuściłaś dom, prawda, dziecko? Jesteś tutaj zupełnie sama?

- Mam znajomych, tylko tyle.

- Ale potrzebujesz pracy i własnego kąta? W takim razie praca u nas powinna ci bardzo odpowiadać - mówiła z lekkim akcentem, chyba francuskim.

- A jaką pracę będę wykonywać?

- Nie jest ciężka - odparła. - Dziewczyny poinformują cię dokładnie o obowiązkach.

- A kiedy mogę zacząć? - To był naprawdę cud. Nie mogłam się doczekać, by zobaczyć minę Nuali, jak jej powiem, że przeprowadzam się do miejsca, w którym są kryształowe żyrandole.

- A czemu nie od razu? - Spojrzała na mężczyznę, który mnie przyprowadził.

- W takim razie muszę natychmiast pójść po swoje rzeczy.

- Rzeczy? - Znów obrzuciła mnie zdziwionym spojrzeniem. - Od dzisiaj raczej nie będziesz potrzebować swoich rzeczy. Jestem przekonana, że nie masz żadnych wartościowych przedmiotów, a ja zapewnię ci całą szafę ubrań z najlepszych materiałów. - Ponownie zerknęła na mężczyznę, który nie wyglądał na zadowolonego. - Krawcowa i tak przychodzi dzisiaj po południu, prawda? Możemy zdjąć miarę.

- Jak sobie życzysz. Naprawdę sądzisz, że się nadaje?

Znów ścisnęła mój podbródek, prawie tak mocno, że poczułam ból.

- Ma w sobie świeżość i niewinność, nie uważasz? To bardzo podniecające.

- Tak, ale...

- Żadnych ale, Jimmy. To ja podejmuję decyzje. Nie zapominaj o tym. Wiem, jak dobierać dziewczęta, prawda?

Cała ta sytuacja była bardzo dziwna. Poczułam, że ogarnia mnie zwątpienie.

- Przepraszam, ale do czego konkretnie mnie zatrudniacie? Będę służącą?

- Ależ nie, moja droga. Nic takiego. Twoje obowiązki będą znacznie przyjemniejsze. Prowadzimy tutaj taki mały klub. Bardzo ekskluzywny. Przychodzą do niego tylko kulturalni panowie, zapewniam cię. Będziesz sobie z nimi siedziała, gawędziła, namawiała, by kupili szampana...

- Ale ja nie pijam szampana.

-...którego oczywiście nie będziesz piła. A później, wieczorem, musisz im dostarczać rozrywek.

- Dostarczać rozrywek? Nie umiem ani śpiewać, ani tańczyć.

Rzuciła Jimmy'emu ostre spojrzenie.

- Nie będziesz musiała ani śpiewać, ani tańczyć. A teraz, proszę, już żadnych pytań. Męczysz mnie.

Może i dorastałam w bezpiecznym Ballykillin, ale aż tak naiwna nie byłam. Słyszałam o podobnych przybytkach, pamiętałam plotki na temat pewnej Colleen Duhig, która uciekła do Dublina i zeszła na złą drogę.

- Chwileczkę - powiedziałam. - Chyba zaszło jakieś nieporozumienie. Nie jestem... To znaczy praca, którą oferujecie...

- Ale przecież już przyjechałaś tę pracę, prawda, Jimmy?

Zauważyłam, że mężczyzna zmienił miejsce i stanął tuż przy drzwiach, zasłaniając mi wyjście. Po raz pierwszy poczułam się naprawdę przerażona.

- Zrozumcie, bardzo dziękuję za propozycję, ale zmieniłam zdanie. A teraz już pójdę.

Zrobiłam mały krok w kierunku drzwi, ale Jimmy się nie ruszył. Skrzyżował ręce na piersi. Wyglądał na zaintrygowanego sytuacją.

- Pozwólcie mi coś powiedzieć - zaczęłam. - Wiecie, co się stało z facetem, który próbował mnie zgwałcić? Zabiłam go.

- Wspaniale. W takim razie pewnie potrzebujesz schronienia. Widzisz? Los cię szczęśliwie do nas pokierował. - Madame... nie pamiętam, jak miała na imię... przyglądała mi się uważnie, obchodząc naokoło. - Brzoskwiniowy kolor najlepiej podkreślił twoje włosy. W odpowiedniej oprawie rude loki bardzo zwracają uwagę. A może zielona sukienka, Jimmy? Zielone sukienki dla irlandzkiej panienci...

Nie wiedziałam, co robić. Rozejrzałam się po pokoju, szukając czegoś, co mogłoby mi posłużyć za broń, ale Jimmy nie wyglądał na faceta, którego da się łatwo przestraszyć. Może jeśli zacznę płakać, błagać ich, powiem, że zawsze chciałam iść do zakonu, może wtedy serce tej kobiety zmięknie?

Kiedy tak czekaliśmy nie wiadomo na co, a czas jakby stanął w miejscu, rozległo się pukanie do drzwi. Pukanie szyfr - cztery szybkie uderzenia i jedno spokojniejsze. Nie spuszczać mnie z oczu, Jimmy odchylił lekko drzwi. Do środka wślizgnął się jakiś mężczyzna.

- I kogo tutaj masz, Jimmy? Nowy nabytek? - zapytał, a potem zmrużył oczy. - Co ona tu robi? Pół godziny temu była w barze i zadawała mnóstwo pytań. Pracuje dla gliniarzy.

Wielka ręka wymierzyła mi zniechęcający policzek.

- Nie dam z siebie zrobić idiotki! - wrzasnęło babsko. - Kto cię tu przysłał? Te policyjne gnidy? Bardzo się mylą, jeśli sądzą, że w ten sposób znajdą na mnie haka i będą nas mogli zamknąć! Niczego nie znajdą!

Policzek piekł, a serce waliło jak opętane.

- Proszę poczekać! Nie rozumie pani! - zaczęłam krzyczeć. - Nie przyszłam tutaj, żeby na panią donosić. Pomagam policji rozwiązać zagadkę morderstwa, które nie ma z wami nic wspólnego. Pracuję z detektywem Sullivanem.

- Z pięknym Dannym Sullivanem? - Madame parsknęła śmiechem. - On by nawet nie znalazł świni w stogu siana.

Już wiedziałam, jak z nią rozmawiać.

- Ma pani rację - przyznałam. - Jest beznadziejny. Dlatego właśnie tu jestem. Zatrzymał mojego przyjaciela, to znaczy narzeczonego - dodałam, by spotęgować wrażenie. - Zamknął w Katakumbach mężczyznę, którego kocham. Chce go odesłać do Irlandii i tym samym skazać na śmierć przez powieszenie za zabójstwo, którego mój ukochany nie popełnił. Właśnie próbuję poznać prawdę. Chcę przekonać kapitana Sullivana, żeby wypuścił Michaela.

Madame popatrzyła na Jimmy'ego.

- I tak po prostu przychodzisz do Hell's Kitchen i zadajesz pytania? Masz rację, Jimmy. Jest zbyt naiwna. - Znów na mnie spojrzała. - Moje drogie, słodkie dziecko. Twoje godziny i minuty będą policzone, jeśli jeszcze raz zaczniesz wsadzać nos w nie swoje sprawy. Weź do serca moje rady i wracaj tam, skąd przyszedłeś.

Serce podskoczyło mi z radości. Chyba puści mnie wolno!

- Ale muszę pomóc Michaelowi - odparłam. - Właśnie próbuję odnaleźć jednego ze strażników na Ellis Island, który może mi pomóc. Powiedziano mi, że gdzieś tu mieszka.

- Pytała o Boyle'a - wtrącił się mężczyzna z baru.

- Boyle? Znamy go?

- „Rozbójnik” Boyle. Czasem tu przychodzi.

- Ach, no tak. „Rozbójnik” Boyle. To ten, co daje duże napiwki. - Uśmiechnęła się, a potem popatrzyła na mnie podejrzliwie. - A niby dlaczego szukasz tego Boyle'a?

Czułam się, jakbym stąpała po kruchym lodzie. Jeden fałszywy krok i po mnie.

- Wydaje mi się, że był wtedy na służbie i mógł widzieć prawdziwego zabójcę - odparłam, starając się tak dobierać słowa, by w żaden sposób nie osądzać Boyle'a ani nie wyjść na zbyt wścibską. - Wiem, że to tylko przypuszczenia. Ale muszę działać. Policjanci nie chcą szukać innego sprawcy, bo są przekonani, że zabójcą jest mój Michael.

- Policja to idioci. - Madame tupnęła w pluszowy dywan. - Zabierz dziewczynę do Boyle'a, Jimmy. - A ty - ścisnęła mocno mój policzek - uważaj! Już nie jesteś w swoim irlandzkim miasteczku. - Pstryknęła demonstracyjnie palcami. - Wynocha! Zabieraj się stąd i nigdy nie wracaj!

Nie musiała mi tego powtarzać.

15

Stałam samotnie przed domem, w którym mieszkał Bernard „Rozbójnik” Boyle. Jimmy odprowadził mnie kawałek bocznymi uliczkami, potem zostawił samą na szerokiej ulicy.

- Nie chcę, żeby mnie tu widziano - powiedział, gdy zauważył, że patrol policyjny wchodzi akurat do budynku. - Od tej chwili się pilnuj. Masz szczęście, że Angélique się nad tobą zlitowała. Inaczej byłoby już po tobie.

Też uważałam się za szczęściarę. Podczas pobytu u madame Angélique starałam się zachować przytomność umysłu. Dopiero teraz poczułam, że mam dreszcze. Zrozumiałam, że gdyby nie przypadek, czekałaby mnie tam śmierć albo los nawet od niej gorszy. Kusiło mnie, by rzucić to wszystko i wrócić na Lower East Side, gdzie czułam się bezpieczna. Jak mogłam przypuszczać, że znajdę ślady, na które jeszcze nie wpadła policja? A jeśli Boyle był zamieszany w morderstwo? Depcząc mu po piętach, sama prosiłam się o kłopoty.

Otworzyłam drzwi wejściowe i wspięłam się po schodach. Klatka schodowa nie pachniała lepiej niż ta na Cherry Street. Na pierwszym piętrze leżała góra śmieci; kiedy podeszłam bliżej, wybiegło z niej jakieś stworzenie. Powiedziano mi, że Boyle mieszka na drugim piętrze. Czy to wszystko ma sens? Mężczyzna, który wydaje się lokalną gwiazdą - odwiedza przybytek madame Angélique, stawia drinki przyjaciołom w okolicznych barach - mieszka w takim miejscu? Musi dorabiać sobie do pensji strażnika na Ellis Island. Zastanowiłam się nad przezwiskiem „Rozbójnik”. W jaki sposób na nie zasłużył?

Pukając, byłam przygotowana do rozmowy. Ale kiedy drzwi się otworzyły i wyjrzała z nich twarz kobiety o ostrych rysach, wszystko uleciało mi z głowy.

- Tak, o co chodzi?

- Czy pani Boyle? - wyjąkałam.

- A jeśli nawet? Kto pyta? - Była chuda i koścista, świdrowała mnie małymi oczkami. Szal zwisający z ramion wyglądał jak zbroja.

- Przepraszam, że niepokoję. Czy zastałam pani męża?

- A więc doszło już do tego, że kochanki nachodzą nas w domu, tak? - zapytała. - Pewnego dnia moja cierpliwość się skończy i wtedy zobaczymy! Proszę się tylko nie zdziwić, jak zobaczy pani jego ciało dryfujące na rzece.

- Nie znam pana Boyle'a - odparłam. - Przyszłam, bo potrzebuję jego pomocy.

- Ach, tak? Jeśli chodzi o pieniądze, proszę zapomnieć.

- Oczywiście, że nie. - Zaśmiałam się niepewnie. - Staram się dowiedzieć, czy był na

służbie na Ellis Island tej nocy, kiedy popełniono tam morderstwo. - Mówiłam, robiąc odpowiednie pauzy, żeby dotarł do niej sens moich słów. - Czytała pani o tym zabójstwie, prawda? Wydawało mi się, że widziałam go tej nocy przed męską sypialnią, i...

- Chce pani powiedzieć, że mój mąż...

- Chciałabym go tylko zapytać, czy widział mordercę - skończyłam pospiesznie. - Proszę zrozumieć, policja uważa, że jestem w to zamieszana, a ja próbuję jej udowodnić, że nie.

- Boyle bierze terazienne zmiany - powiedziała zimno. - Wróci do domu przed siódmą, to znaczy jeśli w ogóle wróci.

- Więc trzy dni temu nie pracował na wyspie w nocy, tak? Jest pani pewna? Ma tylko dzienne zmiany?

- Tak, jakoś tak od roku. Ale nie wiem, gdzie wtedy był, bo wrócił dopiero nad ranem.

- A o której dokładnie? - Staralam się zachować spokój. - W jakim był stanie? Czy wydał się pani podekscytowany, przejęty?

- Pijany. Zupełnie pijany. Tak samo jak zawsze, kiedy wraca do domu.

Bardzo chciałam wiedzieć, czy zauważyła krew na mundurze, ale - jak to ujęła madame - nie powinnam wsadzać nosa w nie swoje sprawy.

- Tak więc nie wie pani, gdzie spędził noc? - zapytałam ostrożnie.

- Kotku, nie mam pojęcia, gdzie się podziewa całymi dniami. To stary, głupi pijak. Dlaczego mam się nim przejmować? Kiedyś go w końcu przymkną. Chcesz znać moje zdanie? Im szybciej to zrobią, tym lepiej.

- Przepraszam za najście - powiedziałam.

- W porządku. - Zatrzasnęła mi drzwi przed nosem.

Korytarz był zimny i ciemny. Przez chwilę stałam, nadsluchując. Chciałam usłyszeć głosy z wnętrza mieszkania. Pomyślałam nawet, że może Boyle siedział tam przez cały czas, a nieuprzejmość żony była jedynie sposobem na pozbycie się niechcianego gościa. Za drzwiami panowała jednak cisza, więc zesłam po schodach na dół.

Na rogu znajdował się bar, w którym o tej porze było już wielu gości. Zaryzykowałam i weszłam do środka. Wnętrze było prawie identyczne jak w poprzednim - ciemne meble z mahoniem, długi kontuar, smród starego piwa i dymu. Zaczęłam pytać o Boyle'a. Wydawało się, że wszyscy go znają. Bywał tu codziennie. Hojny jak zwykle, kiedy był przy forsie. Wtedy wszystkim stawiał kolejkę. Zapytałam, czy często szasta pieniędzmi. Od czasu do czasu. Ale parę dni temu zachowywał się jak Vanderbilt - wszystkim postawił whisky.

- A wieczorem trzy dni temu? - ciągnęłam. - Był może tutaj, ktoś pamięta?

Zastanawiali się, drapali po głowach.

- W tym tygodniu był tu chyba codziennie - powiedział właściciel. - Chociaż przysięg nie mogę.

- A jeśli był, to o której godzinie?

- A o co w ogóle chodzi? - zapytał stojący obok mężczyzna o czerwonej twarzy. - Czyżby nie stawił się na schadzke?

- Uuuu! Schadzka! A to dopiero... - rubaszne żarty zaczęły krążyć po sali.

Ktoś pociągnął mnie za rękaw.

- Lepiej nie umawiajcie się blisko jego domu, bo pożałujesz. Niedawno przyszła tu pani Boyle i postraszyła jakąś biedaczkę parasolką.

- Proszę mi wierzyć, nie gustuję w mężczyznach takich jak pan Boyle - oświadczyłam dumnie. - Potrzebuję tylko jego pomocy w związku z czymś, co wydarzyło się na Ellis Island. Nie będę już panów niepokoić.

Skierowałam się do wyjścia, ale czyjaś ręka chwyciła mnie za ubranie.

- Po co ten pośpiech, kotku? Zostań z nami. No chodź, nie wstydz się!

Musiałam nieźle porozpychać się łokciami, przydepnąć czyjąś nogę raz i drugi, zanim udało mi się wyjść. Wystarczy! Jak na jeden dzień sporo strachu się najadłam. Teraz pójdę do Daniela Sullivana. Niby nie miałam żadnych rewelacyjnych wieści, ale dowiedziałam się, że Boyle jest bardzo rozrzutny i że trzy dni temu nie wrócił do domu na noc. Z pewnością powinni mu się przyjrzeć.

- Ta młoda kobieta znów do pana - zaanonsował mnie bez cienia entuzjazmu w głosie umundurowany policjant.

Kiedy wchodziłam do gabinetu, Daniel Sullivan podniósł wzrok.

- Pani O'Connor! Co za miła niespodzianka! Nawet nie śmiem przypuszczać, że pod wpływem nagłej przemiany przyszła pani tu do nas, by opowiedzieć całą prawdę!

- A właśnie dlatego tu przyszłam! - odparłam, przyjmując krzesło, które mi podsunął.

- Mam interesujące informacje, które powinien pan sprawdzić.

- Jakże na przykład?

- Jedna dotyczy krwi na marynarce Michaela i na jego chusteczce. Przypomniałam sobie, skąd się na nich wzięła. Mój syn wdał się w bójkę na pokładzie statku. Michael przyprowadził go do mnie z rozbitym nosem. Niósł go na rękach i pożyczył mu chusteczkę. Stąd ta krew.

- Ładnie pomyślane. Gratuluję wyobraźni.

- Wyobraźni?! - prawie krzyknęłam. - Uważa pan, że zmyślam? Po co miałabym tu

przychodzić, gdybym sądziła, że nie uda mi się pana przekonać o niewinności Michaela Larkina? Na statku wszystkich nas stłoczono w jednym pomieszczeniu, wiele osób widziało, jak mojemu synowi leci krew z nosa. Mogę przyprowadzić panu tuzin świadków.

- Jaka matka, taki syn? - zapytał i przez sekundę wydawało mi się, że jest rozbawiony.

- Obydwoje lubicie się wdawać w bójki?

- To nie jest główny powód mojej wizyty u pana - powiedziałam, ignorując jego złośliwy ton. - Przeprowadziłam własne śledztwo i przyjrzałam się uważnie panu Bernardowi Boyle'owi, pseudonim „Rozbójnik”, strażnikowi, którego widziałam tamtej nocy.

Sullivan podniósł rękę.

- Pani O'Connor, proszę. Żadnych sugestii, że to zrobił Boyle. Mam zeznania pod przysięgą dwóch innych strażników, że był razem z nimi na zmianie i zabrał się wieczorem łodzią do Nowego Jorku.

- A ja rozmawiałam z załogą tej łodzi. Powiedzieli mi, że tego wieczoru było zimno, więc wszyscy tłoczyli się w kabinie i nie można było zobaczyć, kto jest, a kogo nie ma.

- Pani O'Connor, już o tym rozmawialiśmy. Z jakiego niby powodu strażnik na wyspie miałby nagle zaatakować imigranta?

- Nie mówię wcale, że zabił O'Malleya. Tylko uważam, że byłoby dobrze mu się przyjrzeć. Jest ciekawą osobą, kapitanie Sullivan. Znają go we wszystkich barach. Jest hojny. Stawia kolejkę, kiedy ma pieniądze. Nawet odwiedza pewien przybytek... o złej sławie.

- Skąd, do diabła, pani o tym wie?

- Wszystko sama sprawdziłam. - Uśmiechnęłam się tryumfalnie, nie wyjawiając jednak, w jak bardzo niebezpiecznej sytuacji się znalazłam. - A co więcej, nawet jego żona twierdzi, że tamtej nocy nie spał w domu.

- Ten człowiek mieszka w Hell's Kitchen, prawda? - zapytał Sullivan. - Poszła tam pani na przeszpiegi? To było bardzo ryzykowne, pani O'Connor. Tam nie mieszkają ludzie, których zaprasza się na podwieczorek.

- Wiem - odparłam. - Ale ktoś musi pomóc Michaelowi, bo pan nie zamierza. Poza tym przecież wciąż pan uważa, że maczałam palce w tym morderstwie, prawda? W pewnym sensie muszę więc oczyścić z zarzutów i siebie, i Michaela. Zrobię to choćby nie wiem co.

- Muszę przyznać, że jest pani odważna - powiedział. - Ale czy przyszło pani do głowy, co się może stać, jeśli ma pani rację i śledzi prawdziwego zabójcę? Ktoś, kto poderznął człowiekowi gardło w sali pełnej śpiących ludzi, jest wyjątkowo zuchwały. Jedno życie już zabrał. Drugie może być pani!

- Wiem - odparłam. Patrzył na mnie z taką troską, że łza zakręciła mi się w oku. - Ale

muszę próbować, prawda? No, chyba że pan zdecyduje się nam pomóc.

Wyciągnął rękę i położył na mojej.

- Zrobię co w mojej mocy - powiedział, a potem szybko cofnął dłoń. - Każę swoim ludziom dowiedzieć się, kim jest Boyle. Jeśli tylko powstrzyma to panią przed kolejną wizytą w Hell's Kitchen... Ale i tak nie rozumiem, dlaczego miałyby być zamieszany w morderstwo. Strażnicy z nocnej zmiany zauważyliby, że na wyspie został ktoś, kto pracował rano. I jakie miałyby motywy? Gdyby motywem była kradzież, z pewnością starczyłoby mu umiejętności, by zabrać O'Malleyowi co trzeba. Nie musiał go zabijać. Nie, pani O'Connor. Sposób, w jaki dokonano morderstwa, sugeruje, że komuś bardzo zależało, by O'Malley zamilkł na wieki.

- Czy dowiedział się pan czegoś więcej o O'Malleyu? - zapytałam. - Czy policja angielska już wie, kim był naprawdę?

- Niewiele się dowiedziałem - odparł. - Podejrzany typ. Z pewnością nazywał się inaczej. Z informacji Scotland Yardu wynika, że był w Londynie znanym szantażystą, ale oprócz tego...

- Czyli nie wiadomo, czy kiedykolwiek mieszkał w Plumbridge?

- Tylko pani może nam to powiedzieć.

- Już przysięgałam, że nie spotkałam go nigdy wcześniej. Mogę przysiąc jeszcze raz.

- Miał jakiś powód, dla którego podróżował z tymi wycinkami z gazet schowanymi pod podszewką walizki - powiedział Sullivan. - To jedyne materiały, jakie dały nam punkt zaczepienia.

- W takim razie należałoby zapytać, dlaczego płynął do Ameryki - powiedziałam. - Czy uciekał, ponieważ był tym dziesiątym, który wydał chłopców? A może miał w Ameryce zdemaskować prawdziwego zdrajcę? Możliwe też, że jego motywy nie miały nic wspólnego z dziewiątką z Plumbridge. A jeśli bagaż też nie był jego własnością? Przecież mógł go od kogoś odkupić, nawet nie wiedząc, co jest pod podszewką.

- Dużo pani mówi. Tak jak wszyscy Irlandczycy. Szkoda, że nie jest pani mężczyzną, bo byłby z pani niezły adwokat. - Uśmiechnął się do mnie z uznaniem. To było miłe. Powiedzmy sobie wprost: Daniel Sullivan mi się podobał. A ja chciałam podobać się jemu.

- Kuzyn, z którym mieszkamy, zwrócił uwagę na coś ciekawego - zaczęłam. - Powiedział, że O'Malley zginął z prostej przyczyny. Ktoś nie chciał, by znalazł się na lądzie.

- To znaczy?

- Powiedział pan, że był znanym w Londynie szantażystą - ciągnęłam. - Może już kiedyś podróżował do Ameryki i tutaj też próbował szczęścia? Jeśli ktoś go śledził, mógł się dowiedzieć, że O'Malley znów jest na statku do Nowego Jorku. Ta osoba mogła się

przedostać na wyspę i dokonać zabójstwa. W ten sposób zyskała pewność, że O'Malley nie znajdzie się w mieście.

- To nie takie proste, jak się pani wydaje. - Znów się uśmiechał. - Wyspa jest strzeżona. W dzień i w nocy. Jest tylko jedna przystań, przy której cumuje łódź.

- Z pewnością ktoś bardzo zdesperowany znalazłby sposób.

- A jak niby mamy znaleźć tego kogoś?

Wzruszyłam ramionami.

- Dopóki nie dowiecie się więcej o O'Malleyu, nie potrafię pomóc. Ale może kiedy będziecie śledzić Boyle'a, pojawi się coś interesującego. Dlaczego od czasu do czasu szasta pieniędzmi? Gdzie był tamtej nocy? Czy znał O'Malleya?

- Dobrze, dobrze. - Podniósł ręce do góry. - Obiecałem pani, że się tym zajmiemy. A teraz proszę... Jestem bardzo zajęty. Ale dziękuję za wszystkie sugestie.

- A co z Michael'em? Może go pan wypuścić?

- Chyba że wpłaci pani za niego kaucję. Ale musiałaby być warta więcej niż cała moja praca. Nie wypuszczę go, dopóki nie znajdę człowieka, który miał lepsze motywacje. Federalni ciągle się o niego upominają.

- Jeśli odeślecie go do Irlandii, nie będzie dla niego ratunku - powiedziałam. - Sam pan chyba wie, jak tam jest. Najpierw go powieszają, a potem będą zadawać pytania.

- Tak jak dziewiątkę z Plumbridge? - Przypatrywał mi się uważnie. - Urodziłem się i wychowałem w Nowym Jorku. Moi rodzice przybyli tu podczas wielkiego głodu^[6]. Ale rozumiem, co pani ma na myśli.

Wstał. Zrozumiałam aluzję i podniosłam się z krzesła. Nie chciałam pozwolić, by miał nade mną przewagę.

- Bardzo mi przykro, pani O'Connor. Naprawdę. Wierzę, że ma pani dobre chęci, i doceniam pani rady. Ale to są jedynie hipotezy, to znaczy...

- Wiem, co to są hipotezy, kapitanie. Może pan wierzyć lub nie, ale przeczytałam w swoim życiu to i owo. Następnym razem pojawię się tu z konkretnymi dowodami.

Kiedy wychodziłam, czułam, że odprowadza mnie wzrokiem przez cały korytarz. Uniosłam sukienkę, żeby zejść po schodach.

- Kathleen! - zawołał za mną. - Proszę uważać!

16

Tym razem serce nie waliło mi ze strachu. W jego głosie wyczułam inne tony. Zawołał mnie - jak sądził - po imieniu. Świadomość, że ktoś w tym obcym kraju się o mnie troszczy, była dziwna, lecz bardzo przyjemna. Kusilo mnie, by wrócić do jego gabinetu i powiedzieć całą prawdę. Chciałabym usłyszeć, jak zwraca się do mnie tym samym tonem, ale wymawiając moje prawdziwe imię. Musiałam jednak sama siebie upomnieć, że przecież jest policjantem i nawet jeśli nie byłam dla niego podejrzaną numer jeden, to tak czy owak figurowałam na czarnej liście. Gdyby się dowiedział, że uciekłam z Irlandii, z pewnością zapomniałby o jakichkolwiek uczuciach i po prostu robił, co do niego należy. Mimo wszystko było mi przyjemnie. Idąc ulicą, uśmiechałam się do siebie.

Drzwi do mieszkania otworzył mi Finbar. Wyglądał tak jak zawsze, jakby przed chwilą się obudził.

- Ach, witaj, moja droga. Wejdz, proszę, wejdz.

Chętnie weszłam do ciepłego pokoju. Boże, przebac, ale zaczynałam się tu czuć jak w domu. Cóż, było to jedyne ciepłe i suche miejsce w całym mieście. Mogłam tu również liczyć na coś do jedzenia. To nic, że towarzyszyło temu zrzędenie.

- Pewnie masz ochotę na herbatę - powiedział Finbar. - Jest świeżo zaparzona.

Z wdzięcznością przyjął kubek i poczułam, jak ciepło wraca w moje przemarznięte kości. W mieszkaniu było strasznie cicho.

- Gdzie są wszyscy?

- Dzieci pobiegły matce na spotkanie, kiedy będzie wychodziła z pracy - odparł. - Twoja dwójka też z nimi poszła. A Seamus wróci z budowy najwcześniej za godzinę. Teraz mężczyznom, którzy chcą pracować, proponuje się zmiany osiemnastogodzinne. I dobre zarobki. Gdyby nie zdrowie, też bym tak pracował. Ale teraz jedyne, na co mogę sobie pozwolić, to parę godzin w barze i dorywcze prace to tu, to tam.

Przytaknęłam współczująco. Zrozumiałe, że mąż Nuali nie może być zdrowym człowiekiem.

Na stole stał chleb. Ukroiłam sobie pajdę i posmarowałam ją grubą warstwą smalcu. Kiedy jadłam, czułam na sobie spojrzenie Finbara. Prawdopodobnie poskarży się Nuali, że znów częstowałam się ich jedzeniem, ale byłam tak głodna, że w ogóle się tym nie przejmowałam.

- Bardzo się cieszę, że z nami mieszkasz - powiedział. - Naprawdę. To, co zrobiłaś dla Kathleen i dzieci, było bardzo miłe. Wszyscy jesteśmy ci wdzięczni.

- Cieszę się, że mogłam pomóc - odparłam. - Ale jutro zrobię wszystko, żeby znaleźć pracę. Nie mogę dłużej być dla was ciężarem.

- Nie ma pośpiechu. Żadnego. Nie wszyscy będą zadowoleni, jeśli odejdziesz.

- Wiem. Bridie mnie tutaj potrzebuje.

- Nie tylko - odpowiedział. - Taka młoda, ładna buzia jest jak powiew świeżego irlandzkiego powietrza na wiosnę.

- Mówisz tak, jakbyś kiedyś pocałował kamień w Blarney^[7] - powiedziałam wesoło. Ale nagle zamarłam. Zobaczyłam coś niepokojącego w jego oczach. Zbliżał się do mnie. Wyglądniały i zdesperowany.

- Nie wróci prędko. - Oddychał szybko. - Nie pozwala się dotykać. Mówi, że trzech chłopców trudno wyżywić i nie będzie już ryzykować. A ja jestem mężczyzną, panno Molly. Mam potrzeby.

Wyciągnął rękę. Szybko wstałam z podpartej skrzynkami ławki.

- O nie, Finbar! Twoje potrzeby to nie moja sprawa.

- Ale masz takie piękne młode ciało. Widzę, jak wspaniale się poruszasz. Nic na to nie poradzę. Po prostu muszę cię dotknąć.

Znów wyciągnął rękę.

- Ani kroku dalej, Finbar!

Cała ta sytuacja była komiczna, chciało mi się śmiać. Był taki drobny i chudy, że w ogóle się go nie bałam.

- Tylko pomyśl, co zrobiłaby Nuala, gdyby wiedziała, że mnie zaczepiasz.

- Nie miałyby nic przeciwko temu. Może nawet byłaby zadowolona, że sobie kogoś znalazłem i dam jej wreszcie spokój.

- I mnie też dasz spokój! - odparłam. - Natychmiast! Co to jest, że wy, mężczyźni, zawsze musicie nas obłapiać? Opanuj się! Sama zdecyduję, kiedy oddać się mężczyźnie.

- Czyli że jesteś jeszcze dziewicą? A Nuala mówiła...

- Nie obchodzi mnie, co mówiła Nuala.

Podczas tej rozmowy byliśmy cały czas w ruchu - biegając pomiędzy meblami, robiąc uniki jak na boisku. W pewnym momencie zdołał mnie złapać i z siłą, o jaką go nie posądzałam, przyparł do ściany. Poczulałam kwaśny zapach piwa i napierające na mnie ciało.

- Natychmiast puszczaj - syknęłam, próbując się uwolnić.

Był zadziwiająco silny jak na swoją drobną posturę. Pewnie przed chorobą wyrobił sobie mięśnie na budowie. Szkoda, że o tym nie pomyślałam.

- Finbar, zabieraj łapy albo zacznę wrzeszczeć na cały dom.

- No dalej, krzycz. To nic nie da.

- Daj mi spokój, bo pożałujesz.

Manewrowałam kolanem, żeby zadać cios w odpowiednie miejsce, ale nie mogłam tego zrobić z powodu halki, która krępowała mi ruchy. Zakląłam. Damskie ubrania zostały zaprojektowane przez mężczyzn, żeby nam, kobietom, uniemożliwić samoobronę.

Próbował mnie całować, sięgał w kierunku piersi. Ani jedno, ani drugie mu nie wyszło. Nagle drzwi otworzyły się z hukiem i do mieszkania wtargnęła Nuala. Zatrzymała się, blokując wejście swoim wielki ciałem. Była jak karzący anioł.

- Wiedziałam! - krzyknęła. - Wiedziałam, że ta dziewczucha to nic dobrego. Pięć minut nie ma mnie w domu, a ta już kusi mojego męża.

Gdy tylko Finbar usłyszał jej głos, odskoczył ode mnie jak oparzony.

- Przepraszam, kochana. Nie chciałem. Sam nie wiem, co mnie podkuśiło.

- Oczywiście, że nie wiesz. To jej wina, to ona cię sprowokowała. Od razu wiedziałam, jak tylko się tu zjawiała.

- Chwileczkę - przerwałam, wygładzając ubranie. - Nie zrobiłam nic, co mogłoby go sprowokować. To on na mnie napadł.

Ale Nuala nie słuchała. Przeszła przez pokój, wzięła mój tobołek i rzuciła nim w stronę drzwi.

- Wynocha z mojego domu, puszczańska! Wynocha raz-dwa i żebym cię tu więcej nie widziała! Ty złodziejko mężów. Chciałaś zniszczyć mi rodzinę!

- Nie martw się, już sobie idę! - krzyknęłam. - W tym chlewie i tak bym nie została ani sekundy dłużej. Nawet gdyby mi ktoś zapłacił. Aż dziw bierze, że jeszcze niczym się tu nie zaraziłam. Powinni cię zamknąć w więzieniu za to, że wychowujesz dzieci w takim brudzie. I nie dziw się, że mąż ogląda się za innymi kobietami, skoro w domu ma takiego wrzeszczącego, wiecznie niezadowolonego potwora.

Nuala złapała miotłę.

Chwycałam tobołek i wyszłam.

- Chyba pierwszy raz od dziesięciu lat sięgnęłaś po miotłę! - rzuciłam jeszcze za siebie, zbiegając ze schodów.

Dopiero kiedy otworzyłam drzwi i uderzył mnie chłodny powiew powietrza, zdałam sobie sprawę z tego, co się właśnie stało. Byłam sama w Nowym Jorku, w nocy, bez pieniędzy, schronienia i żadnych perspektyw.

Myślałam, żeby pokręcić się w pobliżu i poczekać, aż Seamus wróci z pracy. Może przynajmniej pożyczylby mi trochę pieniędzy na nocleg i jedzenie. Ale duma mi nie

pozwoliła. To prawie jak zebranie, a Molly Murphy się do tego nie posunie. Poszłam przed siebie. Na Hester Street był targ, chyba żydowski, o tej porze pełen ludzi. Stałam przy stoisku z pieczonymi ziemniakami, gdzie mogłam się troszkę ogrzać, ale właściciel po chwili krzyknął w moją stronę:

- Kupuje coś czy nie?!

Przechadzałam się w tłumie. Ciepło innych ludzi sprawiało, że czułam się mniej samotna. Nie miałam pojęcia, co począć. Za chwilę targ opustoszeje, ludzie pójdą do domu, a ja będę musiała poszukać sobie jakiegoś noclegu. Nagle przypomniały mi się miękkie pluszowe meble w burdelu. Może ta propozycja wcale nie była taka zła? Skierowałam się do Bowery, zachodząc do każdego baru i każdej jadłodajni po drodze i pytając, czy nie potrzebują kogoś do pomocy w kuchni. Nigdzie nie potrzebowali. Ktoś zasugerował pracę podobną do oferty madame Angélique. Poszłam dalej. Czy w tym mieście nie ma innego zajęcia niż patroszenie ryb albo prostytutka? Jeśli przetrwam jakoś noc, następnego dnia muszę schować swoją dumę do kieszeni i pójść na targ rybny. Chociaż teraz prawdopodobnie i tak nie dostanę tej pracy. Nuala już o to zadba.

Szłam, aż zabrakło mi sił. Jedna za drugą gasły lampy w sklepach. Ostatni klienci spieszyli do domu, owijając twarze szalikami, by chronić się przed zimnem. Ci bogatsi wsiadali do powozów, które wiozły ich do nieznanych mi przytulnych wnętrz i rozpalonych kominków. W końcu zostałam na ulicy sama. Pomyślałam o Ellis Island, która teraz wydała mi się miejscem ciepłym i bezpiecznym. Chwytałam właśnie za klamkę od drzwi kolejnego kościoła, mając nadzieję, że będzie otwarty, kiedy usłyszałam za sobą głos:

- Nie ma co próbować, panienko. Wszystkie kościoły w tym podłym mieście są w nocy zamknięte na cztery spusty. Proszę za mną.

Był to policjant o dobrotliwej, okrągłej twarzy. Irlandczyk w średnim wieku.

- Nie chciałam nic zrobić - powiedziałam, gdy wziął mnie za ramię i zaczął prowadzić. - Nie chciałam niczego ukraść. Szukam tylko schronienia przed wiatrem.

- Właśnie przyjechałaś, tak?

- Tak, parę dni temu. Myślałam, że mam się gdzie zatrzymać, ale nie byłam tam mile widziana.

Skręciliśmy za róg i zobaczyłam, dokąd mnie prowadzi.

- Tylko nie Katakumby, proszę! - krzyknęłam. - Nic złego nie zrobiłam. Nawet kapitan Sullivan nie pozwolił mnie tutaj zamknąć.

- Kapitan Sullivan? - Na jego twarzy pojawiło się zaniepokojenie. - A skąd znasz kapitana Sullivana?

- Przesłuchiwał mnie w sprawie morderstwa na Ellis Island - powiedziałam. - I już wie, że nie mam z tym nic wspólnego. Proszę go zapytać, potwierdzi.

- Proszę się uspokoić, panienko - odparł, ściskając moje ramię jeszcze mocniej. - Nikt tu nie mówi o Katakumbach i nikt nie sądzi, że jest pani najbardziej poszukiwanym przestępcą w Nowym Jorku. Tu obok jest schronisko, do którego panią prowadzę. Można w nim przenocować, jeśli nie ma się dokąd pójść. Na ulicy łatwo zamarznąć albo nie doczekać rana i skończyć z podejrzanym gardłem.

Przeszliśmy na drugą stronę ulicy, a potem wspięliśmy się po schodach, które znajdowały się tuż obok wejścia do więzienia. Poczułam woń niemytych ciał i nieswieżych oddechów, wokół słychać było szepty.

- Przyprowadziłem, kotku, jeszcze jedną - powiedział policjant do postawnej kobiety w pielęgniarskim fartuchu.

Ta powiodła mnie dalej. Cóż, miejsce nie wyglądało lepiej niż cela więzienna. Stał tam rząd metalowych łóżek, tak jak w sypialni na Ellis Island, a na każdym leżał szorstki koc. Bóg jeden wie, kto przede mną spał na tym pościu i co się kryje w materacu, ale lepsze to niż zamarznięcie. Położyłam się na łóżku wskazanym przez surową matronę. Koc nie chronił przed zimnem, więc starannie okryłam się szalem.

Podskoczyłam, kiedy na ramieniu poczułam czyjaś dłoń. Uśmiechała się do mnie kobieta o wyglądzie jednej z czarownic z *Makbeta*; potargana, bez kilku zębów.

- Proszę. - Zarzała jak koń i podała mi kilka starych gazet. - No, dalej - nalegała. - Bierz. Ja mam ich dużo. Trzeba się nimi owinąć pod kocem. Trzymają ciepło.

- Dziękuję - wyjąkałam.

- Jeśli masz coś wartościowego, lepiej schowaj pod głową - dodała. - Tutaj niektórych swędzą palce. Własną babcię by ograbili dla dwóch centów.

Podziękowałam jeszcze raz. Z tobołka zrobiłam poduszkę, a stopy i nogi owinęłam gazetami. Potem zapadłam w zasłużony sen.

O pierwszym brzasku zbudziła nas matrona. Na stole czekała gorąca owsianka i kubek kawy. Wypiłam i zjadłam, ile tylko mogłam, a potem wyszykowałam się do wyjścia. Postanowiłam, że gazety wezmę ze sobą. Nigdy nie wiadomo, kiedy okażą się potrzebne. Kiedy je przeglądałam, jeden z nagłówek przykuł moją uwagę: „Burmistrz odwiedził odbudowane zaplecze administracyjne na Ellis Island. Grupa dygnitarzy została oprowadzona po wyspie. Zaskoczeni imigranci wysłuchali koncertu”. Dalej czytałam: „Jego dostojność burmistrz Nowego Jorku, pan Van Wyck, w towarzystwie najwyższych urzędników miasta odbył pierwszą oficjalną wizytę w odbudowanej po pożarze części Ellis Island”.

Usiadłam na łóżku. Jak mogłam to przeoczyć? Przecież na wyspie byli nie tylko imigranci i urzędnicy. Była tam jeszcze cała ekipa burmistrza. Oczywiście przyjechali po południu i potem odpłynęli, dlatego o nich zapomniałam. Ale może to właśnie jeden z nich zauważył O'Malleya? Może któryś z nich miał coś do ukrycia? Wiedział, że O'Malley to niebezpieczny człowiek i że nie wolno dopuścić, by znalazł się w Nowym Jorku? Poczulałam przypływ energii. Gazeta miała tytuł „New York Herald”, a podpis pod artykułem brzmiał: „Zrelacjonował nasz korespondent Jamie McPherson”.

Poprosiłam o wskazanie drogi do biura gazety i z nadzieją skierowałam tam swoje kroki. Byłam pewna, że tym razem wpadnę na trop czegoś, co sprawi, że Daniel Sullivan wreszcie się nad tym wszystkim porządnie zastanowi. Znajdę powody, dla których powinien uwolnić Michaela!

Zapytałam matronę, czy mogę na godzinę zostawić swój bagaż. Zgodziła się niechętnie. Jak na skrzydłach pobiegłam na Broadway. Bez problemu trafiłam na Herald Square, ale musiałam poczekać, aż pracownicy porannej zmiany w gazecie dotrą do biura. Musiałam jeszcze przekonać młodzieńca w recepcji budynku, że pomagam w policyjnym śledztwie, zanim skierowano mnie po schodach do dużego pokoju, w którym słychać było stukot maszyn do pisania. Jamie McPherson był młodym Szkotem z tak silnym akcentem, że zastanawiałam się, jak to możliwe, że w Nowym Jorku ludzie rozumieją pytania, które zadaje.

- A tak, byłem tam z burmistrzem i jego gośćmi - powiedział. - Co panią interesuje?

- Nazwiska tych osób - odparłam.

- Nie pamiętam wszystkich, ale te najważniejsze mam tu gdzieś zapisane. - Sięgnął do szuflady biurka po notes. - Niech spojrzę. Mam! Oprócz burmistrza byli tam dwaj urzędnicy, McCormack i Dailey. A także ludzie z Tammany. W Tammany Hall podadzą pani ich nazwiska. - Spojrzał na mnie zaintrygowany. - A o co właściwie chodzi?

Nie mogłam mu nic zdradzić. Był przecież dziennikarzem i zrobiłby z tego użytek.

- Teraz nie mogę powiedzieć - odparłam. - Ale jeśli sprawa rozwinię się zgodnie z moimi przypuszczeniami, będzie to duże wydarzenie. Na pewno podrzucę panu gorący temat.

- Brzmi to bardzo zagadkowo - powiedział z uśmiechem. - W biurze burmistrza dowię się pani wszystkich nazwisk, jestem pewien. Dodałbym, że były tam obecne najważniejsze figury w mieście. Albo w Tammany, co i tak wychodzi na jedno.

- Dziękuję.

Nie byłam pewna, o co jeszcze zapytać. Dla młodego dziennikarza pisanie o wizycie burmistrza z pewnością nie było spełnieniem zawodowych marzeń. Szkoda, że nie mogłam

podsyć jego zainteresowania jakąś gorącą informacją. Głód i brak snu przytępiły mi trochę umysł, a stukot maszyn utrudniał myślenie. Jak oni w ogóle mogą cokolwiek napisać w takich warunkach?

- A jak dostali się na wyspę? - zapytałam. - Promem?

- Nie, przyплыли urzędową łodzią.

Urzędową łodzią! Gdybym wiedziała wcześniej, mogłabym przepytac tego nieuprzejmego kapitana. Teraz będę musiała pójść tam jeszcze raz.

- Tak więc płynął pan z nimi?

- Owszem, było nas kilku dziennikarzy.

- A wie pan również, czy wszyscy wrócili tą samą łodzią. Nikt nie został?

- Nie liczyłem ich. Było bardzo zimno. Nie mogłem się doczekać powrotu do miasta.

Wszyscy tłoczyli się w kabinie. Popijali whisky, ale nas żaden tam nie zaprosił. Musieliśmy marznąć na pokładzie.

- A kto robił zdjęcia? - zapytałam. - Bo ktoś zrobił zdjęcie mojej córce z burmistrzem.

- Ach, więc o to chodzi! - krzyknął i roześmiał się ze zrozumieniem. - Chce pani mieć zdjęcie córeczki z burmistrzem!

Uśmiechnęłam się chytrze i nie zaprzeczyłam. To przecież wystarczający powód. Szkoda, że wcześniej nie przyszedł mi do głowy.

- Wie pan, kim byli fotografowie? Też z pana gazety?

- Nie, to wszystko wolni strzelcy. Uwieczniają różne wydarzenia, mając nadzieję, że potem sprzedadzą zdjęcia tygodnikom albo samemu burmistrzowi. Jest tak zadufany w sobie, że chętnie obkleiłby swoimi zdjęciami wszystkie ściany w gabinecie.

- A może zna pan nazwiska tych fotografów albo może mi pan powiedzieć, gdzie ich znajdę?

Wzruszył ramionami i spojrział na swoją maszynę do pisania, jakby chciał już wracać do pracy.

- Staram się sobie przypomnieć, kto wtedy był. Nie zwróciłem na to uwagi. Na pewno był Simon Levy. Ma studio na Lower East Side, w dzielnicy żydowskiej.

- Starszy mężczyzna z brodą? To chyba ten, który zrobił zdjęcie Bridie - powiedziałam. - Dziękuję. W takim razie idę go poszukać. Bardzo mi pan pomógł.

- Życzę powodzenia. - Pomachał mi zdawkowo i jak tylko się odwróciłam, puścił w ruch maszynę.

Droga powrotna na Lower East Side zdawała się nie mieć końca. Straciłam już poranny przyływ energii. Wracając, przyglądałam się wielkim sklepom z elegancko przybranymi wystawami, na których stały manekiny i kosze pełne kwiatów. Obok jednej z nich zatrzymał się powóz i wysiadła z niego kobieta. Pewnego dnia będę taką właśnie panią - postanowiłam. Ale zarobek na targu rybnym prawdopodobnie niezbyt szybko umożliwi mi spełnienie marzeń.

Na samą myśl o patroszeniu ryb wróciły wspomnienia. Biedna Bridie! Ciekawe, co jej powiedzieli, kiedy nie zjawiłam się w domu na noc. Przykra była dla mnie świadomość, że dzieci zostały tam same z tą okropną ciotką. Bez pieniędzy i własnego kąta nie mogłam jednak nic na to poradzić. Poza tym - przypomniałam sobie - nie były to wcale moje dzieci. Zobowiązałam się jedynie bezpiecznie dostarczyć je ojcu. Pomimo to obraz dziecięcych twarzączek prześladował mnie całą drogę przez Broadway. Pewnego dnia... - powtarzałam w myślach. Cokolwiek się stanie, nigdy o nich nie zapomnę.

Ledwo powłóczyłam nogami. Kiedy zbliżyłam się wreszcie do znajomych okolic Lower East Side, podeszwa lewego buta zaczęła odpadać. Targ przy Hester Street znów tętnił życiem. Z tęsknotą patrzyłam na chałki i kociołki pełne zupy. Właściciel jednego ze stoisk smażył coś w rodzaju naleśników. W jaki sposób zdobyć pieniądze, żeby kupić coś do jedzenia? Jak mam znaleźć pracę, skoro cały dzień uganiem się za fotografami? Powinnam pójść do Daniela Sullivana i poprosić go, by poprowadził śledztwo, idąc po moich śladach. A potem zająć się własnym życiem.

A jeśli nie będzie zainteresowany? Najgorszą rzeczą byłoby przyjść do jego biura i dowiedzieć się, że Michael został odesłany do Irlandii. Oczywiście jeśli sprawę przejmą gorliwi federalni, mogą i mnie wsadzić na statek powrotny.

Zapytałam kilku ulicznych sprzedawców, czy znają Simona Levy'ego. Znali. Wskazali mi drogę do jego studia. Odnalazłam je bez trudu, lecz było zamknięte, a żaluzje w oknach spuszczone. Na drzwiach wisiała kartka z informacją w języku angielskim oraz kilku innych językach, których nie znałam. „Wyszedłem. Pracuję. Wrócę później”. Przynajmniej znalazłam drogę do studia.

Znów poczułam głód. Nadeszła pora lunchu i mój żołądek dawno zapomniał o owsiance. Głupio robię - pomyślałam. Jeśli umrę z głodu, nie pomogę ani sobie, ani Michaelowi. Muszę znaleźć dzisiaj pracę. To oznacza, że powinnam przekazać Danielowi Sullivanowi, czego się dowiedziałam, i pozwolić mu robić, co do niego należy. To miało sens,

prawda? Mógłby pójść do biura burmistrza i poprosić o listę obecnych na Ellis Island urzędników. Mógłby poprosić o zdjęcia i nikt by mu nie odmówił.

Niechętnie skierowałam się w stronę siedziby policji. „Kapitan Sullivan jest poza biurem” - usłyszałam. Pozwolono mi zostawić dla niego informację. Dostałam kartkę papieru i ołówek. Zapisałam swoje przypuszczenia na temat gości burmistrza oraz nazwisko fotografa, który mógł im zrobić zdjęcia. Położyłam kartkę na biurku Daniela, pokręciłam się jeszcze chwilę, a potem wyszłam przygnębiona. Nie byłam przygotowana na takie rozczarowanie. Szkoda, że nie mogłam go znowu zobaczyć!

Przechodząc obok ratusza, zatrzymałam się przy wielkiej dziurze, którą kopano w ziemi na potrzeby kolejki podziemnej. Wyglądała jak brama do piekieł. Wydobywała się z niej para i kurz. Stałam tam chwilę, ogrzewając ręce przy kratce wentylacyjnej, dopóki się nie zorientowałam, że wilgotne opary moczą mi ubranie. Kiedy już miałam odejść, rozległ się gwizdek i spod ziemi zaczęli wychodzić robotnicy, wycierając ze spoconych twarzy piasek i brud. Odwróciłam się i zaczęłam iść, ale nagle usłyszałam za sobą wołanie:

- Molly, Molly! Poczekaj!

Z czeluści w ziemi wyłonił się Seamus O'Connor i podbiegł do mnie.

- Molly, tak bardzo się denerwowałem! - zawołał. - Kiedy wróciłem do domu, ciebie nie było, a Nuala nie chciała powiedzieć, dokąd poszłaś.

- Wygoniła mnie miotłą - odparłam.

- Gadała jakieś bzdury, że niby przyłapała cię z Finbarem...

- Jeśli chcesz znać prawdę, to kiedy Nuala weszła do mieszkania, próbowałam właśnie uwolnić się od Finbara. Nie zrobiłam nic, żeby go ośmielić. Wierz mi, jeśli będę chciała kogoś ośmielić, na pewno nie będzie nim taka chuda i żalosna kreatura jak Finbar.

Jakby na zawołanie przed oczami stanął mi Daniel Sullivan.

Seamus dotknął mojej ręki.

- Tak mi przykro, Molly. Po tym wszystkim, co dla nas zrobiłaś. Proszę, wróć. Wy tłumaczę wszystko Nuali, obiecuję.

- O nie, dziękuję, Seamus. Moja noga już tam nigdy nie postanie.

- Ale dzieci... Potrzebują ciebie.

- Wiem. Bardzo mi przykro, że zostawiłam Bridie, ale muszą się przyzwyczać do życia beze mnie - odparłam. - Nie jestem przecież waszą krewną.

- Znajdę własne lokum. Jeśli chcesz, możesz tam z nami zamieszkać.

Przypomniałam sobie, jak łatwo Finbar uległ pokusie. Wydaje się, że wszyscy mężczyźni są tacy sami. Nie mogłam robić Seamusowi żadnych nadziei, mimo że tak bardzo

zależało mi na dzieciach.

- To nie będzie w porządku. Jestem samotną kobietą, a ty żonatym mężczyzną. Muszę myśleć o swojej reputacji.

Pokiwał głową.

- Masz rację. Nie powinienem tego proponować.

- Ale zamieszkaj osobno, jak szybko się da - dodałam. - Ten chlew nie jest zdrowym miejscem dla dzieci.

Wyglądał na zmartwionego. Wyciągnęłam rękę i dotknęłam jego ramienia.

- Zrozum, będę do was przychodziła i pomagała tak często, jak to będzie możliwe. Oczywiście, kiedy już znajdę sobie pracę i mieszkanie. Powiedz Bridie, że o niej nie zapominałam, dobrze?

- Nie znalazłaś jeszcze mieszkania? To gdzie dzisiaj spałaś?

- W schronisku policyjnym - odparłam. - Nie mam pieniędzy - dodałam niechętnie.

Ugryzłam się w język, ale było już za późno.

Seamus sięgnął do kieszeni kombinezonu.

- Nie masz pieniędzy? Zobaczmy, ile tu jest...

- Nie mogę nic od ciebie przyjąć. Nie martw się o mnie. Poradzę sobie.

- Ale chcę ci pomóc. Ty pomogłaś nam. Zaopiekowałaś się moimi dziećmi. Proszę. -

Wyciągnął dłoń pełną monet. - Tu jest parę dolarów, weź je.

- Nie biorę jałmużny.

- To nie jałmużna. Zarobiłaś je. Proszę. Weź.

Chwycił moją dłoń i zamknął monety w zimnych palcach.

- I proszę, daj znać, jak znajdziesz mieszkanie. Nie możemy stracić kontaktu. Dzieci za tobą tęsknią. Kiedy wczoraj nie wróciłaś, Bridie bardzo płakała.

- Skontaktuję się z wami. Obiecuję.

Rozejrzał się.

- Lepiej już pójdę. Muszę zdążyć na zapiekankę z mięsem, inaczej całe popołudnie będę pracował głodny. Trzymaj się.

- Ty też, Seamus.

Poszedł sobie, a ja zostałam z garścią pełną monet. Usiadłam na schodach ratusza i pod okiem dwóch policjantów dokładnie przeliczyłam pieniądze. Prawie dwa dolary. Najpierw więc odwiedziłam jadłodajnię, gdzie za pięć centów kupiłam miskę zupy i bułkę. Właścicielka była dużą pogodną kobietą, więc zapytałam ją, czy wie, gdzie powinnam szukać pokoju. Była przerażona.

- Młoda kobieta sama? Chyba nie zamierzasz wynajmować pokoju, na litość boską?

- Dlaczego nie?

- Sama? Bez mężczyzny, który by się tobą zaopiekował? Jeśli już musisz, posłuchaj mojej rady i poszukaj miejsca w przyzwoitej okolicy. Podobno gdzieś niedaleko Battery Park jest porządny pensjonat dla młodych kobiet. Prowadzą go panie z Towarzystwa Biblijnego, a one nie życzą sobie żadnych wybryków.

Nie byłam pewna, czy panie z Towarzystwa Biblijnego przyjmą pod swój dach katoliczkę. Na dodatek nie byłam też pewna, czy chcę mieszkać w miejscu, w którym nie toleruje się żadnych wybryków, ale w tej chwili nie miałam wyjścia. Odebrałam swój bagaż i poszłam. W mieście panował gwar. W innej sytuacji chętnie bym przystanęła, by pooglądać piękne powozy i tramwaje, które raz po raz się mijały. Ale bolały mnie nogi i marzyłam, by usiąść gdzieś na chwilę i odpocząć.

Po przeciwnej stronie ulicy zauważyłam jakieś zbiegowisko. Tłum gapiów gromadził się na chodniku. Obok, przed budynkiem, który okazał się ślicznym kościółkiem wciśniętym pomiędzy wielkie domy, stały w rzędzie eleganckie powozy i auta. Ciekawość wzięła górę. Z kościoła wyszła właśnie młoda para i razem z gośćmi przystanęła na schodach. Panna młoda miała na głowie imponujący biały kapelusz z eleganckim welonem, przyozdobiony wielkimi piórami. Przystojny pan młody był w mundurze. Obok stały dwie śliczne małe druhnny w białych futerkach, dalej eleganckie damy w futrzanych płaszczach i dostojni panowie w kapeluszach. Z kieszeni w kamizelkach panów zwisały złote łańcuszki.

Przez chwilę stałam tam rozmarzona, wyobrażając sobie, że to ja jestem panną młodą. Dziwne, ale pan młody z daleka przypominał Daniela Sullivana.

Usłyszałam, jak ktoś mówi: „To zaszczyt, pani Vanderbilt”, a ktoś inny woła: „Proszę się nie ruszać, szanowni państwo!” Potem był błysk i zapach siarki. A jeszcze później zauważyłam fotografa.

- Pan Levy?

Nie spojrzał nawet.

- Chwileczkę, kochanie. Odsuń się, proszę.

Znowu pstryk i błysk. W powietrzu uniósł się dym. Kiedy zniknął, fotograf popatrzył na mnie zadowolony.

- To będzie dobre ujęcie. Cała grupa razem. „Weekly Illustrated” na pewno porządnie mi za nie zapłaci. O co chodzi?

- Parę dni temu robił pan zdjęcia na Ellis Island.

Zamrugnął oczami.

- Poznają panią. To pani śliczna córeczka nie chciała się uśmiechnąć do burmistrza. - Miał lekki obcy akcent, ale jego angielski był wytworny. Wytwornie też wyglądał: ciemny garnitur, biały kołnierzyk, wypolerowane buty. Wydaje się, że w swoim kraju musiał być kimś ważnym.

- Tak, to ja. Ma pan dobrą pamięć.

- Proszę posłuchać, kochana. W moim zawodzie trzeba mieć pamięć pojemną niczym szuflada. Jak mogę pomóc? Wiem, proszę nie mówić! Chciałaby pani jedno z tych zdjęć w prezencie, prawda?

- Pragnęłabym je zobaczyć - odparłam. - Nie mogę jednak w tej chwili pozwolić sobie na ich kupno. Zastanawiam się również, czy zrobił pan zdjęcie, na którym są wszyscy goście burmistrza?

- Tak, zrobiłem. Jeszcze mi za nie nie zapłacił.

- Czy mogłabym zobaczyć również to zdjęcie? Podobno dla burmistrza pracuje teraz mój daleki krewny. Ciekawa jestem, czy znajdę go na zdjęciu.

Skrzywiłam się. Kłamstwa przychodziły mi coraz łatwiej. Gdybym zginęła teraz pod kołami tramwaju, poszłabym prosto do piekła. Nie zdążyłabym się przecież wypowiedzieć.

- Proszę przyjść do mojej pracowni. Będę tam przed zmrokiem. Wie pani, gdzie mnie znaleźć?

- Byłam już u pana dzisiaj rano. W takim razie przyjdę koło piątej, dobrze?

Wyciągnął rękę, chwycił moją dłoń, zrobił gest, jakby chciał ją pocałować, potem się rozmyślił i tylko ją poklepał.

- Będę na panią czekał.

Zaraz potem znalazłam pensjonat dla kobiet. Mieścił się w surowym budynku z ciemnego kamienia. Był usytuowany na rogu ulic, tak że wiatr od oceanu owiewał go z każdej strony. Kobieta w recepcji przez dobrą minutę taksowała mnie wzrokiem, zanim zdecydowała, czy może mnie przyjąć.

- Nie znalazła pani jeszcze pracy? - spytała.

- Dopiero co przyjechałam. Nie mogę szukać pracy, nie mając gdzie mieszkać - odparłam. - Przez pierwsze dni nocowałam u przyjaciół, ale tam jest bardzo tłoczno i nie sposób porządnie się umyć.

Pokiwała głową, jakby ta odpowiedź ją usatysfakcjonowała.

- Dobrze. Bierzemy dolara tygodniowo. Wliczamy w to śniadanie i wieczorny wspólny posiłek, na który należy się stawiać punktualnie o szóstej wieczorem. Śniadanie serwujemy o siódmej rano. W ciągu dnia nie wolno przebywać w budynku. To czas

przeznaczony na szukanie pracy. Pensjonat jest zamykany na noc o dziewiątej. I żadnych gości płci męskiej. Czy to jasne?

- Tak, proszę pani. - Skinęłam głową w sposób, który wydał mi się bardzo skromny.

- To świetnie. Zaprowadzę panią do pokoju. Mam nadzieję, że będzie się pani u nas dobrze czuła.

Cudownie było znaleźć się w miejscu z czystą pościelą, ciepłą wodą w łazience i lustrem, w którym mogłam się przejrzeć i uczesać. Zrobiłam to, mimo iż na ścianach wisiały kartki z ostrzeżeniem, że próżność to ciężki grzech. Wygładziłam ubranie, uprałam bieliznę, a kiedy znów wyszłam na ulicę, poczułam się prawie jak człowiek. Zajrzałam tu i ówdzie w poszukiwaniu pracy, ale bez rezultatu. Postanowiłam, że rano, niestety, będę musiała udać się na targ rybny.

Kiedy byłam w drodze do studia pana Levy'ego, przyszedł mi do głowy szalony pomysł. Zapytam, czy nie potrzebuje asystentki! Jestem przecież szybka i dobrze pracuję. Pan Levy wydał mi się sympatyczny. Mogłabym również nauczyć się robić zdjęcia, a pewnego dnia, być może, założyć własne studio.

Na Hester Street dotarłam, gdy zrobiło się ciemno. Było też zimno i zaczęło padać. W ciągu ostatnich kilku dni pokonałam taki dystans, że równie dobrze mogłabym przejść całą Irlandię - wzdłuż i wszerz.

Przez żaluzje nie widziałam światła, ale drzwi do studia były lekko uchylone. Pomyślałam, że pan Levy pewnie pracuje na tyłach budynku, wywołując zdjęcia, które dziś zrobił. Pchnęłam drzwi i weszłam do środka.

- Panie Levy? Jest pan tutaj? To ja, Molly Murphy, przyszłam obejrzeć fotografie.

Dało się wyczuć ostry zapach chemikaliów. Zdołałam przejść zaledwie parę kroków, kiedy moja noga czegoś dotknęła. Po chwili zdałam sobie sprawę, że to aparat fotograficzny.

Coś było nie tak. Pan Levy nie zostawiłby swojego cennego aparatu na podłodze. Przecież ktoś mógłby go zniszczyć. Otworzyłam szerzej drzwi, by wpuścić jak najwięcej światła z lampy gazowej, która znajdowała się na zewnątrz. W pomieszczeniu panował straszny bałagan. Wszędzie walały się papiery, z roztraskanych butelek wylała się zawartość, plamiąc wszystko dokoła. Zza biurka wystawał jakiś ciemny kształt. Starając się omijać szkło i śmieci, podeszłam ostrożnie, by sprawdzić, co to jest. Zobaczyłam czyjaś nogę.

- Panie Levy! - Przykucnęłam obok. - Nic panu nie jest?

W tym momencie usłyszałam kroki. Ktoś wszedł przez frontowe drzwi. Wycofałam się za biurko, wstrzymując oddech. Zastanawiałam się, czy wołać o pomoc, czy raczej pozostać w ukryciu. Ktoś zapalił latarkę, a jej światło najpierw ukazało bałagan w pokoju,

a potem skierowało się na mnie. Właściciel latarki podszedł bliżej.

- Co się tutaj dzieje? - zapytał Daniel Sullivan.

18

- Danielu! Kapitanie Sullivan! - zawołałam. - Dzięki Bogu, że to pan. Skąd pan wiedział, że tutaj będę?

- Przeczytałem liścik, który pani zostawiła na posterunku - odparł. - Co to wszystko ma znaczyć?

- Szybko! Niech pan podejdzie!

Kiedy szedł w moją stronę, pod jego nogami zachrzącało rozdeptywane szkło. Latarka świeciła mi prosto w oczy, musiałam zasłonić je ręką.

Przyklęknął obok.

- Chyba nie żyje - powiedziałam. - Nie mogę go podnieść i...

Światło padło teraz na dłoń, którą osłaniałam twarz. Opuszczając ją, zobaczyłam, że cała jest we krwi.

- Nic pani nie jest? - zapytał ostro.

- Mnie? Nie, nic. Właśnie tu weszłam. Drzwi były otwarte, pan Levy nie odpowiadał.

Daniel wstał.

- Briggs, O'Hallaran, do środka! Briggs, pędem na posterunek. Powiedz sierżantowi O'Neilowi, że mamy morderstwo. Niech nam przyśle posiłki. Ty, O'Hallaran, sprawdź, czy można włączyć światło, a potem pilnuj gapiów.

Wstałam. Było mi zimno, czułam dreszcze. Już chciałam poklepać się po plecach dla rozgrzewki, kiedy przypomniałam sobie krew na rękach. Usłyszeliśmy syk, potem pstryk i na ścianie rozbłysnął kinkiet gazowy. Jego światło było wystarczająco jasne, byśmy mogli ujrzeć panujący w pomieszczeniu bałagan. Zobaczyliśmy też ciało - zastygłe w przerażeniu otwarte oczy i ciemną plamę na środku marynarki.

- Jest pan pewien, że już za późno? Nie żyje, tak?

Daniel przyglądał mi się uważnie.

- Nie żyje. Morderca o to zadbał.

- Szkoda - powiedziałam. - Pan Levy był taki sympatyczny.

Wyjął notes.

- A teraz, jeśli pani pozwoli, proszę powiedzieć mi dokładnie, co pani robiła w tym ciemnym pokoju, za biurkiem, obok ciała ofiary.

- Spotkałam go dziś po południu. Zaprosił mnie do studia. Powiedział, że będzie tu zaraz po zmroku. - Szybko wyrzucałam z siebie potok słów. - Drzwi były otwarte, ale w środku panowała ciemność. Pomyślałam, że pan Levy jest na tyłach budynku, zajęty

wywoływaniem zdjęć. Zawołałam, a zaraz potem o coś się potknęłam.

Wskazałam na aparat.

- Tak po prostu nie zostawiłby go na podłodze. To jego narzędzie pracy. Od razu wiedziałam, że coś musiało się wydarzyć.

- Dlaczego nie zapaliła pani światła?

- Nie mogłam znaleźć włącznika - wyjąkałam. - Nie przyzwyczyłam się jeszcze do tych wszystkich wynalazków. W domu mieliśmy tylko lampy oliwne i świece.

- Więc poszła pani dalej po omacku?

- Otworzyłam drzwi na tyle szeroko, że do środka dostało się trochę światła. I zobaczyłam ten bałagan. A potem nogę wystającą zza biurka. Podeszłam i tam go znalazłam.

- I nawet wtedy, kiedy zobaczyła pani, że ktoś leży na podłodze, nie bała się pani dalej iść po ciemku? - zapytał z niedowierzaniem. - Albo jest pani bardzo odważna, albo bardzo głupia. Sam nie wiem, co wybrać. Nie przyszło pani do głowy, że może wejść prosto na zabójcę, który wciąż ukrywa się w ciemności?

- W takim razie chyba jestem głupia. Nie. To nie przyszło mi do głowy. Myślałam tylko o tym, by porozmawiać z panem Levym i sprawdzić, kto jest na zdjęciach. Przyszło mi do głowy, że może nagle zasłabł i dlatego upuścił swoje rzeczy na podłogę.

Daniel Sullivan patrzył na mnie zimnym wzrokiem.

- To niesłychane, że ludzie giną dokładnie wtedy, kiedy pani jest w pobliżu. A jednak pani nie ma z tym nic wspólnego...

- Chwileczkę. - Złość wzięła górę nad strachem. - Chyba nie chce mi pan powiedzieć, że mogłabym brać udział w zamordowaniu tego biednego człowieka?

- Szkoda, że nie mogę zajrzeć pani do głowy - westchnął. - Nie chciałbym myśleć, że mnie pani okłamuje, ale musi pani przyznać, że to wszystko nie wygląda dobrze. Przychodzę tu, a pani cała we krwi, obok trup...

- Przecież przed chwilą wszystko wytłumaczyłam - zaprotestowałam. - I dlaczego, na Boga, miałoby mi zależeć na jego śmierci? Chciałam z nim porozmawiać, mógł pomóc uwolnić Michaela. Powiedział mi, że ma zdjęcie burmistrza i jego gości. Miał mi je pokazać.

- Uściślijmy! W jaki konkretnie sposób to zdjęcie miało pani pomóc?

- Mógł być na nim prawdziwy zabójca, to oczywiste - odparłam.

- Prawdziwy zabójca?

- Wyobraźmy sobie, że ktoś z gości burmistrza zobaczył O'Malleya i stwierdził, że nie można dopuścić do jego zejścia na ląd. Ten człowiek zdecydował się na wielkie ryzyko: nie

wrócił z innymi, pożyczył mundur i czapkę strażnika, wślizgnął się do sypialni i w nocy dokonał morderstwa.

Wskazałam na ciało Levy'ego.

- To jest dowód na to, że mogę mieć rację. Ktoś się dowiedział, że weszliśmy. Wcześniej nie pomyślał o zdjęciach, ale teraz musiał je zabrać, zanim dostaną się w moje ręce.

Daniel nie spuszczał ze mnie wzroku.

- W takim razie pani też jest w niebezpieczeństwie. Staje pani na drodze bardzo groźnemu przestępcy. Bawi panią kuszenie śmierci? Co mam powiedzieć, żeby raz na zawsze przestała pani wchodzić w kompetencje policji?

- Próbuję tylko pomóc Michaelowi - wyjaśniłam. - Zależy mi na tym, by dostrzegł pan prawdę, której nie chce pan widzieć.

- Nie zobaczę jej, bo przez swoją nieroztropność zniszczyła pani właśnie wszystkie ślady. To, co mogliśmy tu znaleźć, zostało zdeptane.

- Nie tylko ja zniszczyłam ślady. Pan też był nieroztropny. Słyszałam, jak depcze pan po szkle.

Popatrzył na mnie przez dłuższą chwilę, potem pokręcił głową.

- I co ja z panią pocznę? Rozumie pani chyba, że musimy pojechać na posterunek, gdzie złoży pani zeznania? A co na to wszystko rodzina? Całymi dniami bawi się pani w detektywa! To chyba nie jest odpowiednie zajęcie dla mężatki?

Właśnie zdałam sobie sprawę z jednej rzeczy. Wyrzucą mnie z pensjonatu Towarzystwa Biblijnego, jeśli nie zjawię się na wspólnej kolacji i modlitwie. Nie mogę sobie pozwolić na to, by tracić cenny czas na szukanie innego noclegu. Tak więc zrobiłam coś, co w takiej sytuacji zrobiłaby każda dama. Zemdlałam.

Patrząc wstecz, nie sędzę, bym udawała to omdlenie. Było raczej spowodowane szokiem i niedożywieniem. Chyba naprawdę straciłam przytomność. Kiedy się ocknęłam, siedziałam na krześle, z głową między kolanami, przyciskaną do dołu czyjąś silną ręką. Pomyślałam, że to zabójca mnie dorwał, i zaczęłam się gwałtownie podnosić.

- Spokojnie, pani O'Connor. Wszystko będzie dobrze - usłyszałam głos Daniela Sullivana, co oznaczało, że ręka na moim karku też należała do niego. Pomógł mi się wyprostować do pozycji siedzącej.

- Już w porządku?

Skinęłam głową.

- Chyba tak.

- To musiał być dla pani wielki szok. - Patrzył na mnie z tą samą czułością w oczach, którą zaobserwowałam podczas ostatniej wizyty na posterunku. - Proszę posłuchać, zabraniam pani działać w ten sposób. Żadnego śledztwa bez wcześniejszej rozmowy ze mną. Czy to jasne? Inaczej panią zamknę, bo jest pani niebezpieczna dla samej siebie. Teraz poproszę jednego z policjantów, by zawiózł panią do domu i porozmawiał otwarcie z pani mężem. Może kiedy mu powie, że jego żona włóczy się samotnie po nieznanym mieście, on sam zmusi panią do ostrożnego zachowania i zatrzyma w domu, przy dzieciach, tam gdzie jej miejsce.

Teraz się wszystko wyda. Nuala puści parę z ust. Mają już mój adres. Żadne porządne kłamstwo nie przychodziło mi do głowy. Szczerze mówiąc, marzyłam tylko o tym, by znaleźć się w ciepłym i bezpiecznym miejscu, zwinąć w kłębek i zasnąć.

- W porządku - powiedziałam. - Proszę mi wierzyć, najadłam się strachu. I naprawdę sama się o to wszystko nie prosiłam, powtarzam raz jeszcze. Po prostu tak wyszło. Wrócę do domu i nie będę się włóczyć. Pan i tak ma wystarczająco dużo pracy. Trzeba się dowiedzieć, kto był na zdjęciu z burmistrzem. I kto nie wrócił z pozostałymi na ląd. A potem porównać jego odciski palców z tymi, które ktoś zostawił tutaj.

- I znów mi pani mówi, jak powinienem wykonywać swoją pracę - skarcił mnie, ale tym razem z uśmiechem na twarzy. - Boję się, że jest za późno. Ślady zostały zatarte. A jeśli było rzeczywiście jakieś zdjęcie, zabójca położył na nim łapę.

Na miejsce zbrodni wkroczyli inni policjanci. Przed domem zgromadził się tłum i słychać było złowrogie głosy.

- Widziałem ją niedawno! - słyszałam, jak mówi ktoś z tłumu. - Kręciła się po targu przy Hester Street.

- A dzisiaj rano wypytywała o tego biedaka, pana Levy'ego - dodał ktoś inny.

Daniel spojrzał na mnie zdziwiony.

- Ma pani szczęście, że tu jestem, prawda? W ich oczach jest pani podejrzaną numer jeden. Mogą panią zlinczować. - Podał mi rękę i pomógł wstać.

- Chodźmy. Posterunkowy zawiezie panią do domu. Cherry Street, tak?

- Kapitanie Sullivan. - Zaczerpnęłam głęboko powietrza. - Proszę posłuchać. Ja tam już nie mieszkam. Musiałam... Musiałam się wyprowadzić. Teraz mieszkam w pensjonacie dla kobiet przy Battery Park.

Przysunął się do mnie, tak by inni nie mogli nas usłyszeć.

- Co się stało?

- Cóż, nie układa się dobrze w moim małżeństwie...

Pokiwał ze zrozumieniem głową.

- Po długim rozstaniu nie zawsze jest łatwo. Ludzie się zmieniają. Znam podobne historie.

Uśmiechnęłam się lekko, w zadumie. Pomyślałam, że tym razem lepiej nic więcej nie mówić.

- A co z dziećmi? Czy są z panią?

- Na razie zostały z rodziną męża. Tak będzie im lepiej, dopóki nie znajdę pracy i mieszkania.

Kłamstwa stawały się coraz głębsze. Molly, przestań, zanim będzie za późno!

- Więc co pani teraz zrobi?

- Poszukam pracy. Zajmę się swoim życiem. Zobaczą, jak się sprawy potoczą.

- Swoim życiem? Sama?

Był zaskoczony. Dotarło do mnie, że niełatwo będzie się uwolnić od zmyślnego męża. Ludzie pogardzają kobietami, które zostawiają swoją rodzinę. Uważają je za ladacznice. Powinnam coś zmienić w tej historii.

- Dobrze, powiem panu prawdę. Odkryłam, że mój mąż związał się z inną kobietą. Tak więc im prędzej znajdę dla siebie i dla dzieci odpowiednie mieszkanie, tym lepiej.

Pokiwał głową. Udawał współczującego i smutnego, ale tak naprawdę chciał się uśmiechnąć. Trudno mi nawet powiedzieć, jak bardzo mnie to podniosło na duchu.

- Sam chciałbym panią odprowadzić do domu - oznajmił. - Ale mam tu mnóstwo pracy.

- Nie trzeba. Będę rozsądna i od razu udam się do pensjonatu. Obiecuję.

Uśmiechnął się.

- Muszę mieć pewność. Poruczniku, proszę odwiedzić panią O'Connor. Mieszka u pań z Towarzystwa Biblijnego. Tam z pewnością nic jej się nie przydarzy.

Idąc do drzwi, spojrzałam za siebie. Zauważyłam, że odprowadza mnie wzrokiem.

Porucznik utorował mi drogę przez tłum. Ludzie gapili się na mnie i krzyczeli. Ktoś splunął mi na nogę.

- Nic złego nie zrobiłam - zaczęłam się tłumaczyć, ale porucznik mocno chwycił moje ramię i odciągnął mnie na bok.

- Chodźmy, proszę pani. Lepiej z nimi teraz nie rozmawiać. Są zbyt wzburzeni.

Powiodł mnie bocznymi uliczkami i alejkami. W końcu doszliśmy do miejsca, w którym zobaczyłam migoczące światła i zorientowałam się, gdzie jesteśmy.

- To Bowery, prawda? - spytałam. - Proszę posłuchać, nie musi pan ze mną iść do

samego końca. Teraz już jestem bezpieczna. - Wyobraziłam sobie minę recepcjonistki, kiedy zobaczy, że przyszedłam z policjantem. Z pewnością uzna mnie za pijaczkę i ladacnicę.

- Kapitan powiedział, że mam odprowadzić panią na miejsce - nalegał porucznik.

- Przecież to tylko parę kroków stąd, prawda? A co niby może mi się stać w takim tłumie?

Nie wyglądał na przekonanego.

- Proszę posłuchać, poruczniku. Zatrzymałam się u pań z Towarzystwa Biblijnego. Obawiam się, że nie będą o mnie najlepszego zdania, jeśli pierwszego wieczoru wrócę do domu w towarzystwie policjanta.

Uśmiechnął się.

- No tak, rozumiem. Dobrze. Rzeczywiście niewiele się może stać na tak krótkim odcinku. A jeśli coś panią zaniepokoi, na ulicy nie brakuje naszych patroli. Tu jest mnóstwo barów irlandzkich i włoskich tawern, a kiedy się pokłóca... - Dotknął ręką kasku. - W takim razie żegnam. Dobranoc.

- Dziękuję, poruczniku. Bardzo jestem panu wdzięczna.

Poszedł na prawo, a ja skierowałam się w lewą stronę, do Bowery. O tej porze dnia ulica była szczególnie ruchliwa. Z powozów wysiadali ludzie, spiesząc do tawern lub teatrów. Ze sklepów wychodzili klienci z koszami pełnymi zakupów. Wokół panował przyjemny, wesoły nastrój. Szłam pospiesznie między ludźmi, od czasu do czasu podziwiając co ładniejszy kapelusik. Któregoś dnia swój ozdobię strusim piórem.

Mówi się, że Celtowie są obdarzeni szóstym zmysłem. Nigdy nie brałam tego na serio, ale od jakiegoś czasu stałam się bardziej uważna i czujna. Zatrzymałam się i obróciłam. Wesoły tłum zawirował. Poczulałam mrowienie na plecach. Nie wiem jak i dlaczego, ale nagle to wiedziałam: mój szósty zmysł podpowiadał mi, że jestem śledzona.

Jeszcze raz spojrzałam za siebie. Nie zauważyłam niczego niepokojącego - nie rozpoznałam w tłumie nikogo. Mimo to dziwne uczucie mnie nie opuszczało. Byłam pewna, że ktoś za mną idzie. Przyspieszyłam kroku, lecz wrażenie nie zniknęło. Ten ktoś również przyspieszył. Nie widziałam go, bo gdy tylko się odwracałam, mógł chować się w tłumie, wchodzić do sklepu lub kryć się pod jego zadaszeniem. Nie mogłam sobie przypomnieć, czy cała droga do pensjonatu jest oświetlona i pełna ludzi. Jeśli tak - byłam bezpieczna. Ale jeśli jest na niej ciemny i niezaludniony odcinek, znalazłam się w prawdziwych tarapatach. Niepotrzebnie odesłałam porucznika. Daniel Sullivan wiedział, co robi, bo zna miasto lepiej niż ja i słusznie obawia się o moje bezpieczeństwo.

Nie należy jednak wpadać w panikę. Porucznik powiedział, że są tu patrole policyjne.

Podejdę do najbliższego funkcjonariusza i poproszę, by odprowadził mnie do domu. Ale czy na pewno jest to dobry pomysł? Jeśli ten, kto zamordował O'Malleya i Levy'ego, nie wie, gdzie mieszkam - po co mu pokazywać? Żeby zaczekał na dobry moment? Nadejdzie chwila, gdy wyjdę na ulicę sama i bezbronna, a wtedy uderzy. Jednak muszę go jakoś zgubić.

Podniosłam spódnicę i zaczęłam biec, potrącając przechodniów. Potem wpadłam do najbliższego sklepu. Okazał się jatką. W oknie wisiały wielkie ochłapy, a podłogę pokrywała gruba warstwa kurzu.

Widok krwi i zapach surowego mięsa sprawiły, że znów poczułam się słabo. Oblał mnie zimny pot. Chwyciłam się krawędzi szklanej witryny, mając nadzieję, że tym razem nie zemdleję. Aż do dziś podejrzewałam, że młode kobiety mdleją tylko wtedy, kiedy jest to dla nich wygodne. Teraz już wiedziałam, że to nieprawda. Ach, jaka byłam niesprawiedliwa!

- Czym mogę służyć? - zapytał człowiek za ladą.

Wyprostowałam się z wysiłkiem.

- Jeszcze się zastanawiam. Dziękuję - odparłam i udałam, że przyglądam się różnym kawałkom mięsa, ale jednym okiem wciąż obserwowałam ulicę.

Rzeźnik niecierpliwie bębnił palcami po blacie.

- Poproszę jedną taką - wskazałam na najmniejsze kielbaski w sklepie, leżące na samym końcu.

- Jedną? Jedną kielbaskę?

- Tak powiedziałam. Proszę o jedną kielbaskę - odparłam bojowo. - A może zna pan przepis, który mówi, że kielbaski sprzedaje się tylko po dwie?

- Nie, proszę pani! - Z impetem odciął jedną ze sznurka, a następnie zawinął w gazetę.
- Dwa centy.

Zamarłam, pochylając się, by wyjąć pieniądze. Za oknem mignął mi właśnie „Rozbójnik” Boyle. Ale nie zajrzał do sklepu. Zapłaciłam, chwyciłam kielbaskę i pospieszyłam do wyjścia. Zobaczyłam jeszcze tył jego głowy. Nie miał na sobie munduru, tylko elegancki garnitur i kapelusz. Szedł szybko, cały czas się rozglądając. Czyżby mnie szukał? Nie spuszczę go z oczu! Wmieszałam się w tłum. Przeszedł na drugą stronę ulicy. Omijając tramwaje i powozy, podążyłam za nim. Po chwili zniknął w drzwiach sklepu z zaciemnioną witryną. Nad wejściem wisiały trzy złote kule. Nawet ja, osoba ze wsi, wiedziałam, że jest to znak rozpoznawczy miejsca, w którym zastawia się drogocenne przedmioty. Stałam pod markizą sklepu rybnego, który znajdował się tuż obok, i udawałam, że patrzę na węgorze.

Parę minut później Boyle wyszedł od lichwiarza.

- Niezbyt świeże - powiedziałam do właściciela sklepu i wznowiłam obserwację.

Boyle tymczasem wrócił na drugą stronę ulicy i skierował się do teatru Irish Variety, który wcześniej mijaliśmy. Widziałam jeszcze, jak kupuje bilet i wchodzi na salę. Czy naprawdę zamierzał spędzić wieczór, oglądając siostry tańczące w drewniakach? Słuchając mężczyzn, którzy byli dumą starej Irlandii? A może tylko udawał? Czy dostrzegł mnie u rzeźnika? Równie dobrze mógł teraz opuszczać teatr tylnym wyjściem. Patrzyłam i czekałam. Minuty mijały, ale się nie pojawiał.

Rozsądek podpowiadał, by udać się prosto do pensjonatu. Bardzo jednak chciałam się dowiedzieć, co „Rozbójnik” Boyle robił u lichwiarza. Znów przeszłam przez ulicę i pchnęłam drzwi do sklepu. Rozległ się dzwonek i z zaplecza wyszedł starszy mężczyzna.

- Dobry wieczór - powiedziałam. - Szukam jakiejś ładnej rzeczy dla młodszej siostry. Kończy dwadzieścia jeden lat. Nie mam dużo pieniędzy. Chciałabym jej kupić coś oryginalnego.

Uśmiechnął się, pokazując bezzębne dziąsła.

- Właśnie dostałem bardzo piękne precjoza - powiedział. - Jeszcze nie zdążyłem ich wycenić, ale proszę wybierać i zaproponować uczciwą cenę.

Przyniósł z zaplecza tacę wyłożoną aksamitem. Leżały na niej same śliczne przedmioty - broszki, klipsy, perły oraz coś, co szczególnie zwróciło moją uwagę - łańcuszek na mufkę zrobiony z ametystowych koralików. Taki sam widziałam parę dni temu na szyi niemieckiej dziewczynki, która czekała w kolejce na Ellis Island.

Następnego ranka, kiedy skończyłyśmy czytać Biblię i razem ze współlokatorkami zbiegałam po schodach na śniadanie, doszły mnie z recepcji podniesione głosy.

- Przykro mi. Już panu powiedziałam. Nie mieszka u nas żadna Kathleen O'Connor.

Zerknęłam w dół. Stał tam wysoki policjant. Był to ten sam porucznik, który odprowadzał mnie wczoraj do pensjonatu. Kiedy na niego patrzyłam, akurat podniósł wzrok.

- Tam jest - oznajmił głośno i bardzo wyraźnie. - To ona, ta z rudymi włosami.

Wszystkie głowy odwróciły się w moim kierunku. Ominęłam stojące na schodach kobiety i zbiegłam do niego, zanim zdążył powiedzieć coś, co mogłoby być dla mnie jeszcze bardziej kłopotliwe. Dlaczego byłam tak nierozsądna, by zameldować się tutaj pod własnym nazwiskiem? Chyba dlatego, że w pensjonacie przyjmowano tylko kobiety niezamężne. Poza tym miałam już dość udawania, że jestem Kathleen O'Connor.

- Przepraszam, poruczniku - odezwałam się szeptem, tak żeby pani z Towarzystwa Biblijnego nie usłyszała. - Mieszkam tu pod innym nazwiskiem. Tak na wszelki wypadek. Gdyby ktoś mnie śledził.

Pokiwał głową.

- Rozumiem, proszę pani. Rozsądnie pani postąpiła. Bardzo mi przykro, że niepokoję tak wcześnie, ale kapitan Sullivan chce natychmiast panią zobaczyć.

Nie znałam innego powodu, dla którego tak chętnie opuściłabym śniadanie.

- Dobrze, tylko coś narzucę - odparłam.

Kiedy znów schodziłam na dół, porucznik czekał już na zewnątrz. Wyjście zasłaniał mi jednak babon z Towarzystwa Biblijnego.

- To jest porządne miejsce, panno Murphy. Nie wiem, co pani zrobiła, ale musi pani wiedzieć, że ktoś, kto zadarł z prawem, nie jest tu mile widziany.

- Nie zadarłam z prawem - odparłam dumnie. - Wczoraj byłam świadkiem zbrodni. Porucznik prosi, bym poszła z nim na posterunek i złożyła zeznanie.

- Tak więc ma pani na nazwisko Murphy czy O'Connor? Kłamstwo to narzędzie diabła. Wie pani o tym?

Odpowiedź na to pytanie przemyślałam w drodze na dół.

- Murphy to moje nazwisko panięskie - wyjaśniłam. - Wróciłam do niego, kiedy po przyjeździe tutaj dowiedziałam się, że mój mąż związał się z inną kobietą.

Jej współczujące spojrzenie wywołało we mnie poczucie winy. Okłamanie osoby należącej do Towarzystwa Biblijnego jest chyba równoznaczne z popełnieniem jednego

z siedmiu grzechów głównych.

- Rozumiem. - Poglądziła nieśmiało moją rękę.

- Muszę już iść. Policjant czeka.

Wysłałam szybko. Policzki mi płonęły. Tym razem pojechaliśmy powozem. Ucieszyłam się, że babsztyl nie zobaczy, jak wsiadam do policyjnej furgonetki.

Daniel Sullivan, z podwiniętymi rękawami koszuli, czekał przy biurku; kołnierzyk miał rozpięty, podobnie kamizelkę. Był nieogolony i bardzo mizerny.

- Strasznie pan wygląda! - krzyknęłam. - W ogóle pan nie spał?

Posłał mi zmęczony uśmiech.

- Dziękuję za komplement. Nie śpię, kiedy rozwiązuję sprawę.

Podniósł się i podał mi krzesło.

- A odkąd poznałem panią, cały czas rozwiązuję sprawę.

- Proszę mnie za wszystko nie winić. Mnie cała ta sytuacja też nie bawi. - Rozłożyłam spódnice i starałam się siedzieć jak dama. - Jestem w Nowym Jorku od czterech dni i codziennie mam do czynienia z trupami i policją - dodałam. - Chciałabym się zająć własnym życiem.

Znów się uśmiechnął.

- Przykro mi - rzekł. - Jestem pewien, że ma pani teraz mnóstwo spraw na głowie. To niełatwy okres w pani życiu.

Już chciałam powiedzieć, że w sumie nie jest najgorzej, ale musiałam się powstrzymać przed flirtowaniem z policjantem. Przecież oficjalnie wciąż jestem kobietą zamężną, na dodatek tylko o włos od wyroku.

Wyglądził stos dokumentów, który leżał przed nim na biurku.

- Proszę posłuchać. Przepraszam, że wezwałem panią tak wcześnie, ale chciałem od razu wziąć się do pracy. Przemyślałem wszystko to, co usłyszałem od pani wczoraj wieczorem, i muszę przyznać, że pani wersja ma sens.

Starałam się nie uśmiechnąć. Pochyliłam się i spojrzałam na dłoń.

- Któż mógłby mieć więcej do stracenia niż prominentny obywatel Nowego Jorku? - ciągnął. - Poprosiłem więc swoich ludzi, by dokładnie przeszukali studio, i okazało się, że mamy szczęście. Levy był fotografem starej daty. Nie używał celulooidu, tylko szklanych negatywów. Dzięki temu znaleźliśmy niezniszczoną płytkę, na której są goście burmistrza. Wywołaliśmy zdjęcie. Chciałbym, żeby pani na nie zerknęła.

Położył zdjęcie na biurku. Pochyliłam się nisko, ale świadomość, że głowa kapitana jest tak blisko mojej, przeszkadzała mi się skupić. Patrzyłam na damy i dżentelmenów

stojących w dwóch rzędach. Wszyscy wyglądali na bardzo z siebie zadowolonych. Pośrodku grupy rozpoznałam burmistrza. Otaczała go grupa artystów; gwiazda włoskiej opery zajmowała na zdjęciu sporo miejsca. Ale w ostatnim rzędzie, na samym końcu...

- To on! - Podekscytowana uderzyłam palcem w fotografię. - Ten mężczyzna po prawej, w ostatnim rzędzie. Jestem prawie pewna, że to on. Te same krzaczaste wąsy i wielki brzuch.

Daniel Sullivan roześmiał się nerwowo.

- Nie sądzę, żeby tym razem miała pani rację. To radny McCormack. Gruba ryba w Tammany Hall.

- A więc Irlandczycy pewnie uwielbiają go i szanują? - zapytałam. - Jeśli zatem to on wydał tych chłopców z Plumbridge, ma wiele do stracenia.

Daniel pokręcił głową

- Ależ nie rozumie pani. Kiedy mówię „gruba ryba”, to mam na myśli naprawdę grubą rybę. Ludzie tacy jak on nie mordują własnymi rękami. Tammany kontroluje połowę gangów w Nowym Jorku. McCormack bez problemu wynająłby bandę rzezimieszków. Zaczailiby się i zabili O'Malleya. Poczekaliby tylko, aż znajdzie się na lądzie.

- A jeśli O'Malley zdążyłby przed śmiercią wyjawić im prawdę? Wtedy każdego rozbójnika miałby po swojej stronie. - Zrobiłam pauzę, bo moją uwagę przykuło słowo „rozbójnik”, które właśnie wypowiedziałam. - Ale... moment. Może jednak się mylę co do McCormacka. Może moja pierwsza teoria była lepsza. Zapomniałam panu powiedzieć, co przytrafiło mi się wczoraj wieczorem. W Bowery widziałam Boyle'a, tego strażnika. Miałam wrażenie, że mnie śledzi. To zdecydowanie oszust. Okrada imigrantów z cennych przedmiotów, a potem sprzedaje je lichwiarzowi.

- Nie on jeden - powiedział Daniel, ale natychmiast zmienił temat. - Mówi pani, że była wczoraj śledzona? Ale przecież wysłałem z panią porucznika.

- Owszem. - Zarumieniłam się pod jego spojrzeniem. - Pomyślałam, że parę ostatnich kroków przejdę sama. Nie chciałam, żeby panie w pensjonacie widziały, że odprowadza mnie policjant.

- A co by sobie te panie pomyślały, gdyby przyjechała pani w trumnie? - zapytał Sullivan.

- Nic się nie stało. Szybko go zgubiłam. Weszłam w tłum, a potem wstąpiłam do jatki. Stamtąd zobaczyłam, jak przechodzi za oknami. - Moje szare komórki znów zaczęły szybko pracować. - Zaraz, zaraz... Ale to też ma sens! Jedna z tych grubych ryb, jak ich pan nazywa, mogła opłacić Boyle'a, by został na wyspie na noc i dokonał morderstwa.

- Już mówiłem, że mamy zeznania pod przysięgą pozostałych strażników. Twierdzą, że wrócił z nimi na ląd. Uwierzę w to, że jest złodziejaskiem. Ale nie w to, że był w nocy na wyspie.

- W takim razie był to radny - zdecydowałam. - Są do siebie uderzająco podobni, a ja widziałam strażnika z dużymi wąsami, grubym brzuchem, mówiącego bardzo niskim głosem.

- Ale to nie może być on - upierał się Daniel. - To nie ma sensu. Jest tutaj, odkąd sięgam pamięcią, i z tego, co wiem, pochodzi z południowej Irlandii. Nie mieszkał w pobliżu Plumbridge.

Sullivan uniósł do ust kubek, wypił łyk, skrzywił się i odstawił go na stół.

- Zimna jak lód. Napije się pani kawy?

- Chętnie. Porucznik wyciągnął mnie z hotelu, zanim zdążyłam zjeść śniadanie. A wcześniej przez godzinę słuchałam Biblii.

- Tak to jest, kiedy człowiek zadaje się z protestantami.

Uśmiechnął się do mnie. Muszę przyznać, że miał czarujący uśmiech. Poprosił młodego policjanta, by przyniósł nam kawę i bułki. Kiedy policjant wyszedł, twarz Daniela znów stała się poważna. Pochylił się w moją stronę, jakby nie chciał, by ktokolwiek nas usłyszał.

- Jeśli to jednak radny - zaczął - nigdy nie będziemy w stanie tego udowodnić. On trzyma wszystkie sznurki w mieście, z tym, na którym ma policję, włącznie. Byłbym głupcem, gdybym tylko zaczął się nim interesować. Natychmiast znalazłbym się bez pracy. Pod warunkiem, że w ogóle udałoby mi się ująć z życiem. I to samo dotyczy pani. Jeśli miałaby pani zeznawać w sądzie, że to radny popełnił morderstwo, na pani miejscu już zamawiałbym sobie trumnę.

- A jeśli udałoby się potwierdzić, kim jest? - upierałam się. - Można by sprawdzić w Irlandii, jakie jest jego pochodzenie.

Młody policjant wrócił z naszym śniadaniem. Daniel napił się kawy i zamyślił.

- Mógłby się dowiedzieć, że węższę - ściszył głos. - Nie zdaje sobie pani sprawy z tego, że tu aż roi się od jego szpiegów. Policjanci go uwielbiają. To on załatwia im podwyżki i przymyka oko na wszystkie przekupstwa w mieście i łapówki. Daje im *carte blanche*. To znaczy...

- Wiem, co oznacza *carte blanche*. *Je parle français très bien*.

Znów popatrzył na mnie ze zdziwieniem.

- Interesująca z pani kobieta, pani O'Connor. Jak to możliwe, że ktoś z małej wioski na końcu świata otrzymał tak dobre wykształcenie? Irlandczycy, którzy tu przybywają, na

ogół potrafią się tylko podpisać. A i to nie zawsze.

- Pobierałam lekcje razem z pannami z wyższych sfer - wyjaśniłam. - Ich matka uważała, że warto inwestować w moje wykształcenie.

- Po czym to oceniła?

- Kiedy ich zarządca chciał podnieść moim rodzicom czynsz, powiedziałam mu, co o nim myślę. Uznała, że to zabawne.

- Ile miała pani wtedy lat?

- Z dziesięć...

- Więc już wówczas sprawiała pani kłopoty.

- Odkąd przyszłam na świat. Tak twierdziła moja matka.

- Nic dziwnego, że mąż nie mógł sobie z panią poradzić - zaśmiał się, ale natychmiast spoważniał. - Przepraszam, ta uwaga była nie na miejscu.

- Nie szkodzi. Pewnie to prawda.

- Wróci pani do niego?

Tak bardzo chciałam wyznać mu prawdę. Ale przecież wciąż trzymał w więzieniu Michaela Larkina. Był strażnikiem prawa.

- Nie wiem, co się wydarzy - odparłam.

- A on chce, by pani wróciła? Czy wciąż... Przepraszam, to nie moja sprawa. Nie mam prawa o to pytać.

Rozmowa stawała się niezręczna.

- Jeśli się pan pospieszy i rozwiąże tę sprawę, będę się zastanawiać, co zrobić ze swoim życiem - zauważyłam. - W tej chwili przypomina ono stąpanie po kruchym lodzie. Ale przynajmniej odnoszę wrażenie, że nie jestem już podejrzaną... - Przerwałam, bo uświadomiłam sobie coś jeszcze. - Michael też nie może już być głównym podejrzanym. Kiedy zamordowano biednego pana Levy'ego, przebywał w więzieniu. Czy teraz go pan wypuści?

- Kim on dla pani jest? - zapytał Daniel. - To przecież jeszcze dziecko. Chyba nie...

- Nikim więcej niż przyjacielem, zapewniam pana.

- Już go wypuściłem. Wczoraj wieczorem. Doszedłem do tego samego wniosku. Uważam, że o waszej wspólnej podróży tym samym statkiem zdecydował czysty przypadek.

- Dziękuję. - Odczułam wielką ulgę, tak jakby to mnie zwolniono właśnie z więzienia. W pewnym sensie tak było. - Nie wie pan przypadkiem, gdzie on teraz może być?

Daniel wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia. Podejrzewam, że noc spędził w schronisku policyjnym. Mamy

takie specjalne miejsce zaraz obok Katakumb.

- Naprawdę? - Udawałam, że jestem zainteresowana dojadaniem bułki. Nie zamierzałam się przyznawać, że ja też spędziłam tam noc. - Spróbuję go odnaleźć. A poza tym muszę poszukać sobie pracy. Wie pan, jakie to trudne w tym mieście?

- Z takim wykształceniem powinna pani szukać pracy guwernantki. Chociaż może nie? To raczej praca z zamieszkaniem, dla bezdzietnych kobiet.

- Jest to jakaś myśl - stwierdziłam. - To i tak lepsze niż wszystko inne, co mi do tej pory proponowano.

Nie sprecyzowałam, że chodzi o patroszenie ryb i prostytutkę.

Daniel dopił kawę.

- Jeśli mogę wyrazić swoje zdanie, byłbym szczęśliwy, gdyby coś sobie pani znalazła. Najlepiej daleko stąd.

Ach! Odczułam to jak policzek. Nie chciał mnie widzieć. Najwidoczniej się naprzykrzałam. Ale on dokończył:

- Bo jest pani wciąż w niebezpieczeństwie. Chyba że oficjalnie ogłoszę zamknięcie sprawy z braku dowodów. Jeśli radny McCormack rzeczywiście jest w nią zamieszany, pewnie powinienem tak postąpić.

- Nie chciałabym, żeby komukolwiek morderstwo uszło na sucho - powiedziałam. - Będę przygotowana na atak. Nie można dopuścić, by morderca chodził sobie na wolności i zagrażał innym. Możliwe, że to on zdradził swoich przyjaciół w Irlandii. I pozwolił, by ich powieszono.

- Czasem moja praca nie jest przyjemna - odparł Daniel Sullivan. - Chciałbym działać, ale mam związane ręce. Dobrze, wyślę do Irlandii prośbę o sprawdzenie przeszłości radnego. Może to powstrzyma panią przed robieniem kolejnych głupstw.

- Proszę się nie obawiać. Teraz, kiedy Michael jest wolny, czuję, że odegrałam już swoją rolę. Zajmę się szukaniem pracy. - Wstałam i strzepnęłam okruchy z szala. - Proszę życzyć mi szczęścia.

- Życzę pani szczęścia z całego serca.

Lekko zbiegłam ze schodów.

Teraz miałam cel. Guwernantka to na początek całkiem niezły pomysł. Przynajmniej oznacza dach na głowę, jedzenie i mieszkanie z dala od Bowery. Na wypadek gdyby Boyle lub ktokolwiek inny chciał mnie jeszcze śledzić. Wróciłam do pensjonatu i zapytałam panie z Towarzystwa Biblijnego, jak należy się zabrać do poszukiwania pracy guwernantki. Od razu pospieszyły z pomocą. Guwernantka to zajęcie, które popierały. Cieszące się uznaniem

i odpowiednio skromne.

- Przy Park Avenue jest godna zaufania agencja chrześcijańska, która specjalizuje się w pośrednictwie pracy dla pomocy domowych. Niektóre z naszych najlepiej wykształconych pensjonariuszek znalazły dzięki niej dobrą posadę. Jeśli tam pani pójdzie, proszę włożyć czystą białą bluzkę. Są bardzo czuli na punkcie wyglądu. I oczywiście potrzebne będą referencje z Irlandii.

Zrobiłam, jak mówiły. Poszłam do sypialni i włożyłam jedyną białą bluzkę, jaką na szczęście ze sobą miałam. Odświeżyłam się, a następnie na ukradzionym z recepcji papierze nakreśliłam kilka słów pochwały na temat własnej osoby. Zdecydowałam też, że nie mogę do takiego biura przybyć zgrzana i zmęczona długim marszem, więc poświęciłam pięć centów na kolejkę. Jaki wspaniały miałam z niej widok na miasto! Po drodze zaglądałam w okna mieszkań. Ciekawie było patrzeć, jak najpierw mijamy przeludnione czyszówki, potem szerokie ulice ze szpalerami drzew, a na końcu parki i skwery oraz porządne budynki z brązowej cegły. Tak, jechałam do zamożnej części miasta. Kipiałam energią. Wkrótce dostanę dobrą pracę i będę mogła zacząć kolejny etap w życiu.

Biuro agencji znajdowało się wśród eleganckich sklepów z ubraniami i biur tuż przy Park Avenue. Urzędowała w nim kobieta w średnim wieku. Miała na sobie suknię z czarnego materiału; siwiejące włosy upięła w wysoki kok. Wyglądała trochę jak królowa Wiktoria na starych monetach. Całą swoją postacią zdawała się mówić: „Nas to nie bawi”^[8].

- Tak? Czym mogę służyć? - spytała szybko nieco manierycznym tonem, niekoniecznie udawanym. Lustrowała mnie przy tym wzrokiem od stóp do głów, dając do zrozumienia, że nie pasuję do tego miejsca. Zdawałam sobie sprawę, że moja spódnica ma plamy z podróży i że powinnam ją była uprać i uprasować, a szal nie jest pierwszej świeżości.

- Szukam posady - zaczęłam.

- Ach, tak?

- Posady guwernantki - powiedziałam stanowczo.

Teraz wyglądała na zdziwioną.

- Guwernantki? Nie sądzę...

- Właśnie przyjechałam - przerwałam. - Może mój wygląd pozostawia wiele do życzenia, ale mogę panią zapewnić, że odebrałam odpowiednie wykształcenie i mam dobrą rękę do dzieci. Dwójka maluchów przepłynęła Atlantyk pod moją opieką. To była moja ostatnia praca - dodałam dzięki nagłemu olśnieniu. W jej oczach dostrzegłam zainteresowanie. - Wykształcenie odbierałam wspólnie z pannami z wyższych sfer - ciągnęłam. - Znam łacinę i francuski, jestem czytana.

- Cóż, nie sądzę... - znów zaczęła, ale nie pozwoliłam jej dokończyć.

- I mam referencje - dodałam triumfalnie. - Od najlepszych rodzin. Najbardziej utytułowanych.

Zadziałało.

- Naprawdę? W takim razie może będziemy mogli pani pomóc. Proszę usiąść, panno...?

- Murphy. Molly Murphy.

- Miło mi panią poznać. Moje nazwisko Fortescue. Czy mogę obejrzeć referencje?

Podaliśmy jej. Przeczytała i z zadowoleniem pokiwała głową.

- Bardzo dobre - powiedziała.

Oczywiście, że były dobre. Pisząc je, starannie dobierałam słowa.

- Jestem pewna, że znajdziemy pani odpowiednie miejsce - dodała. - Jak tylko nam się uda potwierdzić te referencje.

- Potwierdzić? - zdziwiłam się. - Ależ przywiozłam je wszystkie z Irlandii! Miną tygodnie, zanim dostanie pani odpowiedź. Państwo dużo podróżują. Zimą na ogół spędzają na południu Francji.

Uśmiechnęła się z wyższością.

- Szczycimy się drobiazgowym sprawdzaniem referencji. Nie zaryzykowalibyśmy nigdy naszej reputacji, wysyłając do klienta osobę, która nie została przez nas prześwietlona. Obawiam się, że musi pani być cierpliwa. Oczywiście jeśli chce pani z nami współpracować.

- Niestety, nie stać mnie na długie czekanie. - Odebrałam od niej referencje. - Opłacam pokój i posiłki. Jestem zmuszona szukać pracy gdzie indziej. W takim razie dam ogłoszenie do prasy.

- Jak pani uważa - odparła. - Ale zapewniam, że najlepsze rodziny, zanim panią zatrudnią, będą równie skrupulatne jak nasza agencja. Oczywiście standardy okażą się pewnie niższe, jeśli zdecyduje się pani wyjechać z Nowego Jorku i skierować na wschód. W Kalifornii albo Kolorado zatrudnią każdego.

- Dziękuję - powiedziałam. - Może tak zrobię.

Wstałam. Ona też.

- Jeśli zmieni pani zdanie... - zaczęła, ale z pokoju w głębi wyłoniła się szybkim krokiem inna kobieta, trochę młodsza, lecz o równie surowym wyglądzie.

Zwróciła się do panny Fortescue.

- Dzwonił lokaj radnego - usłyszałam. - Mówi, że są w potrzebie. Dzisiaj wieczorem wydawane jest przyjęcie...

- Radny, tak jak każdy, musi odczekać swoje w kolejce - powiedziała panna Fortescue. - Wykwalifikowana służba nie rośnie na drzewie.

- To co mam mu powiedzieć?

- Że robimy co w naszej mocy, by szybko znaleźć zastępstwo. Pod koniec miesiąca przyływają z Anglii nowe dziewczęta.

- Nie będzie szczęśliwy.

- Przykro mi, ale to wszystko, co możemy uczynić.

Młodsza kobieta wróciła do swojego pokoju. Pani Fortescue rozejrzała się wokół i spostrzegła, że wciąż jestem w jej biurze.

- Dziękuję, że pani do nas zaszła, panno... Przykro mi, że nie możemy pomóc - powiedziała i machnęła ręką w moim kierunku, dając mi do zrozumienia, że audyencja skończona.

- Czy to był przypadkiem telefon z domu pana McCormacka? - zapytałam.

- Nigdy nie rozmawiamy o klientach - odrzekła stanowczo. - Miłego dnia życzę.

Wyszłam na dwór. Powietrze było mroźne. Stałam na chodniku i zbierałam myśli. Serce waliło mi jak oszalałe, kiedy rozważałam pomysł, który rodził się w mojej głowie. Jeśli to radny McCormack poszukuje pomocy domowej, chyba mam dla niego odpowiednią osobę.

Nie mogłam uwierzyć we własne szczęście! Jeśli tylko dostanę się do posiadłości radnego, być może poznam prawdę. Nie powinnam mieć żadnych kłopotów z ustaleniem, czy McCormack wrócił do domu tamtej nocy, ani ze zdobyciem informacji na temat jego przeszłości w Irlandii. Nawet jeśli się okaże, że to jednak nie on poszukuje pomocy domowej, będę miała pretekst, by chwilę porozmawiać z jego służbą. Już sobie wyobrażam minę Daniela Sullivana, kiedy zaprezentuję mu prawdziwy przebieg wydarzeń na Ellis Island! Byłam tak dumna ze swojego sprytu, że nawet przez myśl mi nie przeszło, na jak wielkie niebezpieczeństwo się narażam.

Szybko się dowiedziałam, gdzie mieszka radny McCormack. Dostawca warzyw był pierwszą osobą, którą zapytałam. Wskazał w stronę Park Avenue.

- Na pewno pani trafi. Wspaniały, błyszczący pałac. Wieżyczki i inne takie...

Kiedy szłam ulicą, domy stawały się coraz bardziej okazałe, a wkrótce mijałam już same pałace. Po lewej stronie otworzył się wspaniały widok na park. Tu i ówdzie leżał jeszcze śnieg. Wśród białych trawników i drzew ze śnieżnymi czapami dostojnie przechadzały się angielskie niańki w wykrochmalonych czepkach. Pchały wózki z maluchami. Starsze dzieci, śmiejąc się, biegały po parku. Ciągnęły na sznurkach drewniane pojazdy, a kiedy niańki akurat odwracały wzrok, obrzucały się nawzajem śnieżkami. Spacerowały tu również damy w wielkich futrzanych płaszczach, prowadząc na smyczach małe pieski. Jakiś człowiek wygrywał na lirze skoczną włoską melodię. To nie był Nowy Jork, jaki dotychczas poznałam, ale miejsce jakby z innej części świata. Pomyślałam, że tak właśnie wygląda życie w mieście z moich snów. Jeśli szczęście mi dopisze, może tu zamieszkam.

Dom radnego McCormacka - rzeczywiście wspaniały pałac z wieżyczkami w każdym rogu - górował nad całym sąsiedztwem. Na szczęście dzięki kontaktom z rodziną Hartleyów wiedziałam, że ludzie niższego pochodzenia, tacy jak ja, nie mogą wchodzić frontowymi drzwiami. Zrobiłam to kiedyś, ale lokaj Hartleyów natychmiast pokazał mi, gdzie moje miejsce. Tak więc teraz zachowałam się jak porządna służąca i skierowałam do drzwi z tyłu, oznaczonych jako dostawcze.

Otworzyła je młoda dziewczyna o zaróżowionej twarzy.

Idąc przez Park Avenue, przygotowywałam się do rozmowy. Mogłabym skłamać, mówiąc, że przysłała mnie agencja, ale pomyślałam, że może lepiej będzie tylko to zasugerować. Miałam nadzieję, że są zbyt zdesperowani, by zadawać wiele pytań. A jeśli się okaże, że trafiłam do niewłaściwego domu, może przynajmniej zaproponują mi herbatę

i pogawędkę.

- Dowiedziałam się, że potrzebna jest tutaj pomoc domowa - powiedziałam, uznając, że najlepiej będzie mówić tylko o faktach. Żadnych kłamstw. Przynajmniej dopóki nie wpuszczą mnie do środka.

- Proszę tu poczekać. Pójdę po pana Holmesa - odparła dziewczyna i zatrasnęła mi drzwi przed nosem.

Kiedy znów się otworzyły, stał przede mną ubrany w surdut mężczyzna, chudy jak patyk, ale o bardzo nobliwym wyglądzie. Przez chwilę wzięłam go za pana domu i ogarnęła mnie wątpliwość, czy trafiłam pod właściwy adres.

- Zatem agencja jednak kogoś dla nas znalazła? Wspaniale! Wiedziałem, że nie zawiodą szanownego pana.

Miał akcent z wyższych sfer, podobny do tego, z jakim mówili Hartleyowie. Czy w tym mieście tylko Anglicy pracują jako służba domowa?

- Jestem kamerdynerem. Proszę zwracać się do mnie „panie Holmes”. I nie stój tak! Praca czeka.

Niemalże wciągnął mnie do środka. Znalazłam się w mrocznym holu. Drzwi za mną zamknęły się z głuchym trzaskiem. Ten odgłos wyrwał mnie z zamyślenia.

- Proszę za mną - powiedział kamerdyner, zaryglowawszy drzwi. - Im prędzej zmienisz te okropne ubrania na przyzwoity strój, tym lepiej.

- Chwileczkę - podniosłam z lekka głos. - Moje rzeczy zostały w pensjonacie dla kobiet. Czy nie powinnam ich najpierw stamtąd zabrać?

- Weźmiemy je, kiedy nasz woźnica będzie miał wolną chwilę. Nie będziesz ich teraz potrzebować. - Szedł korytarzem prosto przed siebie, nie oglądając się na mnie. Czułam się coraz gorzej. A jeśli już mnie stąd nie wypuszczą?

Nie bądź głupia - powtarzałam sobie w myślach. Przecież on nie wie, kim jesteś. Przynajmniej przez parę najbliższych dni będziesz tu bezpieczna!

Wiedziałam, że agencja nie ma w tej chwili wolnej dziewczyny. Zostanę w tym domu przez weekend, zbiorę potrzebne informacje, a potem odejdę pod byle pretekstem. A jeśli nawet spotkam radnego na korytarzu, co z tego? Nie sądzę, by miał zwyczaj przyglądać się służbie. Będę po prostu jeszcze jedną pokojówką w jego posiadłości. Nie ma się czym denerwować.

Zaprowadzono mnie do ogromnej ciepłej kuchni. W życiu nie widziałam tylu garnków i patelni! Przy stojącym na środku wielkim stole z surowego drewna jakaś dziewczyna kroїła cebulę. Co chwila podnosiła rękę, by wytrzeć oczy rękawem sukienki. Tęga kobieta ubrana na

czarno stała przy piecu, rozmawiając z kucharką, która mieszała w garnkach na płycie.

- Przepraszam, pani Brennan, muszę przeszkodzić. Proszę na słówko - powiedział kamerdyner, a kobieta w czerni odwróciła się w jego stronę. - Agencja przysłała dziewczynę na miejsce Eileen.

Otaksowała mnie od stóp do głów krytycznym spojrzeniem.

- Jak masz na imię, panienko?

- Molly, proszę pani.

- Molly, tak? A więc, Molly, ja jestem pani Brennan. Ochmistrzyni. To ja będę wydawać ci polecenia. Nasza pani oczekuje najwyższych standardów w utrzymaniu domu. Żadnego omijania kątów przy sprzątaniu, żadnego przysiadania, kiedy nikt nie patrzy.

- Oczywiście. Przywykłam do ciężkiej pracy, proszę pani.

Kiwnęła głową, ale wydawała się wciąż traktować mnie z rezerwą.

- Bardzo dobrze. Zobaczmy, jak sobie radzisz. Nie wiemy, w co dziś włożyć ręce. Państwo wydają wieczorem duże przyjęcie. To już tradycja w tym domu. Zawsze na tydzień przed dniem świętego Patryka odbywa się tu proszona kolacja. Bez dodatkowej pary rąk do pracy jesteśmy skończeni. Znajdę dla ciebie strój, a potem Daisy ci powie, jakie masz obowiązki. Chodź za mną.

Wyprowadziła mnie z kuchni. Przeszliśmy ciemnym korytarzem aż do małego gabinetu. Na półkach leżały poskładane obrusy. Z komody wyjęła czarną sukienkę, rozłożyła ją i pokiwała głową.

- Należała do Eileen, na razie musi ci wystarczyć. A tu jest fartuszek i czepek. Uważaj, żeby ich nie pobrudzić. Pranie jest dopiero w przyszły piątek.

Potem wyszła, a ja za nią. Znów korytarz i kolejne schody, tym razem bez dywanu na stopniach. Otworzyła podwójne drzwi i nagle znalazłyśmy się w innym świecie. Na marmurowej podłodze stały antyczne greckie rzeźby naturalnych rozmiarów oraz donice z palmami wielkości drzew. Po prawej stronie były rzeźbione marmurowe schody na kolejne piętro, nad nimi żyrandol, który jaśniał blaskiem, mimo że nie było widać żadnych świateł. Zajęło mi chwilę, zanim się zorientowałam, że światło dają starannie ukryte elektryczne żarówki. Ochmistrzyni szybkim krokiem przeszła przez hol i otworzyła drzwi na samym końcu korytarza. Weszliśmy do jadalni, znacznie większej niż ta w posiadłości Hartleyów. Przy stole tak długim, że mógłby posłużyć do ostatniej wieszery, lokaj i dwie pokojówki polerowali kandelabry, które następnie rozstawiali na białym obrusie.

- Daisy? - Głos pani Brennan gwałtownie przeciął ciszę. - Proszę, zostaw to na chwilę. To jest nowa dziewczyna, na miejsce Eileen. Zabierz ją na górę do swojego pokoju i pomóż

jej włożyć sukienkę. Potem niech dokończy nakrywanie do stołu. No, ruszaj się, dziewczyno, robota czeka.

Daisy popatrzyła na nią z przerażeniem i poprowadziła mnie szybko do wyjścia. Znowu przeszliśmy przez podwójne drzwi, a następnie rozpoczęliśmy wspinaczkę po wąskich drewnianych schodach. Byliśmy teraz w jednej z tych wieżyczek, które sięgały nieba. Najwyraźniej nasza sypialnia znajdowała się na samej górze. Nogi miałam jak z waty, kiedy w końcu Daisy pchnęła drzwi na szczycie schodów. Pokój był wąski, zimny i stało w nim tylko jedno łóżko.

- No, jesteśmy - powiedziała. - Tak przy okazji, mam na imię Daisy.

- A ja Molly - odparłam z uśmiechem.

- Kiedy przywiozą twoje rzeczy, możesz je włożyć do tej szuflady na dole. Ja zajmuję górną.

- To gdzie jest twój pokój?

- Jesteśmy w nim.

- A mój?

- Łóżko mamy wspólne. - Jej irlandzki akcent był silniejszy od mojego. - Mam nadzieję, że nie chrapiesz.

- Wspólne łóżko? - Nie mogłam uwierzyć. - Mogą sobie pozwolić na te wszystkie marmurowe rzeźby, a nie stać ich na łóżka dla służby?

- Cicho. - Położyła palec na ustach i spojrzała w stronę drzwi, chociaż trudno było sobie wyobrazić, by ktokolwiek mógł nas tu usłyszeć.

- Na litość boską, nie mów w ten sposób, bo wylecisz, zanim się obejrzysz. Radny McCormack słynie z dobroci dla służby.

- Tam, gdzie mieszkałam, tylko rodzina Kane'ów musiała dzielić łóżko, ale oni byli biedni jak mysz kościelna, a dzieci mieli całą gromadkę.

- Przestań gadać i pospiesz się - odparła Daisy. - Pani Brennan będzie krzyczeć, jeśli w mgnieniu oka nie zejdziemy na dół. Robi się taka nerwowa, kiedy państwo wydają przyjęcie! A nasza pani lubi się wściekać. Wszystko musi być bez zarzutu.

Zaczęła rozpinać guziki mojej bluzki.

- Sama to zrobię. Dziękuję - powiedziałam szorstko. - Czy właśnie dlatego wyrzucili moją poprzedniczkę?

- Wyrzucili? - Jej twarz wyrażała zdziwienie. - Kto ci powiedział, że została wyrzucona? Uciekła, ot co! Z Frederickiem, młodszym lokajem. Szkoda, że nie widziałas tego zamieszania! Pokojówka i lokaj, którzy uciekają, żeby się pobrać! To ci dopiero!

Przytrzymała sukienkę nad moją głową, a następnie pomogła mi się ubrać. Potem zapięła guziki na plecach. Wełna nieprzyjemnie drapała. Zawiązała mi fartuszek i podała czepek.

- Masz za dużo włosów - zauważyła. - Pewnie będą chcieli, żebyś je przycięła. Oznaki próżności nie są tu mile widziane.

- O, na pewno nie zetnę włosów - powiedziałam dobitnie. - Są takie, jakie są, i bardzo je lubię.

- Pani Brennan nie powinna usłyszeć, że mówisz w ten sposób. Kto cię nauczył takiego zachowania? Powinnaś wyglądać tak, jak oni sobie życzą. - Patrzyła na mnie z przerażeniem i fascynacją, jakbym była jakimś niebezpiecznym gatunkiem zwierzęcia.

Trzeba trzymać buzię na kłódkę - powtarzałam w myślach. Przecież ona może wszystko wypaplać ochmistrzyni i wyrzucić mnie stąd, zanim dotrę do potrzebnych informacji.

- Mama zawsze mi mówiła, że jestem zbyt dumna - powiedziałam ze śmiechem. - To się już chyba nie zmieni.

- Jeśli zostaniesz tutaj dłużej, z pewnością się zmieni - odparła Daisy i przeczesła szczotką moje długie loki. - Trudno. Teraz postaramy się je odpowiednio upiąć. Pani nie znosi, kiedy włosy wystają spod czepka.

Wspólnie nam się udało nad nimi zapanować. Potem wcisnęła mi na głowę czepek.

- Nie! - pisnęłam. - Jest za ciasny.

- Musi taki być, bo inaczej się przekrzywi. A jeśli cię zobaczą z czepkiem włożonym byle jak, będziesz miała kłopoty. Popatrz tylko. - W lustrze nad toaletką zobaczyłam poważną bladą twarz obcej osoby. - No, może być. Teraz już lepiej. Chodźmy, bo się to wszystko źle skończy.

Zbiegłyśmy po schodach, tupiąc nogami. Kandelabry stały już na swoich miejscach, a pomiędzy nimi umieszczono wielką misę pełną owoców i kwiatów. Daisy wskazała na otwartą walizę ze sztuccami, która leżała na komodzie.

- Umiesz porządnie nakrywać?

- Tylko po irlandzku - powiedziałam, byle się nie przyznać, że nigdy w życiu nie widziałam porządnie nakrytego stołu. Poczęstunek u Hartleyów ograniczał się do mleka i ciasteczek podawanych w bawialni.

- George, proszę, ułóż jedno nakrycie na wzór - zwróciła się Daisy do lokaja.

- Jestem jeszcze zajęty polerowaniem - powiedział George. - Ten, kto pakował sztuce ostatnim razem, nie dopilnował, by były czyste. Mają zacieki.

- No dobrze, ja to zrobię. - Daisy złapała garść noży i widelców. - Możesz zaczynać od zewnątrz i układać do środka, zresztą to pewnie wiesz. Ten mały nóż i mały widelec są do przystawek, potem łyżka do zupy po prawej stronie, następnie w pudełku widelec i nóż do ryby, potem do mięsa...

- Matko Święta! - zdziwiłam się. - To ile tych dań będzie?

- Siedem. Tak jak zwykle. Tylko na specjalne okazje podaje się dwanaście. To zwyczajne przyjęcie. Takie urządza się tutaj dość często.

- A więc często podejmują gości, prawda? - zapytałam, układając noże i widelce według wzoru.

- Bardzo często. Pani chciałaby uchodzić za najlepszą gospodynię w mieście. Podejmuje Vanderbiltów i Rooseveltoów. Wszystkie najznakomitsze rodziny tu przychodzą.

W głowie huczało mi od myśli. Dziś była niedziela, więc jeśli policzę wstecz...

- Pewnie wydają przyjęcia tylko w weekendy? Na przykład w poniedziałki nie zaprasza się gości, prawda?

- Czasem tak. Właściwie codziennie państwo albo sami idą na kolację, albo zapraszają kogoś do domu.

- No a w ostatni poniedziałek? Był tutaj ktoś na obiedzie?

- A dlaczego chcesz to wiedzieć? - zaśmiała się. - Jak niby mam pamiętać, co się działo w poniedziałek?

- A ja pamiętam - odezwał się George znad polerowanych sztućców. - Wyszli z domu. Pamiętam, bo zazwyczaj mam wychodne w niedzielę wieczorem, ale akurat zaproszono burmistrza, więc pan Holmes powiedział mi, że zamiast niedzieli mogę wziąć wolny wieczór w poniedziałek, bo wtedy państwo wychodzą na kolację.

Tak więc radny nie przebywał w domu w poniedziałek wieczorem.

- Domyślam się, że kiedy jedzą poza domem, zjawiają się późno - wtrąciłam. - Czy będą was po powrocie? Przecież ktoś musi ich obsłużyć, prawda?

Daisy zerknęła znad talerza, który akurat kładła na stole.

- Tylko osobisty lokaj pana i osobista pokojówka pani pomagają im się przyszykować do snu. Pan Holmes zawsze jest na nogach, bo jego obowiązkiem jest pozamykanie domu na noc. Ale my możemy spać spokojnie. Na samym szczycie wieżyczki śpi się twardym snem. Nawet gdyby wpuścili na dół stado słoni, i tak nie usłyszymy.

- Zawsze wdajesz się w pogawędki, Molly? - zapytał George. - Nasza pani nie lubi, kiedy służba rozmawia przy pracy.

- Przepraszam - odparłam. - Muszę poznać atmosferę nowego miejsca. Już nie pisnę

ani słowa.

Wróciłam do pracy. Zauważyłam, że jestem szybsza od Daisy, a kiedy skończyłyśmy, nawet pani Brennan z aprobatą pokiwała głową.

- Ten stół jest przepięknie nakryty - powiedziała. - I muszę przyznać, Molly, że twój wygląd znacznie się poprawił. Teraz sprawiasz przyzwoite wrażenie. Uciekajcie do kuchni na kubek kakao, dziewczęta. Potem będziecie czyścić zmiatarką salon i główne schody.

Poszłam za pozostałymi do ciepłej kuchni. Czekały tam na nas kubki pełne kakao i grube kawałki ciasta z owocami. Z radością zaczęłam jeść. Wydawało mi się, że od ostatniego porządnego posiłku minęła cała wieczność. Jedząc, rozmyślałam, jak się dowiedzieć, czy w poniedziałek radny McCormack wrócił na noc do domu. Pan Holmes wyglądał na osobę skrupulatną. Może prowadzi jakiś pamiętnik albo notuje gdzieś każde wyjście i przyjście? Zanim zdecyduję się zająrzeć do służbówki pana Holmesa, najpierw muszę poznać rozkład dnia w tym domu. Nie mogę sobie pozwolić na żadną wpadkę.

Jak tylko opróżniłyśmy kubki, Daisy pociągnęła mnie za rękaw.

- Chodźmy. Musimy pozamiatać. - Zabrała mnie do schowka na miotły i wręczyła kwadratowe pudełko na długim drążku. - Weźże to - powiedziała niecierpliwie. - Nigdy wcześniej nie widziałaś zmiatarki? W jakich ty domach pracowałaś?

- W Irlandii nie jesteśmy tacy nowoczesni - odparłam. - Co się z tym robi?

- Och, to cudowne urządzenie. Przesuwasz po dywanie, aż zbiorą się wszystkie śmieci. Już nigdy nie będziesz chciała używać szczotki.

Weszłyśmy po schodach do jasnego i przestronnego holu. Światła w żyrandolu paliły się cały czas, nawet gdy nikogo nie było w pobliżu!

- Ja zajmę się salonem. Kiedy pani po kolacji pija w nim kawę, często znajduje tam kurz. Ty możesz zamiatać schody. - Wskazała na krętą klatkę schodową. - I pamiętaj, żeby starannie wyczyścić każdy stopień. A jeśli usłyszysz, że zbliża się ktoś z rodziny, staraj się zejść im z drogi, dopóki nie przejdą. Nie lubią oglądać służby w głównej części domu. Udają, że dom utrzymuje się sam, bez ludzkiej pomocy.

Zabrałam swoją zmiatarkę i zaczęłam od schodka na dole. Tutaj, w holu głównym, czułam się bardzo na widoku. Zamiatanie za pomocą takiego urządzenia było z pewnością łatwiejsze niż to, które pamiętałam z domu, ze szczotką i szufelką. Jednak na górze stopnie robiły się bardzo wąskie i trudno było je dokładnie wyczyścić. Kiedy wreszcie stanęłam na szczycie schodów, byłam zgrzana i zmęczona. Przede mną odsłonił się fascynujący korytarz, którego jeszcze nie widziałam. To może być odpowiednia chwila, żeby trochę się porozglądać. Zmiatarka dawała mi dobry pretekst. Zaczęłam czyścić korytarz aż do

pierwszych drzwi. Rozejrzałam się, a potem przyklękłam i przyłożyłam oko do dziurki od klucza. Już prawie zerkałam do wewnątrz, kiedy na dole otworzyły się frontowe drzwi i do środka wleciało mroźne powietrze. Podnosząc się na nogi, złapałam zamiatarkę. Jednym okiem zobaczyłam, jak postawny mężczyzna z wąsami kładzie na stoliku kapelusz. Tuż potem usłyszałam kroki na schodach. Przytuliłam się do ściany, kiedy przechodził obok mnie.

- Dziewczyno, proszę, powiedz Holmesowi, że chcę się napić whisky z wodą sodową. Niech mi ją natychmiast przyniesie do gabinetu. A kucharce przekaż, żeby podała lunch na tacy, bo będę pracował. Nic specjalnego. Może być ten jej placek z wieprzowiną i parę pikli.

- Oczywiście, proszę pana. - Dygnęłam tak, jak dygały służące u Hartleyów. Cały czas patrząc na swoje stopy.

- Jesteś nowa, prawda?

- Tak, proszę pana.

Musiałam podnieść głowę. Czy był to ten sam człowiek, którego widziałam tamtej nocy? Trudno powiedzieć. Podobne imponujące wąsy i duży brzuch opięty kamizelką. Zdałam sobie sprawę, że oprócz wąsów nie pamiętałam nic z jego twarzy. Czy nos nie był większy? Jeśli to on, już by mnie rozpoznał.

- Jak masz na imię, dziecko?

- Molly, proszę pana. - Znów szybko spuściłam wzrok, więc musiał wpatrywać się w mój czepek.

- Młoda damo, nie denerwuj się. To jest szczęśliwy dom. Jeśli odpowiednio wykonujesz swoją pracę, nie masz się czego obawiać.

- Tak, proszę pana. Pójdę teraz poszukać pana Holmesa.

Znów dygnęłam, zabrałam zamiatarkę i zbiegłam po schodach. Byłam prawie pewna, że mnie nie rozpoznał. Ważniejsze było to, czy ja rozpoznałam jego. Przemawiał do mnie cichym i łagodnym głosem. Muszę poczekać, aż usłyszę, kiedy będzie krzyczał.

Holmesa znalazłam bez problemu. Zbladł, kiedy przekazywałam mu instrukcje.

- Pan wrócił do domu, a ja nawet nie usłyszałam, jak wchodzi? To już drugi raz w tym tygodniu. Boże drogi! Chyba jestem nieuważny! Dobrze, dziewczyno. Wracaj do swoich zajęć.

Skierowałam się do kuchni, by przekazać wiadomość kucharce. Uwijała się przy pracy. Na piecu stało już kilka garnków. Mieszała to w jednym, to w drugim.

- Patrzcie go! Akurat teraz, kiedy czekam, aż sos zgęstnieje. A Ruby ma jeszcze tyle kartofli do obrania...

- Mogę w czymś pomóc, jeśli pani chce - zaproponowałam.

- Ty? Przecież jesteś pokojówką. To nie twoje obowiązki. Nie bądź śmieszna.

- Chciałam tylko pomóc. Skończyłam zamiatać schody.

Rozejrzała się, jakby chodziło o zbrodnię.

- Dobrze, wyjątkowo nie powiem „nie”. A jeśli panu coś się nie spodoba, możesz mi powiedzieć, że nie chciałam, by w jego ulubionym sosie zrobiły się grudki.

Wskazała na placek i pikle, a potem udzieliła mi szczegółowych instrukcji na temat tego, jaką serwetkę położyć na tacy, a jaką przy talerzu i której solniczki użyć. Kiedy gotowa już taca została zaakceptowana, kucharka wysłała mnie na górę.

- Idź do jego gabinetu. Trzecie drzwi na lewo. Nie ociągaj się i wróć schodami dla służby.

Wniosłam tacę i właśnie zbliżałam się do odpowiednich drzwi, kiedy usłyszałam głos pana domu.

- Mówiłem ci, Bertie. Nie ma się czego obawiać.

Zatrzymałam się w holu. Drzwi były uchylone. Zauważyłam, że radny rozmawia przez telefon.

- Kto się niby dowie? Wiemy tylko my dwaj. Trzymaj język za zębami, a wszystko będzie w porządku... Tak, pamiętam o dziennikarzu, ale moim zdaniem on tylko węszył. Nie ma prawa o niczym wiedzieć... Nie, na tym etapie to byłoby nierozsądne. Zwróciłbyś tylko na siebie uwagę. A potem na mnie. Siedź spokojnie i nie wychylaj się, Bertie. Wkrótce sytuacja wróci do normy... Oczywiście, że zamierzam poprowadzić paradę z okazji dnia świętego Patryka. Dlaczegoż by nie? Ludzie mnie uwielbiają!

Zobaczyłam, że odwiesza część telefonu, która służyła za mikrofon. Już miałam zapukać, kiedy zauważyłam, że otwiera górną szufladę biurka. Całkowicie ją wysunął, potem sięgnął głębiej i otworzył ukrytą wewnątrz szafkę. Wyjął z niej jakieś dokumenty, szybko je przejrzał, kiwając z zadowoleniem głową, a następnie odłożył.

Wróciłam na palcach na początek korytarza, chwilkę odczekałam, potem znów podeszłam i zapukałam do drzwi.

- Pański lunch.

- Co? Ach, tak. Postaw go tam.

Wskazał miejsce na komodzie. Stała już na niej inna taca z karafką whisky i syfonem z wodą. Postawiłam swoją tacę i pospiesznie wyszłam z pokoju.

21

Służba jadła lunch w kuchni, przy wielkim stole z surowego drewna. Kiedy wszłam, siedzieli już przy nim George, Daisy oraz kilka innych osób, których wcześniej nie poznałam. Wysunęłam krzesło obok Daisy.

- A ty gdzie? - zdziwiła się pani Brennan. - Jesteś nowa, twoje miejsce jest na końcu stołu, obok Ruby.

Skierowałam się tam, odprowadzana spojrzeniami. Usiadłam pokornie. Chwyciłam za widelec i już wyciągałam rękę po najbliższy talerz, kiedy Ruby mocno trąciła mnie łokciem w żebra.

- Musimy poczekać na modlitwę pana Holmesa - szepnęła.

Siedzieliśmy, czekając, aż w końcu pojawił się Holmes i uroczyście zajął miejsce na szczycie stołu. Zaczął swoją modlitwę słowami:

- Panie, spraw, byśmy okazali Tobie wdzięczność za wszystko, co za chwilę spożyjemy. Spraw, byśmy stali się bardziej wrażliwi na potrzeby innych.

Potem zabraliśmy się do jedzenia. Było ono lepsze niż wszystko, co kiedykolwiek jadłam - szynka i rostbef na zimno, duży placek z wieprzowiną, gorące ziemniaki w mundurkach, ser i pikle. Już się zastanawiałam, czy my też coś świętujemy, kiedy usłyszałam, jak kucharka zwraca się do kamerdynera:

- Przepraszam za tak skromny posiłek, panie Holmes, ale poranek miałam tak pracowity, że nie zdążyłam nic dla nas porządnie ugotować.

- To zrozumiałe, pani O'Leary - odparł kamerdyner. - Raz na jakiś czas nie zaszkodzi, jeśli zjemy resztki.

Resztki? Jeśli się okaże, że radny McCormack nie był zamieszany w wydarzenia na Ellis Island w zeszły poniedziałek, może powinnam tu zostać na dłużej? Oczywiście jeśli nauczę się pokory i zachowania godnego porządnej służącej. Ale to, co usłyszałam pod drzwiami na górze, potwierdzało przypuszczenia, że jestem na dobrym tropie. Radny miał coś ważnego do ukrycia - coś, co zainteresowało prasę i o czym nie powinna się dowiedzieć społeczność irlandzka. Inne wytłumaczenie nie przychodziło mi do głowy. Działał razem ze współnikiem. Wszystko wskazywało na to, że ten Bertie, jeśli dobrze zapamiętałam imię, jest wynajętym mordercą. Miałam do czynienia z bardzo niebezpiecznym człowiekiem, powinnam zatem postępować niezwykle ostrożnie.

Zastanawiałam się, czy pokojówki mają jakieś obowiązki podczas wieczornych przyjęć. Jeśli nie, może uda mi się wejść do gabinetu pana domu i trochę się rozejrzeć. Służba

będzie miała ręce pełne roboty przy obsłudze gości, a radny i jego żona pozostaną w jadalni na dole. Raczej nic mi wtedy nie przeszkodzi.

Kiedy skończyliśmy posiłek, kucharka i starsza służba udali się na popołudniowy odpoczynek. Holmes, jak się okazało, wyszedł na spacer. Ja miałam teraz zająć się polerowaniem najlepszej porcelany stołowej. Wytarte talerze należało włożyć do niewielkiej windy, którą nazywano „niemym kelnerem”, a która wiozła porcelanę do schowka obok jadalni. Tam ktoś wszystko to odbierał i układał w odpowiednim porządku. Dowiedziałam się, że jedzenie też będzie wjeżdżało na górę. Dwóch służących miało je następnie podawać na stół. Powiedziano mi, że kobiety nie nadają się do takiego zajęcia - są niskie i ślamazarne. Tak więc, być może, znajdzie się czas i odpowiednia okazja, by przeprowadzić małe śledztwo.

Pracowałam szybko, polerując wszystkie talerze, po szesnaście każdego rodzaju, potem wsadzałam je do windy i odsyłałam na górę. Kucharka, pani O’Leary, pochrapywała w bujanym fotelu przy piecu. Ruby, pomoc kuchenna, wciąż zmywała naczynia po naszym posiłku oraz garnki, które były używane z rana. Daisy zniknęła - prawdopodobnie pomagała na gorze. Skorzystałam z okazji i w pośpiechu opuściłam kuchnię. Skoro pani Brennan miała swój pokój, Holmes też jakiś musiał mieć. Ostrożnie otwierałam jedne drzwi po drugich, aż doszłam do takich, które były zamknięte. Przez dziurkę od klucza zobaczyłam uporządkowane biurko i duży pęk kluczy wiszący na ścianie... To musiała być służbówka Holmesa. Najwyraźniej był on jedyną w całej posiadłości osobą, która przed wyjściem z domu zamyka drzwi swojego pokoju.

Wróciłam do kuchni. Jak się okazało, w samą porę. Kiedy przestępowałam próg, gdzieś w drugim końcu pomieszczenia rozległ się dzwonek. Pani O’Leary natychmiast się zbudziła.

- To z pokoju pani. Pewnie już wróciła z lunchu na mieście. Pan Holmes jest wciąż na spacerze. Lepiej idź i sprawdź, czego pani sobie życzy.

- Który to pokój?

- Na pierwszym piętrze. Na samym końcu korytarza, za gabinetem pana. No, biegnij. Pani nie lubi czekać.

Popędziłam tylnymi schodami, minęłam gabinet i zapukałam do ostatnich drzwi w korytarzu. Kiedy weszłam, zobaczyłam wyjątkowo śliczną młodą kobietę o twarzy lalki i blond lokach, która w pozycji półleżącej odpoczywała na szezlongu obitym różowym jedwabiem. Stałam jak wryta. Radny był mężczyzną w średnim wieku. Wąsy miał posiwałe na końcach. Jeśli ta piękna kobieta jest jego żoną, musi być odeń młodsza o jakies

dwadzieścia lat! Czytała list i kiedy weszłam, nawet nie oderwała od niego wzroku.

Odczekałam chwilę, a potem chrząknęłam.

- Pani dzwoniła?

Popatrzyła na mnie, lecz natychmiast wróciła do lektury.

- Zacznę z tobą rozmowę, kiedy będę gotowa - powiedziała zimnym tonem, bardzo pasującym do spojrzenia, jakim mnie obrzuciła.

Po chwili znów podniosła wzrok.

- Jesteś nowa?

- Tak, proszę pani. - Miałam nadzieję, że moje spojrzenie wyraża skruchę.

- A na imię masz...?

- Molly, proszę pani.

- W takim razie, Molly, musisz się najpierw nauczyć, że w tym domu służba czeka na sygnał od państwa. Kiedy zechcę ci wydać polecenie, wydam je. Czy to jest jasne?

- Tak, proszę pani. Ja tylko nie byłam pewna, czy słyszała pani, jak wchodzę. Chciałam, żeby pani wiedziała, że już jestem.

Delikatne policzki oblały się rumieńcem.

- I nie odpowiadaj w ten sposób. Służba w tym domu mówi tylko wtedy, kiedy zadaje się jej pytania.

Spuściłam głowę, niepewna, czy odpowiedź „przepraszam” nie zostanie przypadkiem uznana za przewinienie. Staralam się wyglądać jak porządnie zawstydzona służąca.

- W porządku. Tym razem puszczyć to w niepamięć, biorąc pod uwagę fakt, że jesteś nowa i nie poinstruowano cię jeszcze w należyty sposób. - Posłała mi ośmielający uśmiech. - Proszę, przekaz kucharce, że o czwartej przyjdzie krawcowa. Zrobimy ostatnią przymiarę sukni na dzisiejszy wieczór. O czwartej piętnaście poproszę o podwieczorek. Herbatę i odpowiednie ciasta.

- Tak, proszę pani.

- Mam nadzieję, Molly, że będziesz się u nas dobrze czuła. Możesz przynieść tacę na górę do mojej garderoby o czwartej piętnaście. Uważaj, żeby nic nie rozlać.

W dyganiu byłam coraz lepsza. Upokorzenie musi potrwać trochę dłużej.

Pani O'Leary prychnęła, kiedy przekazałam jej polecenia.

- Herbatka i ciasta! Tak jakbym w ogóle nie musiała ugotować siedmiu dań dla szesnastu osób. Niech lepiej zaczną zwracać uwagę na to, co je, bo za chwilę straci tę śliczną figurę, a wtedy mężuś przestanie być nią zainteresowany. Nie poślubił jej dla intelektu.

- Długo są małżeństwem?

Pochyliła się konspiracyjnie.

- Tylko rok. Poprzednia żona umarła nagle. Biedaczka jeszcze nie ostygła, kiedy poślubił tę trzpiotkę. Wypatrzył ją w szóstce Floradory.

Słyszałam już o dziewiątce z Plumbridge, ale szóstka Floradory? Zauważyła, że patrzę pytająco.

- No wiesz, w przedstawieniu na Broadwayu. *Floradora*. Mówią, że wszystkie dziewczyny z oryginalnej obsady wyszły za milionerów. Nie wybrałyśmy odpowiedniej pracy, kochana. Chociaż, cokolwiek by mówić, nigdy nie miałam takiej figury jak pani McCormack, nawet kiedy byłam młodsza - zaśmiała się. Przeciągnęła rękami po wydatnym brzuchu, a potem odeszła sprawdzić coś w piekarniku.

Miałam teraz nad czym rozmyślać. Jeśli radny był rzeczywiście potworem, może nagła śmierć poprzedniej żony nie była przypadkiem?

Równo piętnaście minut po czwartej zaniósłam tacę do garderoby pani i głośno zapukałam. Naprawdę głośno. Podwieczorek odebrała ode mnie osobista pokojówka.

- Som zajęte i nie można im przeszkadzać - powiedziała z francuskim akcentem.

Mimo wszystko zdołałam dojrzeć panią McCormack w przepięknej aksamitnej sukni w kolorze burgunda. Idealnie podkreślała jej piękną figurę. Kiedy zamykały się za mną drzwi, usłyszałam jeszcze:

- A do tego rubiny, prawda, Francine?

W kuchni czekał podwieczorek. Chleb, masło, garnuszki z dżemem i miodem oraz dwa różne ciasta. A jeszcze wczoraj się zastanawiałam, jak wygląda śmierć głodowa! Teraz martwiłam się tylko, czy ciasna w talii sukienka wytrzyma kolejny posiłek.

Wkrótce dołączyli do mnie pani Brennan i pan Holmes.

- Ostatnie wskazówki, moi drodzy - zaczął Holmes - George i Hamish, przygotowaliście sobie na wieczór czyste białe rękawiczki? Proszę mi je pokazać, sprawdzę. Daisy, ty będziesz pracować w pokoju przy jadalni. Zanim wszyscy goście usiądą, masz odbierać talerze z windy i ustawiać je na podgrzewaczach. Następnie będziesz odbierała brudne talerze od Hamisha i George'a i wstawiała je do windy. Na dole Ruby przejmie je i umyje. Ty, moja droga... jak ci na imię? A tak, Molly. Ty będziesz wykonywać różne polecenia. Musisz być cały czas w pogotowiu. Jeśli zajdzie taka potrzeba, możesz się przydać, by przekazać wiadomość do kuchni albo zabrać na dół naczynia, które nie zmieszczą się w windzie. Zawsze będziesz korzystać tylko z tylnej klatki schodowej i zadbasz o to, by nie widział cię żaden z gości naszego pana. Jasne? Dobrze. Nie muszę wam chyba przypominać, że wartość każdego talerza, który się zbije, zostanie wam potrącona z wypłaty. A używamy

dziś wieczorem najlepszej porcelany Wedgwooda.

Więc jednak będę zajęta. Mam być na zawołanie przez cały wieczór. Mała szansa, bym mogła zajrzeć do gabinetu radnego. Zauważą, jeśli choć na chwilę zniknę im z oczu. Pocięczałam się, że na pewno będzie jeszcze okazja. Przecież nie muszę dokonać wszystkiego w jeden dzień. Czułam jednak niepokój, a w głowie słyszałam ponagląący głos, który mówił mi, że jeśli natychmiast nie zacznę działać, może być za późno. Czyżby to znów szósty zmysł celtyckich przodków? Czułam zbliżające się niebezpieczeństwo.

Wpół do siódmej zaczęli się zjawiać pierwsi goście. Pani Brennan i George odbierali od nich w holu kapelusze i płaszcze. Holmes dyżurował w salonie przy stoliku z napojami. Daisy nosiła na górę tace z przystawkami świeżo wyjętymi z pieca. A ja przez chwilę byłam bez zajęcia. I wtedy zdałam sobie sprawę, że to właściwy moment. Nikt nie zobaczy, jak wślizgnę się do gabinetu radnego.

Tętno tak mi przyspieszyło, że z trudem łapałam oddech. Otworzyłam drzwi dla służby i wyszłam na korytarz na pierwszym piętrze. Z dołu słyhać było rozmowy i śmiechy. Znów rozległo się kołatanie do drzwi wejściowych; powiew zimnego powietrza doleciał nawet do mnie. Słowa odbijały się echem w wyłożonym marmurem holu. Przybyli kolejni goście. Poczekalam, aż pani Brennan zaprowadzi ich do salonu, i na palcach przeszłam przez korytarz. Nacisnęłam klamkę drzwi do gabinetu. Nie były zamknięte. Otworzyłam je i weszłam do środka. Żałowałam, że nie mam latarki, na przykład takiej, jakiej używał Daniel Sullivan w studiu fotograficznym. Wymacałam na ścianie włącznik światła. Okazało się bardzo ostre i prawdopodobnie widoczne z zewnątrz. Na szczęście okna nie wychodziły na ulicę, więc mało prawdopodobne, by ktoś zauważył włączone lampy.

Szybko obejrzałam pokój, niepewna, czym się zająć najpierw. Na ścianie wisiały dyplomy w ramkach. Jeden z nich upamiętniał wręczenie radnemu kluczy do miasta w uznaniu jego wspaniałych zasług dla Nowego Jorku oraz działalności filantropijnej. Inny dotyczył tego samego, ale wymienione w nim dokonania miały związek z Dublinem i sprawami irlandzkimi. W kolejnej ramce wisiał dyplom Uniwersytetu w Dublinie - Joseph William McCormack z Waterford skończył studia teologiczne z tytułem magistra w roku 1873. Ostatnia ramka zawierała dokument nadania obywatelstwa Stanów Zjednoczonych w 1885 roku.

To znaczyło bardzo wiele. Oczywiście jeśli dyplom uniwersytecki nie był podróbką. Zatem Joseph McCormack naprawdę pochodził z innej części kraju, a w czasie gdy dziewiątka z Plumbridge atakowała zarządcę w północnej Irlandii, był już obywatelem Stanów Zjednoczonych. Wyglądało na to, że podejrzewam niewłaściwą osobę. Kusily mnie

jednak tajemnice ukryte w schowku za szufladą. O czym rozmawiał z niejakim Bertiem? Dlaczego tamten sądził, że lepiej nie pokazywać się podczas parady? I co miał do tego wszystkiego dziennikarz? Mama mawiała, że do zguby doprowadzi mnie albo niewyparzona gęba, albo ciekawość. Ale tego musiałam się dowiedzieć.

Podeszłam do biurka i wyciągnęłam szufladę. W głębi zauważyłam długi ciemny schowek, który bez problemu dał się otworzyć. Zaczęłam oglądać papiery, nie wiedząc, czego szukam. Wszystko wydawało się niewinne. Znalazłam potwierdzenie wniesienia datku dla Fundacji Obywatelskiej w Irlandii, wystawione na nazwisko bogatego darczyńcy z Bostonu, oraz listy z podziękowaniem od kilku organizacji prowadzących walkę o wyzwolenie Irlandii. Radny był więc pośrednikiem: przekazywał otrzymane pieniądze organizacjom walczącym o wolność. Gdyby znaleźli to Anglicy, nie byłiby zadowoleni, ale nie natknęłam się na nic, czego nie doceniłby Irlandczyk. Dopiero kiedy przestałam czytać, a zaczęłam liczyć, znalazłam powód, dla którego te listy były ukryte w tajnym schowku. Zbyt często od darczyńców przychodziło dziesięć tysięcy, ale tylko pięć szło dalej na cele dobroczynne. Radny zatrzymywał dla siebie ładny procent od każdego datku. Nic dziwnego, że stać go było na tak rozrzutne życie.

Złożyłam dokumenty, tak by nic nie wskazywało na to, że ktokolwiek ich dotykał, zamknęłam schowek i właśnie wsadzałam szufladę, kiedy za drzwiami usłyszałam kroki. Zamknęłam biurko, ale nie zdążyłam się ukryć, drzwi bowiem otworzyły się szeroko i stanął w nich radny, patrząc na mnie w osłupieniu.

- A ty, co tu, do diabła, robisz? - zapytał, tym razem groźnym grubym głosem. - Wyrzałem przez okno i zobaczyłem, że światło z gabinetu odbija się na sąsiednim budynku. Możesz mi wyjaśnić, co wyczyniasz w tym pokoju?

- Przepraszam, proszę pana - wyjąkałam. - Nie robię nic złego.

- Nic złego? Wszłaś po kryjomu do mojego prywatnego pokoju i nie robisz nic złego? Wynocha, natychmiast! Myślałaś, że coś ukradniesz?

- Nie, nie, proszę pana. Zapewniam, że nie chciałam nic ukraść.

- To co?

Podchodził coraz bliżej i bliżej, aż poczułam na czole ciepły oddech przesiąknięty alkoholem. Złapał mnie za nadgarstek i wykręcił go tak mocno, że krzyknęłam z bólu.

- No, powiedz. Kto cię przysłał? Kto ci zapłacił?

- Nikt, proszę pana. Dopiero co przyplłynęłam z Irlandii. Nikogo tu nie znam. Nie chciałam zrobić nic złego.

Przebiegałam wzrokiem po pokoju, starając się znaleźć jakieś wytłumaczenie. Czy

dziś po południu mogłam coś tu zostawić? Upuścić klucz? Popatrzyłam na dyplomy...

- No dobrze, powiem panu.

Puścił moją rękę.

- Kiedy przynosiłam dziś lunch, zobaczyłam te dyplomy. Chciałam jeszcze raz na nie zerknąć, żeby sprawdzić... żeby sprawdzić, czy pochodzi pan z tych samych stron w Irlandii co ja. Wydawało mi się, że mamy identyczny akcent, więc... tak się zastanawiałam, proszę pana... Przepraszam. To było bardzo nierozsądne, ale jestem nowa i tęsknię za domem.

To było najgłupsze wytłumaczenie, jakie mogłam wymyślić. Jego wzrok przeszywał mnie na wskroś. Mama mawiała też, że nie jestem dobrą kłamczuchą. Wystarczyło na mnie spojrzeć, żeby stwierdzić, czy mówię prawdę. I jeszcze coś. Daniel powiedział, że to okrutny człowiek. Nie puści mnie żywej, jeśli się zorientuje, że coś wiem.

Uniósł mój podbródek i zajął mi prosto w oczy.

- W tym domu nie ma miejsca na szpiegowanie, młoda damo. Nie obchodzi mnie, czy twoje motywy były niewinne. Nie lubię służby, której nie mogę wierzyć. Nie zwolnię cię teraz, bo nie chcę psuć wydawanego przez żonę przyjęcia, ale jutro z samego rana spakujesz swoją torbę i wyniesiesz się stąd. Zrozumiano?

- Tak, proszę pana. Bardzo przepraszam, proszę pana. - Zwiesiłam głowę i przyjąłam postawę ukaranej.

Na szczęście uznał, że jestem głupia, a nie niebezpieczna.

- A teraz wracaj do swoich zajęć! - wrzasnął i zaczął, aż znalazłam się w holu. Potem zamknął drzwi do gabinetu.

Podmuch zimnego powietrza zaanonsował przybycie następnego gościa. Radny zostawił mnie samą i zszedł po schodach.

- Danielu, drogi chłopcze! Jak miło, że przyszedłeś - usłyszałam.

- Nie mógłbym nie przyjść, drogi panie. Bardzo dziękuję za zaproszenie.

Przeszłam na palcach na szczyt schodów i spojrzałam w dół. Daniel Sullivan właśnie zjawił się na przyjęciu.

Wróciłam do kuchni. Jak mogłam być taka naiwna, taka głupia? Na pewno wiedział o wszystkim, co wyprawia radny! Odkąd tu jestem, ciągle słyszę, że policja jest na usługach Tammany Hall, ale nigdy nie przyszło mi do głowy, że to może dotyczyć również Daniela. Cóż, skoro od samego początku mnie zauroczył, to wiadomo, że chciałam o nim myśleć w samych superlatywach. Ale trzeba przyznać, że wielokrotnie mnie ostrzegał. Starał się powstrzymać przed wtykaniem nosa w nie swoje sprawy.

Zrozumiałam teraz, że nie łączyłam faktów tak, jak należało. Dotyczyło to choćby artykułu na temat dziewiątki z Plumbridge znalezionej w walizce O'Malleya. Ten człowiek słynął jako szantażysta. Prawdopodobnie dowiedział się, że radny McCormack korzysta z datków, które powinien był w całości przekazać na walkę wyzwolenczą w Irlandii. Cóż za okazja dla szantażysty! Ulubieniec Irlandczyków w Nowym Jorku, wielki filantrop okrada ludzi, udając, że ich wspiera! O'Malley musiał wcześniej kontaktować się z radnym i wyjawić mu swoje zamiary. Był albo głupi, albo zbyt pewny siebie, jeśli zdecydował się pojawić w Nowym Jorku osobiście. Nic dziwnego, że natychmiast został uciszony. Radny nie mógł zaryzykować, że O'Malley zejdzie na ląd. Musiał wziąć sprawy w swoje ręce.

Wobec tego - przeszłam do kolejnego etapu rozmyślań - to jego widziałam tamtej nocy. Jeśli jeszcze mnie nie rozpoznał, uczyni to za chwilę. Muszę się stąd wydostać póki czas. Ale dokąd pójdę? Nie potrafiłam sobie odpowiedzieć na to pytanie. Człowiek tak wpływowy jak radny McCormack znajdzie mnie na końcu świata. A na Danielu Sullivanie już nie mogę polegać. Poczułam, jak łzy napływają mi do oczu, i nie byłam pewna, czy to łzy żalu, czy rozczarowania. Nie miałam wyboru - znów trzeba kłamać. Mała szansa, że radny nie rozpoznał we mnie kobiety z dzieckiem, którą spotkał na Ellis Island. Mała szansa, że nie zorientował się, iż szperałam w tajnym schowku na dokumenty. W takim razie najlepiej będzie, jeśli rano zniknę i pójdę daleko przed siebie. A ponieważ nie mam przy sobie zbyt dużo pieniędzy - nie zajdę daleko.

- Dziewczyno, obudź się! - przywołał mnie do rzeczywistości głos kucharki. - Przystawki gotowe. Trzeba je wstawić do kuchennej windy. Ostrożnie!

Zaniosłam do windy półmisek z tartinkami z chleba tostowego - z wędzonym łososiem, faszerowanymi jajkami oraz nereczkami zawiniętymi w bekon. Nie zaliczyłam przy tym żadnej wpadki, co było niemałym osiągnięciem, zważywszy na to, jak trzęsły mi się ręce. Kucharka wlewała już zupę do dwóch waz. W wielkim skupieniu zaniosłam je do windy. Potem byłam tak zajęta, że nie miałam nawet czasu na myślenie. Na dół zjeżdżały brudne

naczynia, które trzeba było zanosić do mycia w komórce przy kuchni. Na górę natomiast wędrowały ogrzane talerze, tuż za nimi srebrne tace z filetemi z soli. Potem kucharka chwyciła mnie za ramię.

- Dziewczyno, masz tu sos kaparowy. Biegnij z nim na górę, cały czas mieszając. Nie chcę, żeby utworzył się kożuch. No dalej, ruszaj!

Pobiegłam tylnymi schodami, skrupulatnie wypełniając polecenie. Z jadalni dochodziły odgłosy głośnej rozmowy. Kiedy weszłam do pokoju obok salonu i wręczyłam George'owi sosjerkę, usłyszałam, jak radny stuka nożem w kieliszek.

- Szanowni państwo, proszę o uwagę - powiedział. - Nadeszła chwila, by wznieść toast za naszych dostojnych gości. Patrząc na was wszystkich tu zgromadzonych, mam wrażenie, że przy tym stole zasiada kwiat społeczności irlandzkiej w Ameryce. Chcę wam powiedzieć, że jestem z was dumny. Każdy z nas wywodzi się z ubogiego środowiska. W starym kraju nie miał perspektyw, ale tutaj, w Nowym Świecie, tak wiele osiągnął.

Słysząc było głosy aprobaty.

- I za ciebie, Danielu, drogi chłopcze! W imieniu nowojorskiej socjety specjalny toast! Wszyscy znamy Daniela Sullivana, prawda? Syn Teda, najlepszy policjant, zawsze na posterunku. Daniel nie ma jeszcze nawet trzydziestki na karku, a już jest kapitanem. Danielu, wierzymy w ciebie! Powiedz swoim chłopakom, że za ochronę parady w dniu świętego Patryka czeka ich specjalna premia. Wszystkim oficerom będącym tego dnia na służbie stawiam kolejkę.

- Dziękuję, panie radny. Jak zwykle jest pan hojny.

Starłam się jakoś dojrzeć Daniela przez szparę w drzwiach. Nie udało się, ale zauważyłam inne znajome twarze - tenora, który śpiewał na Ellis Island, i komika Billy'ego Brady. Siedzieli po obu stronach pani McCormack, która w swojej aksamitnej sukni i ze sznurem rubinów na szyi wyglądała jak królowa. Gdyby nie okoliczności, chętnie przyjrzałabym się wszystkim dokładniej. Zamiast tego wycofałam się ostrożnie do kuchni, w której czułam się bezpieczna.

Do końca posiłku nie musiałam już iść na górę. W napięciu wykonywałam wszystkie polecenia. Łatwiej było nie rozmyślać, bo i tak nie byłam w stanie znaleźć dobrego rozwiązania swojej sytuacji. Kiedy Ruby skończyła myć naczynia, pomogłam Daisy wkładać je na miejsce. Potem Daisy wysłano na górę z kawą, którą pan Holmes miał podawać w salonie. Usłyszałam grę na pianinie i śpiew słynnego tenora. Ach, więc tych dwóch zostało zaproszonych, by zapewnić towarzystwu rozrywkę! Po chwili usłyszeliśmy również głos kobiety. Należał do pani McCormack, byłej gwiazdy Broadwayu! Śpiewała cudownie.

Staliśmy zasłuchani przy tylnych schodach.

Potem pojawiła się pani Brennan.

- Skończyli już chyba kawę. Ty, Molly, ruszaj na górę sprawdzić, czy wszystkie filiżanki stoją na tacy. Jeśli tak, znieś je na dół. Pamiętaj, by nie rzucać się w oczy. Trzymaj się ściany i poruszaj tylko wtedy, gdy nikt nie patrzy.

- A nie mogłaby Daisy? - poprosiłam. Nie chciałam, by radny mnie jeszcze raz zobaczył.

- Daisy ma inne obowiązki. No dalej, ruszaj się.

Nie miałam wyboru. Weszłam po schodach, potem przez podwójne drzwi i główny korytarz. Greckie figury patrzyły na mnie z dezaprobatą. Drzwi do salonu pozostawiono na wpół otwarte. W marmurowym kominku w głębi płonął wspaniały ogień. Welurowe kotary w oknach były zaciągnięte. Pokój, mimo swych ogromnych rozmiarów, sprawiał wrażenie zagraconego - na małych stolikach stały bibeloty, na podłodze palmy w donicach; wypchane ptaki w szklanych pojemnikach ustawiono pośród ciężkich mebli - kanap i foteli z aksamitnym obiciem. Radny rozparł się w jednym z nich. Daniel siedział na kanapie, wciśnięty między damę o bladej twarzy i tenora. Odwrócony do mnie plecami, był skupiony na występie. W rogu stało pianino, przy którym siedziała pani McCormack. W tej chwili nie śpiewała, tylko akompaniowała kolejnemu artyście. Przy niej stał Billy Brady. Mocnym, dźwięcznym głosem recytował znaną irlandzką *Zieloną balladę*. Znałam ją, więc przyklejona w cieniu do ściany słuchałam w zachwycie razem z resztą audytorium:

Ach, zerwij koniczynę z kapelusza i rzuć ją na ziemię.

Nie lękaj się, mimo że zdeptana, zapuści korzenie.

Kiedy prawo zabroni rosnąć zielonym źdźbłom trawy,

a kwiatom na wiosnę nie pozwoli zdobić murawy -

wówczas zmienię kolor swej czapki. Zanim dzień ten nastanie,

nosić zielony strój pozwól mi, Panie.

Kiedy Billy Brady skończył, wszyscy zaczęli klaskać. Zobaczyłam, że taca z opróżnionymi filiżankami stoi na niskim stoliku w okiennej wnęce. Ciężko będzie ją zabrać i nie zwrócić na siebie uwagi radnego. Zgodnie z instrukcjami pani Brennan przesuwałam się ostrożnie, wciąż przyklejona do ściany, uważając na liczne ozdoby wiszące tu i ówdzie.

- Wspaniale, Billy! Wyrecytujesz to jeszcze raz podczas parady, prawda? - powiedział radny, wciąż klaszcząc.

- Oczywiście! Zawsze recytuję. Publiczność się już przyzwyczaiła.

- Uwielbiają cię, Billy. Co dla nas jeszcze przygotowałaś?

- Pomyślałem, że na koniec zaprezentuję państwu coś innego - zaczął Billy Brady - coś bardziej śmiałego, można by rzec.

- Ach, śmielszego... - zachichotały damy.

- Proszę pamiętać, panie Brady, że są tu kobiety - dodała jedna z nich, popisując się dowcipem.

Billy odwrócił się do pianina i pogrzebał w otwartym pudełku. Kiedy pochyliłam się, by zabrać tacę, rzekł:

- Szanowni państwo, jestem gotowy!

Na głowie miał wojskową czapkę, pod pachą trzymał wielką strzelbę.

- Przedstawiam państwu człowieka drogiego sercom wszystkich nowojorczyków, szczególnie tych z Irlandii. Nasz pan i władca - Teddy Roosevelt we własnej osobie.

Widownia była zachwycona.

Billy przybrał odpowiednią pozycję i kontynuował:

- Witajcie, moi drodzy! W czasach gdy mężczyźni byli mężczyznami, ja byłem najbardziej męski ze wszystkich mężczyzn!

Widownia pękała ze śmiechu.

- Pozwólcie, że opowiem wam o bitwie o San Juan Hill! - wykrzyknął. - I o dniu, w którym okryłem się sławą.

Coś w jego głosie kazało mi podnieść wzrok. Patrzyłam jak zakłęta. Do skeczu z Rooseveltem założył sztuczne bujne wąsy. Głos był znajomy... Z trudem powstrzymałam okrzyk zdumienia. Zaczęłam się cofać, a gdy gwałtownie oparłam się o ścianę, jedna z zawieszonych na niej ozdób z wielkim hukiem spadła na podłogę.

Billy Brady utkwiał we mnie wzrok. Szybko odstawiłam tacę na najbliższy stolik i uciekłam. Nie miałam cienia wątpliwości. To on krzyczał na mnie na Ellis Island! Dziś wieczorem przykleił sobie te same sztuczne wąsy. Należały pewnie do akcesoriów, które nosi ze sobą na występy. Jest aktorem i wie, jak rozegrać dowolną scenę. Pewnie bez problemu wślizgnął się do pokoju strażników i pożyczył mundur. Brzuch wypchał poduszką, którą zabrał z sypialni. Z wąsami i brzuchem wyglądał zupełnie inaczej niż w rzeczywistości.

Biegłam korytarzem, świadoma, że w każdej chwili mogę poczuć czyjąś rękę na ramieniu. Czy zauważył mnie ktoś jeszcze? Jestem bezpieczna, póki Billy występuje w salonie. Ale kiedy skończy, może mnie dopaść i zabić.

Stałam niepewnie w ciemnym, chłodnym korytarzu przy kuchennych schodach. - Myśl - mówiłam do siebie. - Myśl spokojnie!

I nagle doznałam olśnienia. Przecież w pokoju jest Daniel! Nieważne, czy był

zamieszany w sprawę McCormacka, czy nie. Przecież nie pozwoli, bym zginęła z ręki Billy'ego Brady. Muszę tylko pójść znów na górę i zwrócić na siebie uwagę Daniela. Albo jeszcze lepiej - napiszę do niego liścik. Tak, znajdę jakiś pretekst - wrócę na górę po tacę i znajdę sposób, by przekazać Danielowi list. Popędziłam na dół do pokoiku pani Brennan, zgarnęłam z biurka kartkę i postarałam się zebrać myśli. Szybko napisałam liścik. Teraz wystarczy tylko zmusić się do powrotu na górę i jakoś przekazać kartkę Danielowi. A może widział wszystko i już spieszy mi na ratunek?

Odetchnęłam głęboko, weszłam po schodach i znów znalazłam się w głównym holu. Zza drzwi dobiegał głos tenora: „Zabiorę cię do domu, Kathleen”. Skradałam się cichutko, coraz bliżej i bliżej, zbierając się na odwagę, by wejść do środka. Nagle tuż obok otworzyły się drzwi i wyszedł z nich Billy Brady.

Omam nie krzyknęłam z przerażenia. Tylko spokojnie - pomyślałam. Przecież byłam w holu, po którym wciąż chodziła służba. Nic mi tutaj nie mógł zrobić. Zaciśnięłam rękę na liściku, spuściłam oczy i zmusiłam się, by spokojnie przejść obok. Kiedy poczułam rękę na ramieniu, serce prawie podskoczyło mi do gardła.

- To ty uciekłaś z salonu? - Głos miał teraz cichy i spokojny. - Coś cię zdenerwowało, tak? Już dobrze się czujesz?

Dopiero teraz zrozumiałam - nie rozpoznał mnie. W tym wykrochmalonym stroju i w czepku zakrywającym czoło muszę wyglądać zupełnie inaczej niż kobieta, którą widział na Ellis Island. Ależ ulga!

- Dziękuję, proszę pana. Wydawało mi się, że... że widziałam mysz - wymamrotałam.
- Czuję się już dobrze, dziękuję - wyszeptalam.

Chciałam go ominąć, ale zasłaniał sobą całe przejście.

- Chyba gdzieś się już widzieliśmy? - Zrobił krok do przodu i zagroził mi drogę. - Twoja twarz... Mam pamięć do twarzy.

- Może kiedy był tu pan ostatnim razem z wizytą - wymamrotałam ze spuszczonego wzrokiem. - A teraz proszę pozwolić mi przejść. Muszę zabrać tacę z filiżankami po kawie.

Pozwolił. Byłam wolna. Salon znajdował się tylko parę kroków dalej.

- Poczekaj chwilę - usłyszałam. - Te włosy. Poznają twoje włosy.

Nagle chwycił mnie od tyłu i zerwał mi czepkę. Włosy się rozsypały. Zakrył mi usta ręką i zaczął ciągnąć z powrotem.

- Ellis Island - usłyszałam szept tuż przy uchu. - Jesteś tą kobietą z Ellis Island. Rozpoznałaś mnie, prawda?

Staralam się wyswobodzić. Wciąż byliśmy w holu. Przecież tutaj mnie nie zabije. On

jednak kierował się w stronę drzwi po lewej stronie, do tego samego pokoju, z którego przed chwilą wyszedł. Walczyłam, wrywałam się. Na nic. Ciągnął mnie mocno, trzymając jedną ręką w talii, a dłonią drugiej szczelnie zakrywając mi usta. Kiedy spróbowałam kopać, zaśmiał się. Od Daniela dzieliła mnie tylko jedna ściana. Gdybym zdołała w nią uderzyć albo przewrócić jedną z tych figur! Wyciągnęłam stopę i dotknęłam rzeźby palcem, ale była z marmuru - zbyt ciężka, by chociaż drgnąć.

- Nie ma się co szarpać - znów szepnął mi do ucha. - Jestem silniejszy.

Kiedy wciągnął mnie do pokoju, otworzyłam zaciśniętą dłoń i upuściłam liścik na podłogę w holu. Potem Billy zatrzasnął za nami drzwi i jednym ruchem wielkiej ręki przekręcił klucz. Miałam sekundę, by zobaczyć, gdzie jesteśmy. W niewielkim pokoju muzycznym stało kilka zdobionych brokatem krzesel, pianino i harfa. Najwyraźniej Billy używał tego miejsca jako garderoby. Na pianinie leżały rozrzucone przybory do makijażu, a obok stał wielki otwarty kufer, na którego krawędzi wisały ubrania.

Silne palce Billy'ego miażdżyły mi kości twarzy. Drugą ręką trzymał mnie za włosy tak mocno, że łzy napłynęły mi do oczu.

- Ale szczęściarz ze mnie! Jedyna osoba, która mogła mnie rozpoznać. Nie żeby twoje zeznania cokolwiek znaczyły przed sądem! Przecież widziałas mnie tylko w przebraniu. Ale mogliby zacząć zadawać pytania, a to doprawdy nie jest mi potrzebne.

Jednego byłam pewna: niczego mu nie ułatwię. Mocno kopnęłam go w goleń, zatapiając jednocześnie zęby w jednym z jego palców. Poczułam smak krwi. Wyrwał dłoń.

- Ty mała wiedźmo! - Wymierzył mi cios prosto w twarz.

Przeleciałam przez pokój. Upadłam na otwarty kufer, który aż się zachwiał.

Billy podbiegł do mnie i uderzył jeszcze raz.

- Pożałujesz! - powiedział.

- Co z tego, skoro i tak mnie zabijesz? Tak samo jak O'Malleya i tego biednego fotografa. - Staralam się, by zabrzmiało to wyzywająco, ale ledwo zdołałam wydobyć z siebie głos. Czułam zawroty głowy po uderzeniu.

- Wcale nie chcę cię zabić, głupia dziewczucho. Donny'go też nie chciałem.

- Donny'go?

- Przybrał nazwisko O'Malley, ale rozpoznałem go natychmiast. Napisał do mnie. Uważał się za wielkiego spryciarza, ale ja byłem od niego bystrzejszy. Miał pecha, że akurat odwiedzałem wtedy wyspę, tak samo jak ty miałaś pecha, że mnie zobaczyłaś.

Rozglądał się po pokoju. Jakbym potrafiła czytać w myślach. Szukał czegoś, czym mógłby mnie zabić. Chwycił biały szalik, który zwisał z kufra, rzucił mnie na dywan

i przygniótł kolanem. Pewnie zaraz zacznie dusić! Staralam się krzyknąć, ale kolano mocno wciskało mnie w podłogę. Był duży i bardzo silny. Potrafił przecież jednym cięciem poderżnąć nożem gardło!

- Nie, nie zrobię tego tutaj. Zbyt ryzykowne. Tuż za ścianą siedzi ten pies gończy Sullivan.

- To prawda. - Skręciłam głowę na bok i wydyszałam: - Jestem jego szpiegiem w tym domu. W każdej chwili może zacząć mnie szukać.

- Czyli musimy się pospieszyć. Zabiorę cię stąd, zanim zacznie węszyć - odparł.

- A jak niby mnie stąd zabierzesz? Nie będę siedziała cicho. Nie boję się ciebie!

- W najprostszy możliwy sposób, jak mawiał Sherlock Holmes, moja droga. Zabiorę cię stąd w kufrze. Weźmiemy powóz i zawieziemy kufer prosto do rzeki Hudson. Hop do wody! Łatwo i przyjemnie. Nikt się nie dowie, co się z tobą stało. - Mówiąc to, podniósł mnie za włosy.

Wykręcałam się na wszystkie strony. Młóciłam rękami na oślepie. Dokładnie wtedy, kiedy nabrałam powietrza w płuca, by wrzasnąć z całych sił, wsadził mi w usta kłęb waty, a potem przewiązał twarz szalikiem.

- Przepraszam. Naprawdę mi przykro - powiedział.

Dusiłam się watą w ustach, szalik zatykał mi nos. Oddychałam z trudem.

- Musisz zrozumieć - powiedział, ciągnąc mnie w stronę kufra.

Wtedy spojrzałam mu w oczy. Spodziewałam się zobaczyć triumf, ale dostrzegłam tylko przerażenie.

- Musisz zrozumieć - ciągnął - że nie mogę już tak dłużej żyć. Budzić się każdego ranka z pytaniem, czy to właśnie dziś dowiedzą się o moich związkach z Plumbridge. I te wyrzuty sumienia... Na litość boską, miałem tylko dwadzieścia jeden lat! Złapali mnie i zaczęli torturować. Powiedziałbym cokolwiek, byle tylko przestali. A kiedy mnie wypuścili, myślałem, że jestem wolny. - Zaczął wyrzucać z kufra niepotrzebne przedmioty. - Pewnie nie masz pojęcia, o czym mówię, prawda?

Zdjął wąsy i zobaczyłam, że jest jeszcze zupełnie młody. Na jego niewinnej twarzy chłopaka, który mógłby mieszkać w dowolnej wiosce w Irlandii, pojawił się grymas bólu.

- Kiedy zobaczyłem tam Donny'go, jak siedzi na ławce, wiedziałem, że muszę wykorzystać okazję. Więc zostałem na wyspie i zacząłem go śledzić. Szkoda, że mnie widziałaś.

Zaciskał ręce na moim gardle. Chyba jednak mnie tutaj zabije. Krew napłynęła mi do głowy. Udaj martwą, zanim naprawdę cię ukatrupi! - usłyszałam wewnętrzny głos. Zwiesiłam

ciało. Podniósł mnie jak pakunek i włożył do kufrza pomiędzy ubrania. Wieko zamknęło się z trzaskiem. Wiedziałam, że powinnam coś zrobić, ale co chwila traciłam przytomność. W kufrze było tak ciasno, że nawet gdybym chciała, nie mogłabym się poruszyć. Najbardziej bolała mnie świadomość, że Daniel jest tak blisko, a jednak nie może mi przyjść na ratunek. Nawet jeśli znalazł liścik, jest już za późno.

Poczułam, że kufer się poruszył. Najpierw zatrząsł się, potem przekeziołkował, następnie poczułam, że ktoś mnie niesie. Usłyszałam wesołe głosy wymieniające pozdrowienia.

- George, dziękuję za pomoc.

- Szkoda, że musi pan wyjść tak wcześnie, panie Brady.

- Cóż, taki mam zawód. Wrzućcie to chłopcy na tył powozu. Tak, wiem, że ciężki ten kufer. Te wszystkie akcesoria ważą chyba z tonę. Można by pomyśleć, że ukryłem w tym kufrze ciało. Ha, ha, ha!

Po ostatnim wstrząsie wylądowałam na czymś twardym. Twarz miałam skierowaną do dołu. Staralam się odwrócić głowę. Zobaczyłam prześwit w dziurce od klucza. Modliłam się, by wlatywała przez nią wystarczająca ilość powietrza. Czy to jednak w jakikolwiek sposób mogło mi pomóc? Przecież utonę, kiedy wrzuci mnie do wody. Ale do ostatniej sekundy życia nie wolno tracić nadziei. Kufer zaczął trząść się i drzeć, gdy powóz przyspieszył. Tak więc Daniel niczego nie podejrzewał, a teraz jest już za późno. Cóż za głupi koniec - pomyślałam. Tyle marzeń, tyle nadziei, a wszystko zakończy się ot tak, po prostu. Szkoda, że nie udało mi się powalić Brady'ego porządnym kopniakiem, tak jak Justina. Z przyjemnością zobaczyłabym, jak leży martwy na podłodze w mojej kuchni, obok pieca. Żalowałam, że nie byłam szybsza, sprytniejsza, silniejsza. Zanim znów straciłam przytomność, zdążyłam jeszcze pomyśleć, że głupio jest być kobietą.

Obudził mnie kolejny wstrząs. Staliśmy w miejscu. Chyba wyniesiono kufer z powozu. Czulałam, że szoruje po ziemi, tak jakby był trochę ciągnięty, a trochę niesiony. Czyli to koniec. Czeka na mnie lodowata woda w porcie. Jak długo się tonie? Ktoś mi chyba mówił, że to przyjemna śmierć. Ale jak śmierć może być przyjemna - tego nie byłam w stanie pojąć.

- Żegnaj, młoda damo - usłyszałam nad sobą głos Billy'ego. - Przykro mi, że muszę to zrobić. Naprawdę przepraszam.

Poleciałam w dół. W chwili gdy kufer spotkał się z taflą wody, mocno uderzyłam twarzą o wieko. Zalała mnie lodowata fala, tak zimna, że nie mogłam złapać tchu. Brakowało powietrza, o mały włos nie połknęłam kłęбка waty. Serce niemal mi stanęło, kiedy walczyłam

o oddech. Czułam wodę na twarzy. Kopnęłam i nagle okazało się, że jestem wolna. Druga noga też poruszała się swobodnie. Kufer musiał się otworzyć, uderzając o wodę. Byłam wprowadzicie pod nim, ale poradziłam sobie - potrafiłam pływać tak dobrze jak chłopak. Lekcje pobierałam w zimnych, surowych falach Atlantyku, a w pływaniu w zatoce biłam braci na głowę. Jak dobrze, że Brady nie pomyślał, by związać mi ręce.

Silnym ruchem wydostałam się na powierzchnię. Przed sobą widziałam ciemny port, po przeciwnej stronie migoczące światła. Musiałam tylko dopłynąć do brzegu. Ciężka wełniana suknia ciągnęła w dół, a knebel uniemożliwiał oddychanie. Wydawało się, że brzeg jest bardzo blisko. Dam radę! Ale uprzytomniłam sobie coś jeszcze. Prąd nie pozwalał mi płynąć tam, gdzie chciałam. Odpychał mnie od brzegu. Walczyłam z nim, ale nie miałam szans. Brzeg się oddalał, czułam, jak przeszywa mnie lodowate zimno. Poruszałam rękami z coraz większym trudem.

Przed sobą dojrzałam światło, które wydawało się płynąć po wodzie. Była to zwykła łódka z wiosłami. Pomogą mi, jeśli jakoś zwrócę na siebie uwagę. Muszę krzyknąć! Przestałam płynąć i zaczęłam walczyć z szalikiem na twarzy. Ale ręce miałam tak zmarznięte, że nie mogłam ruszać palcami.

- Mmm...

Nędzne wołanie przez watę nie przypominało krzyku o pomoc. Pewnie słyhać mnie było zaledwie w promieniu metra. Próbowalam machać rękami w powietrzu, ale rękawy sukni były czarne. Czy ktoś zobaczy moją przemarzniętą białą dłoń w tej ciemności?

Słyszałam plusk poruszanej wiosłami wody i męskie głosy. Jeszcze raz gwałtownie zamachałam i spróbowałam popłynąć w kierunku łodzi. Wiedziałam, że nie dam rady. Było zbyt zimno, opadałam z sił. Stoczyłam zażartą walkę, ale rzeka Hudson mnie pokona. Sen był jedynym wyjściem. Zamknęłam oczy i nagle znalazłam się w ciepłym łóżku, przy rozpalonym kominku. Usłyszałam, jak Daniel Sullivan mówi:

- Nie martw się, Kathleen, jesteś bezpieczna.

Przez myśl przemknęło mi ostatnie pytanie: Kto to jest Kathleen?

Kiedy otworzyłam oczy, było mi bardzo zimno i niewygodnie. Ktoś odciągał mnie od miękkiego łóżka i ciepłego kominka.

- Nie zabierajcie mnie od ognia. Tak mi zimno. Zostawcie mnie w spokoju - wyszeptałam. - Chcę do Daniela.

- Do Daniela? - odezwał się znajomy głos.

Oprzytomniałam. Otaczało mnie czyjeś ramię, chroniąc przed gwałtownymi wstrząsami pędzącego powozu. Chociaż było ciemno, nie miałam wątpliwości, że ramię to należy do Daniela Sullivana.

- Umarłam? - zapytałam.

- Jeszcze nie - odparł w ciemnościach ten sam głos. - Będzie dobrze, jeśli uda nam się szybko zdjąć z pani przemoczone ubranie i napoić czymś ciepłym.

Zaczęłam przypominać sobie wydarzenia tego wieczoru. Daniel Sullivan siedzi przy stole z radnym. Rozmawiają jak starzy znajomi.

- Dokąd mnie pan wiezie? - spytałam zaniepokojona.

- Do domu - odparł. - Na Cherry Street. Ma pani tam rodzinę, prawda? Tę, która opiekuje się dziećmi. Zajmą się panią.

Usiadłam z trudem.

- Nie, nie możemy tam jechać. Już nigdy nie chcę tam wracać. Proszę.

Daniel spojrzał na mnie, a potem się pochylił i powiedział do woźnicy:

- Jedziemy do mnie, Donovan. To bliżej niż posterunek.

Kiedy powóz ostro przechylił się na prawo, znów oparłam się o ramię Daniela. Przygarnął mnie do siebie. Szczękałam okropnie zębami, stopy i dłonie piekły. Wracało we mnie życie. Zaczynałam też dostrzegać wszystkie dobre i złe strony obecnej sytuacji. Chciałam poczuć się bezpiecznie przy Danielu, ale czy mogę mu zaufać?

- Jak mnie znaleźliście? - zapytałam.

- Znaleźliśmy? A z jakiego niby powodu gościłem u radnego?

- Ach, tak - odparłam, bardzo pragnąc uwierzyć w to, co mówi.

- Zapewniam panią, że towarzystwo radnego i jego głupiutkiej żonki nie jest dla mnie atrakcyjne. Wolę spędzać wieczory inaczej, ale ktoś musiał mieć na panią oko. Nie do końca mi to wyszło, za co najmocniej przepraszam.

- Skąd pan wiedział, że tam jestem?

- Po zabójstwie fotografa zdecydowałem, że będziemy panią śledzić. Kiedy

usłyszałem, że była pani na tyle nieodpowiedzialna, by wybrać się do domu radnego, postanowiłem, że dam się zaprosić do niego na przyjęcie. Zawsze stara się mieć przyzwoite relacje z policją. Ale znam go. Jest bezlitosny.

- Wiem. Przyłapał mnie na myszkowaniu w swoim gabinecie. Ledwo uszłam z życiem.

- Lubi pani niebezpieczną grę, prawda?

- Tak. Byłam nierozważna. Ale dopiero podczas występu w salonie, kiedy Billy Brady zaczął naśladować Roosevelta, uświadomiłam sobie, że to jego widziałam na Ellis Island.

- Dlatego pani uciekła z pokoju? Zastanawiałem się długo, co ma z tym wspólnego Brady. Myślałem, że jest na usługach radnego.

- Nie. Radny nie ma tu nic do rzeczy - powiedziałam. - Chociaż ma na sumieniu ciemne interesy.

- Co w ogóle mnie nie dziwi - zaśmiał się Daniel. - Czyli O'Malley przypląnął, by szantażować Brady'ego?

- To Billy Brady zdradził dziewiątkę z Plumbridge - odparłam. - Był jednym z nich i tylko jego złapała policja. Zaczęli go torturować, więc wydał wszystkie nazwiska, by ocalić skórę.

- Nic dziwnego, że musiał natychmiast uciszyć O'Malleya. Jeśli prawda wyszłaby na jaw, nie sądzę, by długo pozostał ulubieńcem Irlandczyków.

- Musi pan natychmiast go dopaść i aresztować - powiedziałam. - Dlaczego jeszcze tego nie zrobiliście? I dlaczego pozwolił pan, bym prawie utonęła?

- Pozwolił? Moja droga, nie mogę sobie wybaczyć, że byłem tak nieudolny. Przed wejściem do posiadłości radnego zostawiłem policjanta, który miał pilnować, żeby nic się pani nie przytrafiło. Wyczułem, że coś jest nie tak, kiedy wybiegła pani z pokoju i zaraz wyszedł też Billy Brady, ale nie chciałem robić scen. Proszę pamiętać, że podejrzewałem radnego. Poza tym byłem spokojny, bo na zewnątrz czuwał mój człowiek. Nie przypuszczałem, że okaże się na tyle głupi, by pomagać Billy'emu wstawiać kufer do powozu. Strach pomyśleć, co by się stało, gdybym nie wyszedł i dokładnie go o wszystko nie wypytał. I tak się spóźniliśmy. Nie mogliśmy pani znaleźć w tej ciemności. Niezła z pani pływaczka! Nie jest łatwo przetrwać w takim nurcie.

- Potrafię pływać - przyznałam.

- Jest pani dla mnie zagadką, pani O'Connor - odparł.

Gdybyś tylko wiedział! - pomyślałam.

Oslabienie wciąż dawało o sobie znać, choć ból w kończynach mijał. Czułam ulgę,

mogąc oprzeć głowę na ramieniu Daniela. Znów obudziło mnie szarpnięcie.

- Jesteśmy na miejscu - usłyszałam.

Pomógł mi wsiąść z powozu. Stanęliśmy przed eleganckim budynkiem z elewacją z piaskowca. Rząd drzew ozdabiał ulicę.

- To szczęście, że mieszkam w Chelsea - powiedział. - Na Lower East Side nie dałaby pani rady dojechać. Poruczniku, wchodzimy.

Wnieśli mnie na górę po schodach. Drzwi były otwarte. Weszliśmy do przestronnego pokoju. Widać było, że jest to mieszkanie kawalera. Przy kominku - skórzany fotel, na stoliku obok taca, a na niej fajka. Po przeciwnej stronie - biurko. Nad kominkiem - wizerunek sportowca. Daniel zapalił lampę gazową i przyklęknął przy kominku. Zaszyczało, natychmiast zrobiło się ciepło.

- Dziękuję, poruczniku - powiedział, kiedy policjant pomógł mi usiąść w fotelu. - Może pan wracać na posterunek. Zadzwońię do szefa, a do was dołączę, jak tylko będę mógł.

Policjant wyszedł, zostawiając nas samych. Daniel zbliżył się do kredensu i napełnił szklanekę czymś z karafki.

- Proszę to wypić - powiedział. - Rozgrzeje panią od środka.

Pociągnęłam łyk i skrzywiłam się.

- Pali - powiedziałam.

- Widać, że nie pija pani alkoholu. Trzeba to przełknąć.

Przełknęłam, zakasłałam i upiłam kolejny łyk.

Zaśmiał się.

- Jakby ktoś teraz nas zobaczył, mógłby pomyśleć, że zamierzam panią otruć. Trzeba pani wiedzieć, że to najlepsza brandy.

- Smakuje okropnie. - Wzdrygnęłam się.

- A teraz musimy zdjąć z pani szybko tę mokrą sukienkę - powiedział i zniknął w pokoju obok.

Wrócił z kocem, ręcznikiem i suchymi ubraniami.

- Nie mam dla pani nic odpowiedniego, ale proszę włożyć chociaż to. Przynajmniej się pani rozgrzeje. Może się pani przebrać przy kominku. Proszę się nie obawiać, nie będę patrzył. - Powiedział to z dziwnym uśmiechem. - Muszę zadzwonić na posterunek, a potem pójdę do kuchni. Kiedy będzie się pani przebierać, zrobię herbatę.

Z trudem wyostałam się z mokrej sukni. Dlaczego z tyłu jest zawsze tyle drobnych guzików? Zesztywniałe z zimna palce z trudem je rozpinają. Przecież nie zawołam Daniela, by pomógł mi się rozbierać? Brandy zaczynała działać. Czułam, jak ciepło rozchodzi się po

moich przemarzniętych członkach.

W końcu szarpnęłam suknię na plecach i usłyszałam, że guziki spadają na wypolerowaną podłogę. Energicznie wytarłam się ręcznikiem, który przyniósł Daniel, a następnie zaczęłam wkładać suche rzeczy. Dał mi męski bawełniany kombinezon, jaki zimą nosi się pod ubraniem. Kiedy go włożyłam, odwróciłam się. W lustrze zobaczyłam swoje odbicie. Wyglądałam tak zabawnie, że parsknęłam śmiechem.

Daniel przybiegł z kuchni.

- Co się stało? Wydawało mi się, że pani krzyknęła.

- Nie, ja tylko się zaśmiałam. Proszę na mnie spojrzeć!

Wyciągnęłam rękę i nogę w zbyt obszernym ubraniu. Wtedy także zaczął się śmiać.

- Kobieta połknięta przez ośmiornicę. W tym stroju mogłaby pani występować w teatrze, w przedstawieniach pantomimy. To teraz popularne!

- Danielu, to wszystko zaczyna być dość zabawne.

- Zwróciła się pani do mnie po imieniu.

Podszedł bliżej, a ja poczułam, że coś popycha mnie w jego kierunku.

- Pan pierwszy użył mojego imienia - odparłam.

- To prawda. Obojgu nam się wymknęło. - Położył mi ręce na ramionach. - Rozum nakazuje działać rozważnie. Czy teraz też mam go słuchać, pani O'Connor? - Wpatrywał się we mnie. W blasku ognia jego oczy zabłyśły.

- Ludzie, którzy zbyt często słuchają rozumu, mają nudne życie, panie Sullivan - wyszeptałam.

- W takim razie chyba nie posłucham... - powiedział i schylił się, żeby mnie pocałować.

Nigdy w życiu tak się nie czułam. Szczerze mówiąc, wielu chłopcom pozwoliłam na pocałunki. Niektórzy robili też coś więcej. Ale przyznaję, że nie bardzo wiedziałam, o co tyle hałasu. Teraz to do mnie dotarło. Objęłam rękami jego szyję i przytuliłam się mocno. Znów poczułam zawrót głowy, tym razem zupełnie innego rodzaju. Zrozumiałam, dlaczego mężczyźni są czasem owładnięci pożądaniem. Czułam dokładnie to samo, nie byłam nawet w stanie jasno myśleć. Daniel wziął mnie w ramiona. Kiedy niósł do sypialni, oprzytomniałam. Za chwilę się zorientuje, że nie jestem kobietą, za którą mnie uważa. Nie jestem mężatką ani matką dwójki dzieci.

Zacząłam uwalniać się z objęć.

- Nie, nie tutaj. Proszę mnie puścić.

Był zdezorientowany.

- Przepraszam, źle to odczytałem.

Delikatnie postawił mnie na ziemi.

- Dobrze odczytałeś. - Uniosłam rękę i delikatnie pogłaskałam go po twarzy. - Wierz mi, ja też czuję coś wyjątkowego, ale najpierw muszę wyjaśnić parę rzeczy. Powinieneś poznać całą prawdę.

Uklękłam przy kominku i wyciągnęłam ręce w kierunku ognia. Daniel przysiadł na poręczu fotela, który stał za mną. Nie chciałam widzieć jego twarzy, więc wpatrywałam się w płomienie.

- Danielu, muszę ci coś wyznać - zaczęłam. - Nie nazywam się Kathleen O'Connor i nie jestem mężatką.

- Nie nazywasz się Kathleen O'Connor?

Patrzyłam przed siebie.

- Kłamałam i nienawidzę siebie za to. Żeby tu przyplłynąć, zajęłam na statku miejsce prawdziwej Kathleen. Ona została w Irlandii. Jest śmiertelnie chora. To był jedyny sposób, by dzieci znalazły się przy ojcu.

- Matko Przenajświętsza! Zajęłaś jej miejsce! To dlatego się od nich wyprowadziłaś, opuszczając dzieci. Podejrzywałem, że coś jest nie tak. Nie wyglądasz na osobę, która łatwo porzuca własne dzieci. W takim razie kim jesteś, na Boga?

- Nazywam się Molly. Molly Murphy.

Odgarnął mi z czoła mokre włosy.

- Molly. Pasuje do ciebie bardziej niż Kathleen. Powiedz mi, Molly, jest jakiś mąż albo konkurent, który chciałby mnie pobić za to, że zalecam się do jego ukochanej?

- Nie ma takiego, proszę pana. Jestem sama na świecie. Wolna i do wzięcia.

- Cieszę się, że to słyszę - powiedział. - W takim razie, będąc dżentelmenem, powstrzymam się i nie uwiodę młodej damy, która wciąż jest w szoku. Nadejdzie odpowiedniejszy moment.

Znów mnie pocałował. Tym razem czulej. Potem wstał.

- Zrobię herbaty.

Z żalem patrzyłam, jak odchodzi.

24

Teraz, kiedy Daniel Sullivan znał całą prawdę na mój temat, postępował jak prawdziwy dżentelmen. Nie pozwolił, bym spędziła noc w jego kawalerskim mieszkaniu. Jego zdaniem musiałam dbać o reputację. Poprosił irlandzką rodzinę, która mieszkała na parterze, bym mogła u niej przenocować. Okazali się bardzo gościnni, a ich córka pożyczyła mi nad ranem trochę ubrań. Nigdy więcej nie zamierzałam włożyć tamtej czarnej sukienki. Nie zamierzałam też wrócić do pani Brennan. Jedna lekcja mi wystarczyła. Dostałam nauczkę. Zdecydowałam, że lepiej trzymać się z dala od domu radnego, a wymierzanie sprawiedliwości pozostawić policji.

Kiedy następnego ranka ubierałam się i robiłam toaletę, krzyknęłam z przerażenia, widząc w lustrze swoje odbicie. Moja twarz wyglądała jak potłuczony owoc. Były na niej otarcia i siniaki.

- Nie możesz wyjść na ulicę w takim stanie - powiedziała pani O'Shea, kręcąc z politowaniem głową. - Kapitan Sullivan powiedział mi, że jakiś wariat wrzucił cię do wody, bo chciał, byś utonęła. Mam nadzieję, że go złapią. To nie jest miasto dla samotnych młodych dziewcząt. Musisz sobie znaleźć odpowiedzialnego mężczyznę, który się tobą zajmie.

- Tak - odparłam. - To nie jest zły pomysł.

Jednego już miałam na oku. Pojawił się koło południa i kiedy w świetle dnia zobaczył moją posiniaczoną twarz, krzyknął:

- Wszyscy święci! Spójrz na siebie!

- Wolałabym nie patrzeć - odpowiedziałam. - I wiesz co? Nie sądzę, by wybrali mnie na królową parady w dniu świętego Patryka.

- Drań! - wyszeptał Daniel, delikatnie dotykając mojej twarzy. - Nie darujemy mu.

- Już go aresztowaliście?

- Tak. Zeszłej nocy. Ale od razu wpłacił kaucję i wyszedł. Jest bardzo pewny siebie, chce się wykręcić sianem. Nie przypuszcza, że mamy jakiegokolwiek dowody.

- Musicie się postarać - odparłam. - Zabił dwóch ludzi. I mnie prawie też. Czy mogę zeznawać?

- Oczywiście. Jeśli będziemy mieć wystarczające dowody, by postawić go przed sądem. Ale był bardzo sprytny. W obydwu przypadkach używał przebrania i rękawiczek. Żadnych świadków, żadnych odcisków palców.

- Ależ ja jestem świadkiem! - krzyknęłam. - Widziałam go na Ellis Island!

Daniel pokręcił głową.

- Ale podawałaś się wtedy za inną osobę. A potem oskarżyłaś Boyle'a i radnego. Obawiam się, że dobry obrońca nie zostawi na twoich zeznaniach suchej nitki.

- Nie można pozwolić, żeby chodził na wolności. A dowody z Irlandii? Przecież przyślą ci wszystkie informacje na jego temat!

- Wypuścili go, bo wydał swoich przyjaciół. Tam ma czystą kartę.

- Ale zabił dwie osoby, żeby ukryć ten fakt!

- Prawdziwy problem polega na tym, że do Ameryki przybył jako Billy Brady. Nie ma żadnych dokumentów, które potwierdzą jego prawdziwą tożsamość. Odkąd żyje tu pod przybranym nazwiskiem, nie ma sposobu, by łączyć z nim jakiekolwiek fakty z przeszłości.

To, co mówił Daniel, zrobiło na mnie ogromne wrażenie. Do Nowego Jorku przybyłam jako Kathleen O'Connor. Byłabym tu całkowicie bezpieczna, gdyby nie to, że wyznałam Danielowi całą prawdę.

- Co więc zamierzasz zrobić? - spytałam. - Chyba nie pozwolisz, żeby mu wszystko uszło na sucho.

- Zrobię co w mojej mocy. Obiecuję - odparł. - Ale od tej chwili trzymasz się z daleka od działań policji.

- A radny? On też jest zamieszany w mętne interesy. Zajmiesz się tym?

- Nie. Bo chciałbym zachować swoją posadę - odparł Daniel. - Posłuchaj, Molly. Musisz zrozumieć, jakimi prawami rządzi się Nowy Jork. Tammany Hall pociąga za wszystkie sznurki. Ułatwia nam życie, a my przymykamy oko na pewne sprawy. Zgadzam się, że to nie jest w porządku, ale tak to działa. Każdy policjant, który zacznie ścigać kogoś z Tammany, będzie jednocześnie kopał dla siebie grób. I nawet jeśli radny prowadzi jakieś mętne interesy, miasto go uwielbia. McCormack wspiera wszystkie organizacje dobroczynne. Urządza obchody dnia świętego Patryka. I jest przy tym bardzo, bardzo ostrożny. Jeśli ktokolwiek spróbuje go postawić przed sądem, okaże się, że nie ma ani świadków, ani dowodów przestępstwa.

- W takim razie to miasto jest skorumpowane - powiedziałam.

- Przypuszczam, że tak jak każde inne. Ale jest też bardzo przyjazne. Moi rodzice przybyli tutaj podczas wielkiego głodu. Kiedy Tammany doszła do władzy, ojciec został policjantem. Awansował i dobrze zarabiał. Mógł mnie posłać na Uniwersytet Columbia. To jest dobra strona życia tutaj. Nieważne skąd przybyłeś, tu masz szansę zostać kimś lepszym.

- Ja też mam takie plany - odparłam. - Muszę znaleźć pracę. Oczywiście jak tylko moja twarz zacznie lepiej wyglądać i będę mogła pokazać się ludziom. - Dotknęłam ręką opuchniętego policzka.

- Jakiej pracy będziesz szukać?

- Na pewno nie służącej. Chyba nie nadaję się do tego. I raczej nie dostanę dobrych referencji, nie sądzisz?

Daniel podszedł i oparł się o poręcz fotela, na którym siedziałam zawinięta w koc, grzejąc się w ciepłe kominka.

- A co byś chciała robić?

- No wiesz - zaczęłam - wydaje mi się, że mam talent śledczy.

- Matko Boska! O czym ty mówisz?

- O tym, że chciałabym zostać pierwszą kobietą detektywem w nowojorskiej policji - powiedziałam i roześmiałam się, widząc zdziwienie na jego twarzy. - Danielu, posłuchaj. Tak sobie myślę... Kiedy odpływałam z Liverpoolu, spotkałam masę ludzi, którzy poszukiwali swoich bliskich w Nowym Jorku. Może mogłabym prowadzić takie poszukiwania?

- Czy ty, kobieto, wciąż się niczego nie nauczyłaś? Dobrze sobie! Prywatne śledztwa! Już raz wylawiałem cię z wody.

- Nie mam na myśli przestępstw kryminalnych. To zostawię tobie. Ale w Europie jest wiele osób, które chcą się dowiedzieć, czy ich bliscy wciąż żyją. Nie sądzisz? To z pewnością lepsza praca niż te wszystkie, które mi do tej pory oferowano.

- To znaczy?

- Patroszenie ryb i prostytutka.

Roześmiał się, a potem wziął mnie za rękę.

- Jest jeszcze jedno rozwiązanie - powiedział. - Mogłabyś się ustatkować.

Teraz ja się roześmiałam.

- Czy uważasz, że powinnam się zająć wybieraniem zasłon i organizowaniem podwieczorków? Przychodzi ci może też do głowy odpowiedni kandydat na męża?

Daniel wstał.

- Nie. Powiedziałem to, co mi ślina na język przyniosła. Tak jak zwykle. Muszę wracać do pracy. Wpadłem tylko, żeby sprawdzić, czy dobrze się czujesz.

Kiedy wyszedł, zapatrzyłam się w kominek. W miłosnych grach byłam dopiero nowicjuską, ale przecież wyczułam, że chciał mi się oświadczyć. Coś go jednak powstrzymało. A może Daniel Sullivan też ma swoje tajemnice?

Kiedy nadszedł dzień świętego Patryka, czułam się już lepiej. Siniaki na twarzy prawie zniknęły, więc mogłam się pokazać na ulicy. Państwo O'Shea byli wyjątkowo mili. Pozwolili mi mieszkać u siebie aż do momentu, kiedy odzyskałam dobre samopoczucie. Dopiero później odkryłam, że Daniel płacił im za gościnę. W pewnym momencie jednak,

niechętnie, acz stanowczo, powiedziałam mu, że nie mogę już dłużej być dla nich ciężarem i że chcę wrócić do pensjonatu.

- Chyba znalazłem dla ciebie coś lepszego niż pensjonat - powiedział. - Niezbyt daleko od miejsca, gdzie mieszkam. Jeden z naszych sierżantów ma tam poddasze, ale aktualnie z niego nie korzysta. Wspaniały widok z okna na rzekę. Spokojne sąsiedztwo. No i nie będziesz tam musiała czytać Biblii.

- To byłoby cudowne! - zawołałam. - Ale nie mam ani pracy, ani pieniędzy.

- W tej chwili poddasze stoi puste, a jestem pewien, że sierżant O'Hallaran zgodzi się chwilę poczekać na pieniądze - odparł. - Poza tym mam coś, co podreperuje twoje finanse. Radny McCormack bardzo się zdenerwował, kiedy usłyszał, że opuszczałaś jego dom w takich paskudnych okolicznościach. Nie miał pojęcia, że zaprasza do siebie niebezpiecznego przestępcę. Chciałby ci to jakoś wynagrodzić. Ma również nadzieję, że wkrótce znajdziesz odpowiednią pracę, która umożliwi ci rozwijanie talentów.

Wręczył mi skórzaną sakiewkę. Była ciężka. Spojrzałam na niego podejrzliwie.

- Danielu, czy to łapówka?

- To podarunek od bardzo hojnego darczyńcy. Przyjmiesz go, jeśli jesteś rozsądną dziewczyną.

Już chciałam mu powiedzieć, że mam wyższe standardy moralne i że nie można mnie kupić. Ale potem przypomniałam sobie, że popełniłam przestępstwo, uciekłam od odpowiedzialności, podróżowałam pod przybranym nazwiskiem i okłamałam policję. Czy kolejny krok na drodze przestępczej ma jakiegokolwiek znaczenie? Przyjęłam sakiewkę.

- Proszę, podziękuj radnemu za jego wielkie serce - powiedziałam. - I przekaz mu, że skieruję swoje talenty na odpowiednie tory.

- Idziesz jutro zobaczyć paradę? - zapytał. - To piękna uroczystość i wspaniały dzień dla wszystkich Irlandczyków. Chętnie bym ci towarzyszył, ale niestety jestem na służbie. Pewnie i tak się spotkamy.

Potem poszliśmy obejrzeć poddasze na Dwunastej Ulicy. Składało się z dwóch pokoi połączonych korytarzem, w którym znajdował się zlew.

- Nie potrzebuję aż tyle miejsca - zauważyłam. I wtedy przyszedł mi do głowy wspaniały pomysł. - Myślisz, że sierżant będzie miał coś przeciwko temu, żeby zamieszkał tu ktoś jeszcze?

Daniel spojrzał na mnie ze zdziwieniem.

- Kogo masz na myśli?

Roześmiałam się, kiedy pojęłam, o co mnie podejrzewa.

- Nic z tych rzeczy. Chodzi o to, że dzieci, którymi się opiekowałam na statku, mieszkają teraz w brudnym, ciasnym mieszkaniu. Ich ojciec rozgląda się za lepszym miejscem, ale pracuje do późna i nie ma na nic czasu. Mogliby zamieszkać w jednym pokoju, a ja w drugim.

- Masz dobre serce, Molly Murphy - zauważył Daniel. - Podobają mi się kobiety o wielkim sercu. Podoba mi się też wąska talia, ładna buzia, długie rude włosy i...

Musiałam znowu odsunąć go od siebie, przypomnieć, by zachowywał się przyzwoicie, bo inaczej zrujnuje moją reputację. Rodzina sierżanta wyrobi sobie o mnie złe zdanie, zanim jeszcze zdążę zamieszkać pod ich dachem.

W dzień świętego Patryka poszłam najpierw na Cherry Street.

- A co ona tu znowu robi? - zapytała Nuala, kiedy ujrzała mnie w drzwiach. - Chyba nie sądzisz, że przyjmimy cię z powrotem pod swój dach, jak by sobie tego życzył ten pocziwina, kuzyn mojego męża?

- Ależ nie, dziękuję - odparłam. - Nawet nie przyszło mi to do głowy. Mam lepsze mieszkanie. Ciepła woda, piękny widok z okna i miłe sąsiedztwo. Przyszłam porozmawiać z Seamusem i zapytać, czy mogę wziąć dzieci na dzisiejszą paradę.

Dzieci były uszczęśliwione. Seamus senior poszedł razem z nami. W drodze na Broadway opowiedziałam mu o swoim nowym lokum i pomyśle, by zamieszkali w nim ze mną. Miałam wrażenie, że się ucieszył. Umówiliśmy się, że najpierw zobaczy poddasze. Kupiłam dzieciom pączki, a potem przysiedliśmy na murku, czekając na rozpoczęcie parady.

Pierwsze pojawiły się wozy strażackie, anonsując swoje przybycie głośnymi dzwonekami. Były zaprzęgnięte w konie przystrojone w piękne pióra. Potem naszym oczom ukazała się orkiestra, a za nią dwa samochody udekorowane na zielono. W pierwszym siedział burmistrz, w drugim radny McCormack.

- Niech Bóg was prowadzi! Niech Bóg błogosławi waszą pracę! - krzyczał tłum, kiedy samochód nas mijał. Wydawało mi się, że radny zauważył mnie wśród ludzi i posłał mi uśmiech.

Następnie zaczęli defilować ludzie różnych zawodów. Najpierw policja, za nią strażacy, a potem grupa mężczyzn z koniczynkami na kapeluszach, czyli związek budowlańców. Wśród nich kroczył godnie Michael Larkin, trzymając wysoko głowę.

- Michael! - krzyknęliśmy wszyscy razem, ja, Bridie i mały Seamus. Zaczęliśmy do niego machać.

Od razu do nas podbiegł.

- Dostałem pracę, tak jak mówiłem! - krzyknął. - Wznoszę nowy budynek na Union

Square. Będzie najwyższy na świecie!

Popędził z powrotem, by dogonić swoją grupę. Odwrócił się jeszcze i zawołał:

- Wychodzę na lunch pomiędzy dwunastą a pierwszą!

Teraz mijały nas platformy z irlandzkimi grupami tanecznymi. Jechały gigantyczne harfy i liście koniczyny. Dzieci były zachwycone. Ja też. Nagle zamarłam. Zbliżała się kolejna platforma. Dekoracja przedstawiała irlandzką wioskę z górami w tle. Niski męski głos recytował *Zieloną balladę*. Na transparencie widniało: „Billy Brady. Ulubieniec Irlandczyków”.

Poczułam, jak ogarnia mnie fala gniewu i bezsilności. Czemu nie siedzi w więzieniu? Dlaczego pozwolono mu tutaj występować z uśmiechem na twarzy?

Wtem z tłumu wybiegł mężczyzna.

- Zdrajca! - krzyknął. - Wydałeś tych chłopców!

Rozległ się strzał. Billy Brady zachwiał się i upadł. Do unieruchomionej platformy podbiegli policjanci. Po kilku minutach pojawił się Daniel. Przyjechał konny ambulans i zabrał ciało. Parada znów ruszyła.

Daniel zobaczył mnie w tłumie. Kiedy podszedł, spytałam:

- Jakim cudem ten człowiek wiedział, kim jest Brady? Sądzisz, że O'Malley przed śmiercią coś komuś wyjawiał? - Przerwałam, bo zaniepokoił mnie wyraz twarzy Daniela. - Zaraz. Chyba nie powiesz mi, że ten, który strzelał, był jednym z policjantów?

- Oczywiście, że nie. Nie jesteśmy tu po to, by łamać prawo, ale żeby je chronić. - Wydawał się zdziwiony moją sugestią.

- To skąd zabójca wiedział, kim jest naprawdę Billy Brady?

Daniel przez chwilę obserwował paradę. Zapewne zastanawiał się, co mi odpowiedzieć.

- Oczywiście któryś z policjantów mógł coś wygadać lokalnym ekstremistom. Wiesz, tym, którzy walczą o wyzwolenie Irlandii. Oni nie mają litości dla zdrajców.

- Więc nie będziecie ścigać mordercy?

- Ależ będziemy! Nie sądzę jednak, żeby ktokolwiek z tego tłumu chciał potem zeznawać.

- Nie rozumiem, co się w tym Nowym Jorku dzieje - powiedziałam.

- Czy w takim razie mogę prosić, byś nie ruszała się z tego miasta, dopóki nie zrozumiesz? To może trochę potrwać.

Dotknął daszka czapki i odszedł, wtapiając się w tłum uczestników parady.

Przypisy

[1] Tammany Hall - potoczna nazwa stowarzyszenia znanego jako Society of St. Tammany, założonego w Nowym Jorku w 1786 roku. Organizacja kontrolowała działalność miejscowych polityków i wspomagała imigrantów, zwłaszcza z Irlandii. W znaczącym stopniu oddziaływała na życie polityczne w Ameryce do lat sześćdziesiątych XX wieku (wszystkie przypisy tłumaczki).

[2] Za panowania Elżbiety I flota brytyjska pod wodzą Francisa Drake'a pokonała na kanale La Manche hiszpańską Wielką Armadę (1588).

[3] Fenianie - tajne irlandzkie stowarzyszenie niepodległościowe założone około 1858 roku. W 1867 zorganizowali powstanie przeciwko Wielkiej Brytanii. Działali także w Kanadzie i USA. Stosowali walkę zbrojną i terror indywidualny. Ruch przetrwał do I wojny światowej. Odżył w organizacji Sinn Fein.

[4] Hell's Kitchen (ang.; dosłownie „Kuchnia Piekieł”) - nazwa części Manhattanu.

[5] Fagin - postać z powieści Charlesa Dickensa *Przygody Olivera Twista*. To właśnie Fagin wprowadzał tytułowego bohatera w świat przestępczy.

[6] Wielki głód - klęska żywiołowa w Irlandii w latach 1845-1849, spowodowana przez chorobę niszczącą zbiory ziemniaków. Wiele irlandzkich rodzin wyemigrowało w tym czasie do Stanów Zjednoczonych.

[7] *Blarney stone* - kamień w Blarney w Irlandii. Legenda głosi, że każdy, kto go pocałuje, otrzyma dar elokwencji, szczególnie w prawieniu komplementów.

[8] *We are not amused* (ang.) - zdanie przypisywane królowej Wiktorii. Źródła podają różne okoliczności, w jakich miała je wypowiedzieć.